

**Anatol France**

**POGLĄDY KS. HIERONIMA  
COIGNARDA**

**Tłum. Franciszek Mirandola**

Niemam potrzeby streszczać tutaj życiorysu księdza Hieronima Coignarda, profesora krasomówstwa w kolegium, w Beauvais, bibliotekarza pana de Sééz, (Sapiensis episcopi bibliothecarius sollertissimus, jak go nazywa nagrobne epitafjum), późniejszego sekretarza katedry św. Inocentego, a w końcu konserwatora owego „Astaracjanum”, tej królowej bibliotek, której zatory nigdy dostatecznie odżałowac nie będzie sposobu. Wiadomo, że zginął od sztyletu żyda kabalisty, nazwiskiem Mozaides (judeae manu nefandissima), pozostawiwszy dużo nieukończonych prac, oraz niewygasłe Wspomnienie pięknych maksym, wygłaszanych w rozmowach z przyjaciół. Szczegóły żywota jego, oraz tragicznej śmierci przekazane zostały potomności przez ucznia znakomitego człowieka, Jakóba Menetrier, nazywanego także Rożenkiem, albowiem był on synem pewnego właściciela gospody przy ul. Św. Jakóba. Ów Rożenek pałał ku temu, którego zwał zawsze mistrzem swoim, uwielbieniem i miłością gorącą. - Mistrz mój ukochany - zwykł był mawiać - to najwykwintniejszy umysł, jaki pojawił się do tej pory na ziemi! - On to właśnie, Rożenek, z całą skromnością i wiernością bezprzykładną spisał wspomnienia o księdzu Hieronimie Coignard, a postać nieodżałowanego męża zmartwychwstaje w nich, niby Sokrates w Memorabiljach Ksenofonta.

Ze starannością niesłychaną, ścisłością pedantyczną i umiłowaniem wielkiem nakreślił przepyszny portret i ożywił go tak, że stawa przed nami w całej prawdzie, nieskazitelnie wierny. Praca ta przywodzi na myśl portrety Erasma, malowane przez Holbeina, które oglądamy w Luwrze w muzeum bazylijskim, w HamptonCourt i nie możemy się nasycić ich pięknem. Krótko i węzłowato, dał arcydzieło!

Zdziwi nas zapewne, że pamiętników owych nie opublikował drukiem. Mógł to uczynić temłatwiej, że został księgarzem przy ulicy Św. Jakóba, dziedzicząc księgarnię „pod obrazem św. Katarzyny” po panu Blaizot. Być może, trawiąc żywot pośród ksiąg, uczuł niechęć dorzucenia kilku nawet kartek do owego potwornego zwału pocernionej bibuły, butwiejącej w spelunkach antykwarzy. Zrozumiały nam staje się ów wstręt, gdy mijamy rozłożone po skwerach pudła bukinistów, pełne dwususowych książczysk, których

karty mieszczące sny o nieśmiertelności pożera i rozkłada słońce i deszcz. Są to przedmioty budzące w człowieku kultury refleksje, co wiodą do poznania nicości Wszelakiej pisaniny i przypominają owe trupie czaszki, które Bossuet posyłał samotnikowitrapieście, by mu sprawić rozrywkę. Przyznaję w zupełności, że sam włócząc się pomiędzy PontRoyal, a PontNeuf, odczuwałem nieraz ową nicość doskonale. Skłaniam się tedy do przypuszczenia, że uczeń księdza Hieronima Coignarda nie wziął się do opublikowania swej pracy, z powodu, iż

wykształcony przez tak znakomitego mistrza miał zdrowy sąd o sławie literackiej i cenił ją wedle wartości istotnej, to znaczy nie miał jej za nic. Wiedział, że jest chwiejna, krucha, że podlega błędom rozlicznym i zależy od okoliczności marnych i nic nie znaczących naprawdę. Widząc, iż współcześni mu ludzie są ograniczeni, zawistni i płytki, nie żywił zgoła nadziei, by potomność stała się nagle mądra, sprawiedliwa i głęboka. Mniemał conajwyżej, że pokolenia przyszłe, dalekie sporom chwili bieżącej, w braku sprawiedliwości obdarzą nas przynajmniej zupełną obojętnością. Mamy niemal zupełną pewność, że połączy nas ona wszystkich, wielkich i małych w cichym zapomnieniu i ziści spokojną równość milczenia. Ale gdyby nawet

nadzieja ta złudną się miała okazać, gdyby pokolenia wieków, co przyjdą, zachowały niejaki wspomnienia imion naszych, czy utworów, to łatwo przewidzieć, że znajdą one upodobanie w tychże utworach jedynie przez opaczne ich zrozumienie, wkładanie w nie własnych idei, gdyż to jedynie czyni dzieło geniuszu trwałem poprzez wieki. Długotrwałość arcydzieł uwarunkowana jest tragikomedją intelektualną, zgoła marną, gdzie arlekin podaje rękę pedantowi, w tworzeniu błazeńskich kalemurów na temat tego, co dała dusza artysty. Nie waham się twierdzić, że w naszej dobie nie ujmujemy jednego, jedyne go wiersza Iljady, czy Boskiej Komedji w tem znaczeniu, jakie posiadały pierwotnie. Życie to przemiana, a żywot pogrobny naszych pisanych myśli nie może również wyłamać się z pod tego prawa. Przetrwają, ale jedynie pod warunkiem, że będą się stawać coraz odmienniejsze od tego, czem były, rodząc się z dusz naszych. To, co w nas podziwiać będzie potomność, niepodobne nam będzie zgoła i całkiem obce.

Nie jest wykluczone, że Jakób Rozenek, człowieczek prostoty niesłychanej nie zdawał sobie wcale sprawy z tych problemów odnośnie do małej książeczki, która wyszła z pod jego pióra. Krzywdę byśmy mu uczynili

wielką, posądzając go o przesadne mniemanie o sobie.

Znam go, zda mi się dobrze. Zastanawiałem się nad jego książką. Wszystko, co mówi i czyni, świadczy o wielkiej skromności ducha. Nie było mu coprawda tajne, że talent posiada, wiedział również jednak, że jest to rzecz najtrudniejsza do przebaczenia. Łatwiej dużo darować ludziom wybitnym małoduszność i obłudę serca. Godzimy się chętnie z ich tchórzostwem, czy złośliwością, a nawet powodzenie nie przysparza im nieprzyjaciół, o ile tylko jest niezasłużone.

Przeciętnych natychmiast podnoszą i pożerają przeciętni z najbliższego otoczenia, bowiem uznanie owo na nich samych spływa. Chwała człowieka małego nikogo nie razi, jest to raczej potajemne schlebianie wulgarności. Talent natomiast tai w sobie zuchwalstwo i pokutuje za nie, budząc głuchą nienawiść i skryte oszczerstwo. Można podziwiać tylko zdrowy pogląd Rozenka i uznać go za godnego ucznia mistrza, będącego znawcą ludzi, jeśli świadomie zrezygnował z uciążliwego bardzo zaszczytu rozgniewania tłumu głupców i złośników zapomocą utworu swego. Koniec końcem rękopis Jakóba Rozenka nie został Wydrukowany i znikł na więcej, niż sto lat. Udało mi się szczęśliwie od

naleść go u pewnego handlarza przy bulwarze Montparnasse, który rozkłada poza zakurzonemi szybami swego sklepiku orderki lilij burbońskiej, medale ze św. Heleny i dekoracje lipcowe, nie wiedząc, że daje w ten sposób ludziom współczesnym pełną melancholiję lekcję rezygnacji. Rękopis ten ogłoszony został w roku przezemnie pod tytułem „Gospoda pod Królową Gęsią Nóżką” i do niego odsyłam czytelnika, ręcząc, że znajdzie w nim więcej nowości, niż w niejednej starej księdze. Ale tutaj nie idzie mi wcale o tę rzecz.

Jakób Rozenek nie porzucił na zaznajomieniu świata z czynami i poglądami swego mistrza w opowieści skomponowanej jak romans. Zebrał on także dużo mów i rozmów księdza Hieronima Coignarda, nie mogących znaleźć miejsca w pamiętniku (tak nazwałby należało właściwie rzecz p. t. Gospoda pod Królową Gęsią Nóżką) i powstała stąd mała książeczka, która wraz z innymi papierami dostała się w moje ręce.

Publikuję ją obecnie pod tytułem: „Poglądy Księdza Hieronima Coignarda”. Ochotne przyjęcie przez publiczność pierwszej pracy Jakóba Rozenka dodało mi odwagi do puszczenia w obieg tych djałów, które odzwierciedlają

ową przedziwną, pobłażliwą mądrość i wielkoduszny skeptycyzm, byłego bibliotekarza biskupa de Séz, jakimi przepełniło go zgłębianie ludzkiej natury, z konieczności nacechowane pogardą i zyczliwością jednocześnie.

Nie mogę brać odpowiedzialności za poglądy tego filozofa na przeróżne sprawy z zakresu polityki i moralności. Obowiązek mój, jako wydawcy, ogranicza się wyłącznie do przedstawienia myśli danego autora w jaknajkorzystniejszym świetle. Wolnomyślny umysł jego gardził wszelkimi wierzeniami pospółstwa, nie poddawał się bezkrytycznie zapatrywaniom swego czasu, a jedynie w rzeczach dotyczących wiary świętej był zgoła nieugięty. Pod każdym innym względem ważył się na walkę z wiekiem swoim i to właśnie wzbudza we mnie cześć dla niego. Winniśmy wdzięczni być wielkim umysłem, niweczącym

przesady. Łatwiej atoli wielbić je, niż naśladować, przesady bowiem tworzą się i zmieniają nakształt chmur wieczyście ruchliwych. Z zasady zawsze wydają się dostojne, zanim przybiorą wygląd ohydny, to też rzadkimi są ludzie nie ulegający urojeniom, panującym współcześnie i mający odwagę spojrzeć w oblicze prawdy, przed którą korzy się hołota. Ksiądz Coignard był człowiekiem, zajmującym skromne stanowisko i to

samo wystarcza mojem zdaniem, by go postawić powyż takiego Bossueta i tych wszystkich dostojników, którzy jaśnieją w pierwszych rzędach teatru świata, w tradycyjnym otoczeniu zwyczajów i wierzeń.

Jeśli z jednej strony cenić należy wolność umysłu księdza Coignarda, nieskażonego pospolitymi błędami, jako też to, że namiętności nasze i obawy nie miały doń przystępu, to z drugiej strony należy podnieść, że ten znakomity człowiek posiadał niezwykle, oryginalne poglądy na przyrodę i społeczeństwo i mógłby był niewątpliwie zachwycić wszystkich wspaniałą, ogarniającą całokształt rzeczy konstrukcją myślową, gdyby mu jeno nie brakło zręczności, czy woli nasypania do luk widniejących pomiędzy różnymi prawdami całej masy świętych sofismatów, coby całość spoilo w jedne bryłę. W ten to jeno sposób buduje się wielkie systematy filozoficzne, gdzie jedynem lepszcem jest zawsze sofistyka. Brakło mu zmysłu twórczości systematycznej, lub też, powiedzmy, znajomości sztuki symetrycznej architektury i brak ten sprawia, że okazuje się tem, czem jest w rzeczywistości, to znaczy, najmędrszym z moralistów, czemś w rodzaju równoczesnego kontynuatora Epikura i św. Franciszka z Asyżu.

Ci mężowie, to, zdaniem mojem, dwaj najlepsi przyjaciele cierpiącej ludzkości, jakich spotkała na swej bolesnej, obłądnej wędrówce. Epikur Wyzwala dusze ze złudy strachu i uczy je dostosowywać pojęcie szczęścia do swej nędznej natury i małych sił swoich. Zacny św. Franciszek, czulszy i bardziej zmysłowy wiedzie ich ku szczęściu drogą wewnętrznych marzeń i chce, by za jego przykładem dusze tonęły w radosnem upojeniu, zapadały w bezdeń uroczej samotności. Obaj byli dobrzy, jeden bowiem zniweczył złudy przestarzałe, drugi stworzył złudy nowe, z których zbudzić się nie sposób.

Nie przesadzajmy jednak w niczem. Ksiądz Coignard nie dorównywał zapewne ani czynami, ani myślami najodważniejszemu z mędrców i najpłomienniejszemu ze świętych. Nie umiał, odkrywając prawdy, rzucać się w nie, niby w przepaść. W najśmielszych dociekaniach swoich zachowywał metodę człowieka, odbywającego miłą przechadzkę. Nie przejmował się zbytnio pogardą ogólną, jaką go napawali ludzie. Brak mu było owej

bezcennej złudy, która stanowiła siłę Bakona i Dekarta, nie mógł jak oni wierzyć w siebie, utracił wiarę w innych. Niedowierzał prawdzie, którą nosił w sercu i rozsiewał skarby swego ducha bez zwykłego namaszczenia.

Brakło mu tego wspólnego wszystkim fabrykantom idei zaufania do siebie, tej zarozumiałości, że jest wyższym nad wszystkich genjuszów, którzy dotąd istnieli.

Jest to błąd, jakiego świat nie przebacza nigdy, bowiem sława oddaje się jeno temu, kto się stara o jej względy. Było to wielką słabością i brakiem konsekwencji ze strony ks. Coignarda, że posunąwszy swe filozoficzne zuchwalstwo do granic ostatnich, nie miał odwagi proklamowania się pierwszym z ludzi. Serce atoli jego pozostało pokornem, a dusza czystą i owa niedomoga intelektualna, przeszkadzająca wznieść się ponad wszechświat, przyprawiła go o stratę nienaprawialną zgoła. Ach... wyznam szczerze, że właśnie to czyni go bliższym memu sercu.

Twierdzą bez wahania jako filozof i chrzecijanin, ks. Coignard łączy w sobie w sposób iście przedziwny epikureizm, chroniący nas od cierpienia i prostotę świętego, ową niewyczerpaną krynicę szczęścia.

Zwrócić winniśmy przedewszystkiem uwagę na to, iż nietylko przyjmuje ideję Boga w tym kształcie, w jakim dała nam ją wiara katolicka, ale stara się poprzeć ją argumentami ściśle rozumowymi i silnie ugruntować. Nie stąpa śladami owych zręcznych i praktycznych

deistów z profesji, którzy stworzywszy na swój użytek Boga, moralistę, filantropa i skromnisia, są z nim za pan brat i żyją w zupełnem porozumieniu niby świnia z pastuchem. Bezpośredni i bezceremonjalny stosunek z tak wielką osobistością nadaje ich dziełom wielki autorytet, a ich samych w oczach publiczności otacza nimbem czci i uznania. Ks. Coignard nie robił nigdy tak dobrego interesu na Bogu, wielkorządcy świata, umiarkowanym, zrównoważonym, wolnym od wszelakiego fanatyzmu, którego wyśmienie wprowadzić można w zespół ludzki, na wiec polityczny, do salonu, czy akademji. Takiego Przedwiecznego nie posiadał ks. Coignard, przeświadczony atoli, że poznać wszechświat nie można inaczej, jak intelektem własnym, uznał świat za poznawalny i nie cofając się nawet przed możliwością wykazania absurdalności takiej koncepcji, odniósł przyczynę jego istnienia do inteligencji zasadniczej, nazwawszy ją Bogiem. Zostawił tej idei całą mglistość nierozłączną z wszelką zasadą i całą nieuchwytność, odsyłając żądnych szczegółów do teologii, która, jak wiemy, sekcjonuje Niepoznawalne z całą starannością operatora.

Owa rezerwa, zarysowująca krańce jego inteligencji, była nader szczęśliwym pomysłem, chociaż z drugiej strony odjęła mu, zdaniem

mojem, chęć zbudowania jakiegoś uroczego i ponętnego systematu filozoficznego i uchroniła przed wetknięciem głowy z jedne z takich właśnie łapek na myszy, do których spieszy zazwyczaj każdy duch wolny, pragnąc copędzej zakończyć żywot swój. Czując się doskonale w starej jamie szczurzej odnalazł w niej niejedno wyjście, a zerkając na prawo i lewo czynił odkrycia w świecie i obserwował uważnie przyrodę.

Nie podzielam jego wierzeń religijnych i zdaje mi się, że wprowadziły go one nieraz w błąd, podobnie jak tumażyły całe pokolenia i wieki, ku szczęściu, czy nieszczęściu ludzi. Być może jednak, że stare błędy nie są tak straszne, jak nowe, a jeśli już musimy dać się wodzić za nos, to lepiej chyba trzymać się złud, których ostrze stępieło.

Muszę twierdzić, że o ile ksiądz Coignard przyjął za zasadę wierzenia chrześcijańskie i katolickie, to jednak nie krępował się wcale gdy szło o wyciągnięcie z nich konkluzji nader oryginalnych. Z korzeni ortodoksji wykwitł prąd jego bujnej duszy i rozkwiecił się nadobnymi kielichami epikureizmu i pokory. Wspomniałem już, że starał się zawsze wypłoszyć ze świata owe nocne widziadła, one przerażne maskary, owo, jak je nazwał, djabelstwo gotyckie, czy

niące pobożny żywot prostego mieszczucha areną, na której szaleje sabat codziennego trywializmu małpującego religję. Teologowie dni naszych zarzucają mu, że się posuwał w ufności w miłosierdzie boże zbyt daleko, że dochodził aż do zupełnej bezbożności. Taki zarzut znajdujemy w artykule jednego z wybitnych myślicieli.\*

\* Jan Lacoste pisze w „Gazette de France” z dnia. maja:

Ksiądz Hieronim Coignard, to kapłan pełen prudencji, pokory i wiary. Nie twierdzą, by postępowaniem swym czynił zawsze zaszczyt swej tonzurze, a duchowna sukienka jego pokaleczoną została może tu i ówdzie niewielkimi dziurami. Ale nawet wówczas kiedy ulega pokusie, kiedy djabeł porywa go w szpony, unosząc bez dostatecznego oporu, to nie traci on nigdy wiary i ufa zawsze, że przy łasce bożej poprawi się i ostatecznie wejdzie do królestwa niebieskiego, przeznaczonego dla sprawiedliwych. W istocie daje nam budujące widowisko śmierci pięknej i godnej chrześcijaninakatolika. Widzimy tedy, że ziarno gorzyczne wiary, zdobiące życie, oraz pokora tkwią w słabostkach ludzkich.

Jeśli nawet ks. Coignard nie jest świętym, to kwalifikuje się co najwyżej do Czyśćca. Ale mimo, że się tam pewnie dostał, to jednak nie wiele brakowało, by zleciał na dno piekieł,

albowiem życie jego nacechowane szczerą pokorą, nie wykazuje zgoła żadnego aktu skruchy, ani żalu za grzechy. Miał zbyt wielką ufność w miłosierdzie boże i nie czynił żadnych wysiłków, by uczynić duszę swą podatną na działanie łaski. Dla tego to ciągle popadał w dawne grzechy. Na niewiele zdała mu się tedy wiara i był nieomal heretykiem, albowiem święty sobór trydencki w VI. i IX. kanonie szóstej

    Nie wiem doprawdy, żyli ks. Coignard „grzeszył zuchwale w nadziei nieprzebranego miłosierdzia bożego”, nie ulega jednak wątpliwości, że łaskę traktował w rozmiarach bardzo szerokich i zgodnych z naturą, a świat w oczach jego nietyle przywodził na pamięć pustać Tebaidy, co rokoszne ogrody Epikura. Przechadzał się też po nim z ową, pełną zaufania naiwnością, będącą zasadniczym rysem jego charakteru i podwaliną nauki.

    Żaden umysł nie jednoczył w sobie, zaprawdę, takiego zuchwalstwa i umiłowania pokoju, oraz tak nie słodził pogardy nektarem dobroci. Etyka jego to synteza śmiałości filozofów kyejskich i pokornej czystości pierwszych mnichów św. Franciszka w Porcejunkuli. Pogardzał ludźmi z nieopisaną czułością, starając się pouczyć ich, że jedyną Wielką rzeczą jaką posiadają, jest to zdolność cierpienia bez granic, a zarazem jedyna rzecz rozsądna i piękna, na jaką się zdobyć mogą, to litość. Uczył braci swych, zdolnych jeno pożądać kongregacji rzuca anatemę na tych, którzy twierdzą, jako „niezdolen człowiek uczynić złego wbrew woli Boga i mają taką ufność w potęgę wiary, iż za zbyteczny uznają każdy wysiłek woli własnej, sądząc, iż sama do zbawienia wystarcza”. Dla tego ta łaska boża, która spływała na ks. Coignarda, jest wprost cudowną i nie zdarza się w normalnych warunkach życia.

    i cierpieć, jak mają hodować w sobie cnotę pobłażania i roskoszy. Doszedł w konkluzjach swych do wskazania za źródło wszelkiego zła, występku pychy, który jest jedynym zarazem grzechem przeciwko naturze.

    Zdaje się miał rację, ludzi bowiem unieszczęśliwia głównie przesadne mniemanie o sobie samych i swych bliźnich, a gdyby nabrali poglądu skromniejszego i zgodniejszego z tem co stanowi istotę natury człowieka, staliby się wyrozumialsii dla bliźnich i dla siebie zarazem.

    Życzliwość tedy sprawiła, iż z pogardą odnosił się do bliźnich swoich, że tępił ich uczucia, wiedzę, filozofię i instytucje społeczne. Pragnął gorąco i miał odwagę wykazać im, że nie byli w stanie stworzyć ni wymyśleć niczego, co godnem byłoby gwałtownej napaści, ni żarliwej obrony, a gdyby wiedzieli jak niezdarne i kruche są ich największe dzieła, więc



naprzykład ustawodawstwo i państwowość, toczyliby o nie jeno pozorne walki i turnieje, bawiliby się jeno w atak i obronę jak czynią dzieci, budujące pałace i niezdobyto twierdze z piasku nad brzegiem morza.

Nie trzeba tedy oburzać się, ni dziwić, że, starał się obniżyć wszystkie owe ideje, które służą, do wytwarzania pojęcia sławy i zaszczytów kosztem pokoju i spoczynku człowieka. Nie imo

nował jasnowidzącej duszy jego majestat prawa i wyrażał ciągle żal, iż nieszczęśliwi uginają się pod takim brzemieniem zobowiązań, których zasady i znaczenia najczęściej zgoła odnaleść nie sposób. Wszystkie zasady wydawały mu się jednakowo wątpliwe i chwiejne. Doszedł do tego, że twierdził, jakoby obywatele dlatego jeno skazywali na infamię tak wielką liczbę podobnych sobie, iż w ten sposób, na mocy kontrastu, sycą się tem lepiej czciami własną i szacunkiem. Ten pogląd sprawił, iż wołał towarzystwo złe od dobrego, idąc śladami Tego, który przestawał z „publikanami i wszetecznymi”. W takim to środowisku zachowywał czystość serca, dar sympatji i skarby miłosierdzia. Nie będę tu mówił o czynach jego opowiedzianych w dziele p. t. „Gospoda pod Królową Gęsią Nóżką”. Nie chcę nawet zaciekać się, żali, jak to powiadano o pani de Mouchy, więcej był wart, niżli życie jego. Czyny nasze nie są to nasze dzieła, zależą bowiem więcej od okoliczności, niż nas samych. Różne ręce kierują nami, nie warcimy często samych siebie, a jedyna rzecz, jaką posiadamy naprawdę, to myśl nieuchwytna, ona stanowi jądro naszej istoty. Stąd też płynie owa pycha opinji publicznej.

W każdym razie stwierdzam z przyjemnością, że wszyscy bez wyjątku ludzie kultury uznali

księdza Coignarda za człowieka bardzo miłego i interesującego. Trzebaby też być prawdziwym faryzeuszem, by nie przyznać, że było to piękne dzieło boże. Teraz wracam coprędzej do samej nauki jego, gdyż o nią tutaj wyłącznie idzie.

Brakiem największym znakomitego męża był zupełny zanik instynktu czci. Natura odmówiła mu tej zalety, a nie uczynił nic, by ją nabyć. Bał się widocznie, że wielbiąc jednych, poniży drugich, zaś miłość chrześcijańska jaką się odznaczał, obejmowała wszystkich porówni, maluczkich i wielmożów. Ofiary budziły w nim politowanie, zaś kaci napelniali go taką wzdardą, że nie uznawał ich nawet za godnych nienawiści. Nie życzył im nic złego, żałował jeno, iż stali się złymi.

Nie wierzył, by jakiegokolwiek represalje legalne, czy samorzutne mogły usunąć zło, przeciwnie mniemał, że je zwiększają tylko. Nie lubował się w złośliwych przytykach, czy satyrze, jaką się posługuje zemsta osób pojedynczych, a także, w pełnym majestatu okrucieństwie prawa. Uśmiechał się czasem patrząc na pogrom posiepaków policyjnych, lecz był to jeno zrozumiały odruch człowieka z ciała i krwi, objaw dobroduszości jego.

Pogląd jego na zło był nader prosty i zrozumiały. Wywodził go wyłącznie z organiczne

budowy człowieka i jego uczuć naturalnych, nie zaćmiewając zgoła ową masą przesądów, spiętrzonych w kodeksach w tak sztuczną, nielogiczną budowlę.

Wspomniałem już, że nie stworzył własnego systemu, nie mając skłonności rozwikływania trudności zapomocą sofizmów. Widocznie wstrzymała go zaraz ta pierwsza trudność w rozważaniach nad sposobami ziszczenia na ziemi szczęścia, lub przynajmniej pokoju. Przekonany był, że człowiek jest z natury swojej bydlęciem niezmiernie złem i społeczeństwo jest dlatego wstrętne, ponieważ owo bydlę wkłada cały swój genjusz w tworzenie go. Nie spodziewał się tedy niczego pomyślnego z powrotu do stanu natury. Wątpię, czy byłby zmienił zapatrywanie, choćby żył dość długo, by przeczytać „Emila”. W czasie jego śmierci J. J. Rousseau nie przewrócił jeszcze świata do góry nogami krasomówstwem najszczerzego uczucia, zjednoczonym z najfatalniejszym rozumowaniem.

Był on w onczas ledwo małym urwipółciem i niestety widywał na ławkach napoły bezludnych aleji Lyonu innych księży, zgoła niepodobnych do księdza Hieronima Coignarda. Jakaż to wielka szkoda, że znakomity mąż, mający tyle znajomych w różnych warstwach społeczeństwa,

nie spotkał przypadkiem małego przyjaciela pani Warens. Choć prawda, byłaby to jeno zabawna scena, coś w rodzaju obrazka o romantycznym nastroju. Jan Jakób nie mógł nabrać zamiłowania do pesymistycznej mądrości naszego filozofa. Niema chyba większych sprzeczności, niż pomiędzy rozumowaniem Roussa, a ks. Coignarda. To ostatnie przepojone jest dobrotliwą ironją, jest pobłażliwe i łatwe, zbudowane na ułomności ludzkiej, posiada niewzruszalne podstawy. Pierwszemu brak zwątpienia i lekkiego uśmiechu. Oparte o fikcyjną zasadę dobroci prymordjalnej naszych współbliźnich, znajduje się ciągle w kłopotliwej sytuacji, nie zdając sobie nawet sprawy jak jest śmieszną. Takie doktryny głosić mogą jeno ludzie, którzy nie śmiali się nigdy. Czując, że się wplątali w głupstwo, gniewają się, a ten zły humor nie posiada żadnego powabu. Mało tego jeszcze, sprowadzają człowieka do małpy i

wpadają we wściekłość szaloną, przekonawszy się, że nawet mała nie jest cnotliwa. Jest to doktryna okrutna i głupia, a pokazała się taką dowodnie, gdy mężowie stanu nwnzięli się zastosować kontrakt socjalny do.. najlepszej z republik.

Robespierre czcił pamięć Roussa i musiałby uznać księdza Coignarda człowiekiem złym. Nie czyniłbym o tem wzmianki, gdyby wistocie Robes

pierre był potworem, ale dla mędrca nie istnieją potwory, Robespierre był optymistą, wierzącym w cnotę, a mężowie stanu o takim temperamencie sprowadzają zawsze dużo zła na świat. Ten, kto ma pretensję kierować ludźmi, nie powinien zapominać, że są to złośliwe małpy. Pod tym jeno warunkiem można być politykiem ludzkim i dobrym. Szaleństwa rewolucji wynikły jeno z chęci ugruntowania cnoty na ziemi. Ten kto chce uczynić ludzi dobrymi, mądrymi, wolnymi, umiarkowanymi i wspaniałomyślnymi, musi konsekwentnie dojść do wymordowania ich do szczętu. Wierzący w cnotę Robespierre był twórcą terroru. Marat wierzył w sprawiedliwość i zażądał trzystu tysięcy głów. Ksiądz Coignard zalicza się pewnie do tych umysłowości XVIII, wieku, których poglądy stoją w największej z rewolucją sprzeczności. Nie podpisałby napewne ani jednego wiersza „Praw człowieka i Obywatela”, a to z powodu strasznego i zasadniczego rozdźwięku, jaki ten akt wprowadza między człowiekiem, a gorylem.

Przed kilku dniami odwiedził mnie pewien znajomy anarchista, zaszczycający mnie swą przyjaźnią, którego lubię, albowiem nie biorąc do tej pory udziału w rządach swego kraju, zachował sporą dozę niewinności. Otóż pragnie on wszystko

wysadzić w powietrze dynamitem, dlatego, ponieważ wierzy, że ludzie z natury są dobrzy i cnotliwi. Pewny jest, iż postradawszy mienie i wyzwoliwszy się z pod praw, zrzucą natychmiast z siebie egoizm i złośliwość. W ten sposób optymizm najtkliwszy doprowadził go do zwierzęcego wprost okrucieństwa i dzikości.

Całym nieszczęściem jego jest i całą zbrodnią, że przyniósł duszę elizejską, wieku złotego godną, do państwa kuchtów, gdzie żyć skazany został. To drugie wydanie Roussa, uczciwego i prostego, który nie dałby się zastraszyć pani Houdetot, ani nie ugiął się przed uprzejmą wspaniałomyślnością marszałku Luksemburgu. Czystość ducha czyni logikę jego straszliwą. Rozumuje nierównie lepiej niż minister, punktem wyjścia jest mu atoli nonsens oczywisty. Nie wierzy w grzech pierworodny mimo że jest to dogmat tak niezbitcie prawdziwy i niewzruszony, że na tym kamieniu węgielnym mógł każdy budować co chciał.

Jakaż szkoda księżu Coignardzie, że cię nie było w moim gabinecie, gdyż niezawodnie przekonałbyś go o nicości założeń jego nauki! Pewny jestem, nie mówiłbyś temu, szlachetnemu utopiście o dobrodziejstwach cywilizacji, ni koniecznościach państwowych. Wiesz dobrze, iż nieprzystoi natrzęsać się z nieszczęśliwego. Nie tajne ci, że t. zw.

ład publiczny jest to jeno gwałt zorganizowany, a każdy powołany jest sądzić go w miarę swych potrzeb i praw. Dałbyś mu, zaręczam, pełny obraz, straszliwą wizję onego porządku naturalnego, jaki chce sprowadzić, wskazałbyś w ramach idylli, o której marzy, nieskończony ilość krwawych tragedji osobistych, a w końcu przekonałby się, że pod ona szczęsną anarchją kryje się zaródź bezwzględnej i okrutnej tyranji.

To nas prowadzi do bliższego określenia stanowiska, jakie zajął ks. Coignard „pod małym Bachusem” wobec rządów i ludów. Nie uszanował ani augurów społeczeństwa, ni arki państwowości. Wyraził silne wątpliwości nawet odnośnie do świętej ampułki) będącej za jego czasów podwaliną szczęśliwości społecznej, jak za naszych głosowanie powszechne i oświadczył, że zalety jej mogą podlegać dyskusji. Wolnomyślność ta, która musiała oburzyć wszystkich współczesnych, nie dotyka nas wcale.

Źle rozumiałby jednak naszego filozofa ten, ktoby mu przebaczał i tłumaczył popędliwością

jeno ataki krytyczne, jakie przypuszczał do fortecy ancien regime’u. Książdz Coignard nie czynił wielkiej różnicy pomiędzy formami rządu, które zwano absolutnemi, i formami liberalnemi, a mamy dużo powodów przypuszczać, że gdyby żył za naszych czasów, zachowałby w duszy sporą dozę swego szlachetnego oburzenia, które zeń biło jak woda ze źródła.

Sięgając w swej krytyce zasad, odkryłby niezawodnie nicość zasad naszych. Świadczy o tem jedno z powiedzeń jego, jakie zachowane zostało.

- W ustroju demokratycznym oświadczył ks. Coignard - lud poddany jest pod jarzmo woli własnej, a jest to straszliwa niewola! W istocie ludowi jest tak obcą wola własna, i tak sprzeczną z jego życzeniami, jak i wola króla. Wolą powszechną w drobnej jeno części odnaleść można we woli poszczególnych osób. Czasem zgoła jej tam nawet niema, a mimoto wszyscy znosić muszą przymus nią narzucony. Stąd też głosowanie powszechne jest podobną pułapką na głupców, jak gołębnica, która przyniosła krzyzmo święte z nieba w dzióbku. Rząd ludowy równie, jak monarchiczny opiera się o fikcję i żyje fortelami, idzie tylko o to, by

wmówić w obywateli ów absurd zasadniczy i zręcznych imać się sztuczek, bo gdy się któraś nie uda, nieszczęście gotowe.

Maksyma owa starczy, by nas przepoić wiarą, że i za dni naszych zachowałby ową pogodną, dumną wolnomyślność, która zdobyła duszę jego za czasów królewskiej. Mimo to nie był nigdy rewolucjonistą. Nie posiadał dość talentu do życia z ludźmi i wiedział, że formy rządu zniweczone mogą zostać jeno przez one ślepe, tajne, a powolnie działające niezmożone potęgi, które ziszczają przemianę wszystkiego na ziemi.

Wierzył, że jeden i ten sam naród rządzony może być w danym czasokresie w jeden jeno sposób, a to z tego powodu, iż narody są to organizmy, których funkcje zależą od budowy członków i stanu organów, to znaczy od podłoża i samej natury ludu, nie zaś od form rządu, które są jeno dopasowane do narodu, niby suknia do ciała ludzkiego,

- Całe nieszczęście - dodawał - że z narodami dzieje się podobnie, jak z Arlekinem i głupim Kubą w czasie przedstawień jarmarcznych. Ubiory ich są zazwyczaj za obszerne, lub za ciasne, niewygodne, śmieszne, brudne, pełne dziur i roją się od robactwa. Można temu zapobiec poniekąd trzepiąc je ostrożnie, lub biorąc na pomoc igłę i nożyczki. Należy to czynić delikatnie, by nie narazić na koszt sprawiania nowej odzieży, równie niestosownej, a jednocześnie nie upierać się przy

zachowaniu starej, jeśli ciało z biegiem czasu przybrało zgoła inne rozmiary i kształty.

Widzimy tedy, że ks. Coignard umiał pogodzić ład z postępem i że w gruncie rzeczy wcale nie był złym obywatelem. Nie podburzał nikogo do rewolty, ale pragnął, by instytucje państwowe zużywały się i rzeźbiły raczej przez ustawiczne tarcie, jakby je obalano i trzaskano uderzeniami pięści. Zwracał ciągle uwagę swym uczniom na to, że najbardziej szorstkie prawa polerują się przedziwnie przez ciągłe używanie i że cierpliwość czasu pewniejszą jest od ludzkiej.

Gdy widział doraźną modyfikację niekształtnej postaci prawa, nie pochwalał tego i nie żywił żadnej nadziei, mało mając zaufania do nagłych zmian ustawodawczych. Czasem pytał go Jakób Rożenek, żali nie obawia się, by jego krytyczna filozofja stosowana do urzędów koniecznych, które sam za pożyteczne uważał, nie miała fatalnego wpływu na zachwianie tem, co należy ochraniać i zachować.

- I na cóż, - mówił mu wierny uczeń - i na cóż, o najdoskonalszy z mistrzów, walić w proch podwalmy prawodawstwa, sprawiedliwości i wogóle wszystkich magistratur cywilnych i wojskowych, skoro sam uznajesz, że potrzebne jest

prawo, wymiar sprawiedliwości i armja, że potrzebni są urzędnicy i policja?

- Synu mój, - mówił ks. Coignard - zbadalem gruntownie rzecz i wiem, że zło ludzi trapiące tkwi w przesądach, podobnie jak pająki i skorpjony wyłazące z ciemni wilgotnych piwnic i śmietników. Dobrze jest od czasu do czasu wziąć do ręki pogrzebacz i miotłę i pomachać niemi na oślep po wszystkich zakamarkach. Dobrze jest także wziąć czasem oskard i puknąć tu i ówdzie w mur piwnicy, lub ruszyć łopatą ziemię w ogrodzie. Napędza to strachu robactwu i przyspiesza rozpadnięcie się zmurszałych ścian.

- Zupełna racja! - powiedział słodki Rozenek. - Ale cóż zostanie, o mistrzu jedyny, gdy powalisz, w gruz wszystkie zasady?

Na to zwykł był odpowiadać mistrz:

- Społeczeństwo żyć nie przestanie po zniweczeniu wszystkich fałszywych zasad, albowiem jest ono oparte o konieczność, której prawa starsze niżli sam Saturn, trwać będą wówczas nawet kiedy Prometeusz zasiądzie na tronie Jupitera.

Od czasu wygłoszenia owego poglądu przez, księdza Coignarda Prometeusz kilka już, conajmniej, razy zdetronizował Jupitera, a prorocze słowa tego mędrca ziściły się tak dosłownie, że dzisiaj nie wiemy napewne czy przypadkiem na

tronie nie zasiada Jupiter, bowiem nowy porządek rzeczy najzupełniej podobny jest dawnemu. Wielu nawet zgoła powątpiewa we władztwo tego tytana. Nie widać, powiadają, na piersi jego rany, przez którą sęp niesprawiedliwości wydarł mu serce, a wszakże rana ta miała broczyć po wiek wieków! Nie wie on co cierpienie, bunt i wygnanie. Nie jest to bóg pracownik, który nam był przyobiecany i którego wyczekiwaliśmy. To spaśny Jupiter starego, śmiesznego Olimpu. Kiedyż objawi nam się mocarny przyjaciel ludzi, dawca ognia, tytan przykuty do skały? Straszliwy łomot, dolatujący od gór, świadczy że wychyla z pod skalnych głazów okryte ranami ramiona i obejmuje nas w żar płomiennego oddechu, płynący zdała.

Nie zajmując się sprawami bieżącymi, ks. Coignard miał skłonność do spekulacji abstrakcyjnych i chętnie głosił ideje ogólne. Ten nastrój umysłu, szkodliwy wobec współczesnych sprawia, że mimo półtorawiekowej oddali, poglądy jego zachowały i dla nas wartość i nie przestały być pożyteczne. Możemy z nich dowiedzieć się co jest istotnym w naszych obyczajach i odkryć zło w nich tkwiące.

Krzywdy, szaleństwa i okrucieństwa nie rzucają się w oczy, kiedy ogarniają całe społec

czeństwo. Widzimy przeto błędy przodków, nie dostrzegając własnych. Niema jednej jedynej epoki w całej przeszłości, gdzie człowiek nie przedstawiałby nam się jako głupiec, krzywdziciel i dzikus, dziwnemby przeto było zjawiskiem, gdyby właśnie nasz wiek posiadał wyłączny przywilej oswobodzenia się z głupoty, złościwości i brutalizmu. Poglądy księdza Coignarda mogłyby w wielkiej mierze dopomóc nam do rzetelnego rachunku sumienia, gdybyśmy nie byli jak owe bożyszcza, które mają oczy, a nie widzą, mają uszy, a nie słyszą. Przy odrobinie dobrej wiary i bezstronności przekonamy się bardzo prędko, że kodeksy nasze są dotąd węzówiskami krzywdy, że w obyczajach naszych pokutuje dziedziczna srogość, skąpstwo i pycha i że czcimy wyłącznie bogactwa, za nic mając pracę. Gdybyśmy tak uczynili, zobaczylibyśmy, czym jest naprawdę nasz porządek rzeczy, mianowicie, że składa się ze zła i nikczemności, że wyrok nań wydała sprawiedliwość natury, gdy zbrakło sprawiedliwości ludzkiej, a zagłada jego zbliża się szybkim krokiem. Bogacze nasi wydaliby nam się równie głupi, jak chrabąszcze, co nie przestają pożerać liści drzew, mimo że mały pasożyt wżarł się w ich ciało i pożera im wnętrzności. Wówczas też nie dalibyśmy się kołysać do snu fałszywą i płytką

deklamacją naszych mężów stanu, a politowaniem przejęłyby nas wywody naszych ekonomistów, klójących się o meble w płonącym domu.

Słowa księdza Coignarda przedstawiają nam się jako prorocza wzgarda zasad wielkiej rewolucji i tych praw demokracji, na których w ciągu lat stu wznosiliśmy przy pomocy wszelakich gwałtów i nadużyć chaotyczne gmachy coraz to nowych, buntowniczych form rządu, potępiając bez żadnej ironji same bunty.

Gdybyśmy zaczęli uśmiechać się potrochu z tych głupstw naszych, które wydawały się szczytne, a były często krwawe, gdybyśmy doszli do przekonania, że przesady współczesne mają skutki równie śmieszne lub ohydne, jak dawne, gdybyśmy spojrzeli na jedne i drugie z takim jak on miłosiernym skeptycyzmem,

spory stałyby się mniej częste w tym najpiękniejszym z krajów świata, a praca księdza Coignarda stałaby się, w swoim zakresie, nader pożyteczną dla całej ludzkości.

Anatol France

POGLĄDY KSIĘDZA HIERONIMA COIGNARDA

ROZDZIAŁ I

MINISTROWIE PAŃSTWA

Pewnego dnia po obiedzie odwiedził ksiądz Hieronim Coignard, jak to miał w zwyczaju, pana Blaizot, księgarza, przy ul. św. Jakóba W sklepie jego „pod obrazem św. Katarzyny”. Spozrzegłszy na półce dzieła Jana Racina zaczął od niechcienia przewracać kartki jednego tomu.

- Poeta ten - powiedział - nie był pozbawiony talentu i gdyby był zdołał wznieść swój umysł aż tak wysoko, by tragedje swe pisywać łacińskim wierszem, byłby godnym pochwały, co dotyczy zwłaszcza owego ustępu w „Atalji”, gdzie okazał, że zna się dosyć dobrze na polityce. Korneil jest w porównaniu z nim pustym jeno deklamatorem. Owa tragedia o Joasie odsłania niektóre sprężyny, których działanie Wznosii niweczy państwa. Przyzna ćtrzeba, że pan Radne miał zmysł bystrości, który winniśmy cenić nierównie więcej, niż Wszystkie subtelności poezji i krasomówstwa, będące w istocie jeno sztuką retorską, mogącą podobać się głuptaskom. Roz

taczać subtelności może jeno umysł słaby, nie znający istotnej natury dzieci Adama, które są nędzne i godne litości. Nie powiem, że człowiek jest to śmieszne bydlę, albo Pan nasz, Jezus Chrystus odkupił go krwią swoją drogocenną. Dostojeństwo człowiecze tkwi jedynie i wyłącznie w tej właśnie niepojętej tajemnicy, ale synowie ziemi sami przez się, mali czy wielcy, są to jeno zwierzęta dzikie i budzące odrazę.

W chwili, gdy drogi mój mistrz wygłaszał te słowa, do sklepu wszedł pan Roman.

- Hola, księżu dobrodzieju! - zawołał ten wybitny mąż. - Zapominasz widzę, że owe zwierzęta, budzące odrazę i dzikie podlegają, przynajmniej w Europie, przedziwnie zorganizowanej policji i że państwa, jak n. p. królestwo francuskie i republika holenderska odbiegły już bardzo daleko od owego barbarzyństwa i dzikości, które tak księdza rażą.

Mistrz wsunął na swoje miejsce tom Racina i odpowiedział panu Roman ze zwykłym wdziękiem:

- Przyznaję panu, że czyny mężów stanu wydają się konsekwentne i jasne w pismach filozofów, którzy im poświęcają swe prace i podziwiam W pańskim dziele o „Monarchji” kompozycję i wyborną koordynację idei. Racz pan

jednak poprzestać na oddaniu hołdu sobie samemu tylko za owo piękne rozumowanie, jakie przypisujesz wielkim politykom czasów dawnych i obecnych. Nie posiadali oni zalet umysłu jakimi ich wyposažas i ci słynni ludzie, którym się zdawało, iż wiedą świat, byli w gruncie rzeczy jeno igraszka losu i okoliczności. Nie przerastali wcale poziomu głupstwa człowieczego i byli koniec końcem jeno osławionymi nikczemnikami. Słuchając z oznakami



zniecierpliwienia tego wywodu p. Roman chwycił w ręce stary atlas i zaczął nim tłuc po stole hałaśliwie, po chwili zaś łoskot ten zmieszał się z szmerem jego głosu:

- Cóż za zaślepienie! - zawołał. - Jakto, czyż może ksiądz zapoznawać doniosłość czynów wielkich ludzi, ministrów, czy obywateli? Więc tak dalece nie znasz ksiądz historii, że nie wiesz, iż taki Cezar, Richelieu, czy Kromwel ugniatał ludy całe niby garncarz glinę? Czyż nie dostrzega ksiądz, że państwo idzie, niby zegarek w ręku zegarmistrza?

- Nie widzę tego! - odrzekł szczerze mistiz mój. - Od lat pięćdziesięciu, to jest jak długo żyję, widziałem w tym kraju kilka zmian rządów, a nie spostrzegłem, by się zmieniły czyjeś warunki bytu, o ile nie wezmę w rachubę pewnego, nieznacznego postępu, który nie zawisł zgoła od

ludzkiej woli. Wnoszę stąd, że jest rzeczą niema obojętną, czy jest się rządonym w ten, czy inny sposób i wszyscy ministrowie wyróżniają się od innych ludzi jeno ubiorem i kareta.

- Jakże można mówić w ten sposób bezpośrednio po śmierci ministra państwa, który tak żywy brał udział we wszystkich ważnych sprawach i który po długiej niełasce zmarł, w chwili gdy obejmował z powrotem w ręce władzę i wracał do utraconych zaszczytów i godności? - powiedział pan Roman. - Rozgłos towarzyszący jego trumnie powinien być dostatecznym chyba świadectwem jego czynów. Sława ta przeżyła go i przeżyje długo!

- Proszę pana, - odrzekł mój mistrz - minister ten był człowiekiem zacnym, pracowitym i gorliwym i można powiedzieć o nim, jak o panu Vauban, że był zbyt grzecznym, by starać się o pozory uprzejmości, to też nie miał potrzeby umizgać się do nikogo. Jako najwyższą pochwałę, powiem, że zajmując się sprawami państwa stał się lepszym w przeciwieństwie do tylu innych których to demoralizuje. Miał silną duszę i żywe poczucie wielkości swej ojczyzny. Zasluguje jeszcze na pochwałę zato, iż dźwigał na swych szerokich barkach cierpliwie nienawiść kolporterów i małych markiziątek, a nieprzyjaciele

nawet szanują go w skrytości serc. Ale racz pan powiedzieć, cóż uczynił tak znowu wielkiego i z jakiego to powodu wydaje ci się czemś więcej niż igraszką podmuchów wiatru, przelatujących wokół niego? Jezuci, których wygnał, powrócili, mała wojenka religijna, którą rozdmuchał ku zabawie narodu, zgasła marnie, pozostawiając po całym spektaklu jeno cuchnący zewłok spalonej rakiety. Miał, przyznaję panu ochotnie, spryt w urzędowaniu rozrywek, czyli raczej dywersji, odwracających uwagę od rzeczy niepotrzebnych. Stronnictwo jego, będące jeno wytworem okoliczności i fortelów, nie czekało nawet śmierci

jego, by zmienić nazwę i szefa, nie tykając samej doktryny. Stworzona przezeń intryga pozostała wierną mistrzowi i sobie samej i dalej kierowała się podmuchami wiatru. Czyż to mają być dzieła wielkie, budzące podziw i cześć?

- A to doskonale... a to przedziwne! - odrzekł p. Roman. - Sądysz ksiądz dobrodziej, że ten minister czerpał swą siłę rządzenia jeno z chmur i metafizycznych urojeń i z tego tworzył rzeczy realne i istotne, które mu zjednały ogólny poklask? Stronnictwo jego, powiada ksiądz, był to wytwór okoliczności i fortelów. Ale czegoż na miły Bóg potrzeba bardziej dla wślawienia się w kierowaniu sprawami ludzkiemi, jak nie

umiejętności chwytania sposobnej chwili i posługiwania się użytecznymi fortelami? Tego właśnie dokonał, a raczej byłby dokonał, gdyby małoduszność i zmienność jego zwolenników, oraz perfidne zuchwalstwo wrogów były mu umożliwiły przeprowadzenie zamierzeń. Niestety stargał siły w daremnych wysiłkach okiełznienia tych drugich, a skonsolidowania pierwszych. Zabrakło mu czasu i ludzi, owych koniecznych środków dla zaprowadzenia dobroczynnego despotyzmu. Naszkicował przynajmniej niezrównany plan polityki Wewnętrznej, a nie Wolno zapominać o tem, że na zewnątrz wyposażył ojczyznę w rozległe, urodzajne terytorja. Winniśmy mu za to tem większą jeszcze wdzięczność, że dokonał tych szczęśliwych operacyj sam jeden i to wbrew parlamentowi, od którego był zawisły.

- Panie Roman, - powiedział mistrz - minister okazał dużo energii i zręczności w sprawach kolonjalnych, nie większe one były jednak chyba niż także zalety niejednego z obywateli, kupującego szmat ziemi. Całą przyjemność psuje mi zawsze, gdy mowa o tego rodzaju wyprawach morskich, sposób postępowania Europejczyków z tymi ludami dalekiej Afryki i Ameryki. Ile razy biali zetkną się ze szczepami rasy żółtej, czy czarnej, niezwłocznie wydaje im się,

że muszą je wytępić. Z dzikimi można sobie, zdaniem ich, dać radę jedynie przy pomocy udoskonalonej dzikości. Do takich to ostateczności doprowadza każde przedsięwzięcie kolonjalne. Nie zaprzeczam, że Anglicy, Hiszpanie, czy Holendrzy odnieśli stąd niejaki korzyści. Ale zazwyczaj rusza się na los szczęścia i bez żadnego planu na takie okrutne wyprawy. Czemże jest zresztą wola, czy mądrość jednego wielkiego człowieka w przedsięwzięciach, dotyczących handlu, rolnictwa czy żeglugi, a więc zawisłych z natury rzeczy od niezmiernej liczby istot maleńkich i nikłych? Udział ministra w sprawach tego rodzaju jest nader mały, a jeśli wszystko jemu samemu przypisujemy, to dlatego, że umysł

nasz skłonny do mitologii, chce dać imię i kształt określony wszystkim tym, niezliczonym, utajonym siłom przyrody. Cóż to stworzył pański minister nowego w sprawie kolonji, czego by już nie znali Fenicjanie za czasów Kadmusa.

Na te słowa pan Roman upuścił atlas, a księgarz pochylił się, by go podnieść nieznacznie.

- Księżę dobrodzieju! - zawołał. - Z żalem wielkim przekonywam się, że ksiądz jesteś sofistą! Tylko sofista zdolny być może mieszać Fenicjan i Kadmusa z przedsięwzięciami kolonjalnymi zmarłego ministra! Nie można zaprzeczyć, że

rzecz ta jego była dziełem, przeto ksiądz w marny sposób chce zaćmić sprawę, wprowadzając na porządek dzienny Kadmusa.

- Panie Roman, - rzekł ksiądz - zostawmy w spokoju Kadmusa, skoro masz pan do niego osobistą urazę. Chciałem tylko powiedzieć, że minister ma bardzo niewielki jeno udział w swych własnych przedsięwzięciach i że ani chwała mu się nie należy, ani hańba go nie obciąża. Chcę dalej powiedzieć, że jeśli w nędznej komedji życia książęta udają, iż rządzą, a narody udają, że ich słuchają, to jest to jeno zabawka, czczy pozór, a w gruncie rzeczy i ci i tamci powolni są sile wyższej, a niepoznanej.

## ROZDZIAŁ II

### ŚWIĘTY ABRAHAM

Była piękna, ciepła noc letnia. Komary i ćmy tańczyły wokół latarni nad drzwiami „Małego Bachusa”, a ks. Coignard zażywał świeżego powietrza pod sklepieniem portyku św. Benedykta Baturneńskiego. Rozmyślał głęboko, jak to było jego zwyczajem, gdy nagle ujrzał Kasię. Siadła na ławce kamiennej tuż przy znakomitym mężu, który nie lenił się nigdy chwalić Boga w dziełach jego. Z wielkim tedy upodobaniem ją przyglądać się onej dziewczynie, że zaś umysł jego był rzeźwy i zdobny, przeto mówił jej rzeczy miłe i przychlebne. Chwalił ją zato, że nietylko dowcip w języku posiada, ale również w karczku, łonie i innych częściach swej osoby. Powiadał, iż uśmiechać się potrafi nietylko wargami i policzkami, ale także każdym dołeczkiem i każdą szpareczką swego nadobnego ciała, tak, że każdegomierzi osłona, w jaką jest spowita i radby patrzeć na to uśmiechanie bez żadnej przeszkody.

- Z uwagi na to, że grzeszyć już musimy na tej nędznej ziemi - mówił - i nikt nie może unosić się pychą, jakoby mu nie zagrażał upadek, tedy proszę Boga, by mi udzielił

przywileju, iżbym właśnie z tobą upaść mógł, dziewczeczko miła, o ile nie sprzeciwia się to woli twojej. Wynikłyby stąd dwie wielkie korzyści, a mianowicie: po pierwsze, mógłbym grzeszyć z radością wyjątkową i roskoszą niewysłowioną, powtóre zaś znaleźć usprawiedliwienie w potędze wdzięków twoich, jest bowiem niewątpliwie zapisane w księdze losu, iż wdziękom twym nikt oprzyć się niezdolny. Należy wziąć to pod głęboką rozwagę. Zdarza się widzieć ludzi nieroztropnych, spółkujących z kobietami szpetnymi i niemilej postaci. Nieszczęśni ci, czyniąc tak, bliscy są zraty dusz swoich, bowiem grzeszą, by grzeszyć, a grzech ich pracowity przepojony jest jadem zła. Tymczasem cudne ciało twoje, droga Kasiu, to okoliczność łagodząca wielce sprawę w oczach Przedwiecznego. Wdzięki twe zmniejszają niezrównanie występki, z którego łatwiej rozgrzeszyć, ile że jest mimowolny. Krótko mówiąc nadobna panienko, gdy siedzę przy tobie, czuję, że łaska boża opuszcza mnie, oddała się i ulata niby gołąbek srebrzysty. W chwili, gdy wymawiam te słowa, majaczy on ledwo widzialnie na

niebie, ponad dachami, kędy wśród rynien miłują się koty, miotając wrzaski dziecięcym skargom podobne, a księżyc bezczelnie siada na cembrowinie komina i gapi się na nas głupawo. Wszystko co mi danem jest widzieć z osoby twej, Kasienko, porusza mnie wielce, a to czego dojrzyć nie mogę, oczy moje stokroć silniej jeszcze.

Na te słowa Kasia spuściła oczęta na własne kolana, potem potoczyła niemi połyskliwie po obliczu księdza Coignarda i rzekła słodkim głósikiem:

- Widzę życzliwość w tych słowach księże Hieronimie, przeto uczyn mi łaskę pewną, przyrzeknij, że ją spełnisz, a niezawodnie wdzięczną się okażę.

Zacny kapłan przyrzekł ochotnie, któż bowiem na miejscu jego mógłby inaczej postąpić?

Wówczas Kasia zaczęła mówić z wielkiem ożywieniem:

- Wiadomo ci jest księże Hieronimie, że wikarjusz Św. Benedykta, ksiądz Peruczka, obwinił brata Anioła o kradzież osła i wniósł skargę do konsystorza. Otóż niema w tem wszystkim słowa prawdy. Biedny brat Anioł pożyczył sobie jeno osła celem wożenia po wioskach okolicznych świętych relikwji. Osioł sam zgubił się gdzieś W drodze, a relikwje odnalezione z trudem zo

stały. Jest to rzecz pryncypalna, jak powiada zacny braciszek. Niestety ksiądz Perliczka domaga się gwałtownie zwrotu osła i nie chce słuchać wyjaśnień żadnych, toteż,

zdaje się, że nieszczęsny brat Anioł powędruje do więzienia w Arcybiskupstwie. Ty jeden kochany księżu Hieronimie możesz ułagodzić go i skłonić, by cofnął skargę swoją.

- Ależ miła panienko, - zawołał ksiądz Coignard - ani nie mogę, ani nie mam ochoty uczynić tego!

- Oo...- rzekła Kasia, przysuwając się doń bliźniętka i patrząc z czułością niewysłowioną - czułabym się nader nieszczęśliwą, gdybym nie zdołała napełnić cię ochotą wielką, drogi księżu Hieronimie. Jeśli zaś idzie o możliwość, to wiem dobrze, iż możesz, i to bardzo nawet możesz. Tedy nie sprawi ci trudności wyzwolenie biednego braciszka. Wystarczy jeśli podarujesz księdzu Peruczce ośm kazań wielkopostnych i cztery kazania adwentowe. Ułóż ten tuzin kazań, księżu Hieronimie, ułóż na poczekaniu. Cóż to dla ciebie, drogi księżuniu, kazanie? Możesz wytrząść z rękawa ile chcesz i czynisz to nawet z wielką przyjemnością. Zabierz się do roboty copędzej, a ja przyjdę po nie sama do twej celi u Świętego Inocentego. Ksiądz Peruczka uwielbia niezmierną wiedzę twoją, drogi księżu, oraz twe zasługi i uznał,

że tuzin twych kazań dorównywa wartością cenie osła. Skoro je tylko będzie miał, niezwłocznie cofnie skargę. Sam mi to powiedział. Cóż to za trudność napisać tuzin kazań, zważ tylko, a przyrzekam solennie, że sama napiszę na końcu każdego... amen! Trzymam cię za słowo drogi księżuniu... prawda?

To powiedziawszy, otoczyła ramionami jego szyję.

- Odmawiam stanowczo! - oświadczył ksiądz Coignard rozplatając cudne ramionka, obejmujące go uściskiem. - Obietnice dane pięknej dziewczynie dotyczą jeno rzeczy cielesnych, przeto nie jest występkiem łamać słowo! Nie licz na to wcale nadobna panienko, bym miał wydobywać ze szponów świętego konsystorza twego brodatego gacha. Jeśli nawet ułożę kazanie, czy dwa, czy cały tuzin kazań, to jeno na temat złych, niegodnych mnichów, co łążą niby wszy obrzydłe po brodzie i szatach świętego Piotra. Ten brat Anioł, to szelma! Wtyka naiwnym kobietom miast świętych relikwji kości baranie, czy świńskie, które sam ogryzł poprzód z żarłocznością obmierzłą. Wiózł on, ręczę za to, na grzbiecie osła księdza Peruczki pióro ze skrzydeł archanioła Gabrjela, promień z gwiazdy Trzech Królów, a w małej fiołce odrobinę dźwięku dzwonów świę

tyni Salomona. Jest to oszust, łgarz i ty go miłujesz Kasiu, oto trzy powody dla których znosić go nie mogę. Zostawiam twej domyślności panienko do wyboru, który z tych powodów jest najsilniejszy. Może właśnie przeważa ów, który posiada najmniej cech

uczciwości, bowiem brały mnie ku tobie przed chwilą ciągoty nieprzystojne imieniu, wiekowi, ni stanowisku memu. Odczuwam boleśnie krzywdę, jaką twe cycuszki napoły odkryte czynią nieraz Kościołowi Pana Naszego Jezusa Chrystusa, którego członkiem jest arcyniegodnym. Myśl o tym wstrętnym kapucynie napelnia mnie takim obrzydzeniem, że nagle przyszła na mnie chęć zatopić się w medytacjach nad którymś z przepięknych ustępów św. Jana Chryzostoma, miast ocierać kolana swoje o twe łydki, nadobna Kasiu, co czynię już od kwadransa, bowiem żądza grzesznika znikoma jest, zaś chwała Boga, wiekuista. Nigdy nie miałem przesadnego poglądu na grzech nieczystości i tę sprawiedliwość oddać mi chyba każdy musi.

Nie przeraża mnie nigdy, jak św. Nikodema taki drobiazg, jak n. p. poigranie rozkoszne z piękną dziewczyną, natomiast oburza mnie nikczemność duszy, obłuda, kłamstwo, jaskrawe nieuctwo, słowem to wszystko co czynią brata Anioła skończonym kapucynem. Obcowanie

z nim ubliża ci panienko, nabierasz przezto manjer flondry, szmaty, co nie przystoi zgoła twemu stanowisku dziewczyny lekkich obyczajów. Wiem jaki z tem związany jest wstyd i troska, ale stan ten nierównie wyższym jest jeszcze od kondycji smrodliwego kapucyna. Wisielec ten pozbawia cię honoru, podobnie jak ubliża rysztokowi ulicy św. Jakóba, myjąc w nim nogi swoje. Pomyśl o cnotach, jakimi byś się jeszcze mogła przyozdobić w swym niewyraźnym zawodzie, z których nawet jedna jedyna, gdyby była jeno dość wielka, mogłaby ci rozewrzyć wrota szczęśliwości niebieskiej. Ale nic z tego jak długo związaną będziesz chucią cielesną z oną bestją poczwarną.

Oddając się nawet czasem temu, czy owemu, bo wszakże trudno inaczej na tym padole płaczu, mogłabyś Kazieńko miła kwitnąć w świętej wierze naszej, w nadziei i miłosiernych uczynkach, miłować biednych i odwiedzać chorych. Mogłabyś zostać jałmużniczką współczującą niedoli, w czystości serca radować się widokiem nieba, wody, lasów i pól. Otworzyłszy rankiem okno swej izdebki, mogłabyś chwalić Boga, wsłuchując się w szczebiot ptasząt. Czasu pielgrzymki pobożnej na górę św. Walerjusza uklękłabyś pod kapliczką i płakała rzewnie nad utraconą niewinnością swoją, a wówczas ten, który czyta w sercu czło

wieka, rzekłby: - Oto córka moja umiłowana Katarzyna, a w duszy jej płonie zarzewie świętego ognia, który nie wygaś doszczętnie!

- Księżę Hieronimie! - przerwała mu Kasia porywczo - Całe, widzę, kazanie mówisz i to z pamięci!

- Czyż nie żądałaś przed chwilą tuzina, nadobna dzierlatko?

Rozgniewała się na dobre.

- Strzeż się księżę Hieronimie! - zawołała. Od ciebie samego zależy, czy będziemy przyjaciółmi czy wrogami! Ułożysz tuzin kazań, czy nie? Namyśl się zanim odpowiesz!

- Panienko, - odparł poważnie ks. Coignard - nigdy w życiu nie popełniałem czynów hańbiących, po namyśle!

- Nie chcesz księżuniu? Nie? Pomyślne.. raz... dwa... Odmawiasz? Pożałujesz, bo zemszczę się srogo!

Dąsała się przez chwilę, zamilkła i odsunęła się. Nagle skoczyła mu na kolana i zaczęła krzyczyć:

- Puść mnie! Puść mnie księżę Coignard! Jakto, w tym wieku nie masz poszanowania dla swej sukienki duchownej? Nie duś mnie tak! To Wstyd! Wstyd... księżę, puszczajże raz do licha!

Piszczala, jęczała najokropniej, a w tejsamej chwili ujrzał ksiądz Coignard wchodzącą pod sklepienia portyku pannę Lecoeur, masarkę z pod „Trzech dziewic”. Szła o tej późnej porze spowiadać się u trzeciego wikariusza św. Benedykta i spostrzegłszy parę na ławce, odwróciła głowę z wyrazem nieopisanego wstrętu.

Ksiądz Hieronim przyznał w duchu, że zemsta Kasi była natychmiastowa i niezawodna, gdyż cnotliwość panny Lecoeur, wzrastając z wiekiem stała się tak potężna, iż gromiła każdy objaw nieczystości w całej parafji i przeszywała siedm razy na dzień ostrzem języka grzeszników, oddających się uciechom cielesnym w ulicy św. Jakóba.

Ale Kasia sama nie zdawała sobie sprawy z rozmiarów swej zemsty. Zauważyła idącą przez plac pannę Lecoeur, ale nie dostrzegła ojca mego, który znajdował również w pobliżu.

Szedł wraz ze mną zabrać księdza Coignarda pod „małego Bachusa”, a mój zasny życiodawca czuł wielki pociąg do Kasi i nic go bardziej nie gniewało, jak natręctwo rozlicznych gaszków, dobierających się do jej skarbów zbyt obcesowo. Nie łudził się wcale co do jej postępowania, ale wiedzieć, a widzieć były to, jego zdaniem, dwie zgoła odrębne nieprzyjemności. Krzyki Kasi do

latały bardzo wyraźnie do jego uszu, a był porywczy i nie umiał panować nad sobą. Toteż bałem się bardzo, by gniew jego nie wyładował się w słowach ordynarnych i brutalnych

pogrózkach. Widziałem już w duchu jak bierze w rękę wielki szpikulec, zawieszony zawsze u pasa, niby szpada honorowa, bowiem sławę swą zakładał i zaszczyt cały w tem, że był kuchcią.

Ale obawy moje były w połowie jeno uzasadnione. Okoliczność ta, że Kasia okazała się cnotliwą, ułagodziła wielce mego rodzica, toteż poprzestał na tem, że chwyta księdza na gorącym uczynku i nie zamierzał go obrażać, przeciwnie zadowolenie wzięło górę nad gniewem.

Zbliżył się do mego drogiego mistrza dosyć poufale i rzekł z szyderczą powagą:

- Księżę Coignardzie, wiedz o tem, że każdy kapłan zbliżający się do dziewczki, zatracą swą cnotę i naraża na szwank honor. I jest to nawet słuszne, że rokosz nie dorównywa stracie.

Kasia oddaliła się, strojąc powabne minki uciśnionego niewiniątka, zaś mistrz mój odpowiedział ojcu z miłym uśmiechem słodko i wymownie, jak zawsze:

- To wyśmienita maksyma mistrzu Leonardzie. Ale nie należy jej stosować bez zastanowienia i przyklejać wszędzie, za lada okazją,

jak to czyni kulawy nożownik, wybijający na każdym koziku swój znak wyobrażający psa z podniesioną nogą. Nie będę się zapuszczał w roztrząsanie, czy na apostrofę zasłużyłem, poprzestanę jeno na zapewnieniu, że może tak było w istocie.

Jest rzeczą nieprzystojną zgoła, mówić o sobie samym, a zbyt wielki gwałt bym zadać musiał skromności wrodzonej, zmuszając się do dyskusji o sprawach dotyczących mnie osobiście. Wolę tedy przeciwstawić twierdzeniu twemu drogi Leonardzie przykład czcigodnego Roberta d'Arbrissela, który przez bliskie stosunki z prostytutkami osiągnął wielkie zasługi duchowe. Mogę również zacytować św. Abrahama syryjskiego, pustelnika i anachoretę, który nie zawahał się nocować w domu o bardzo złej sławie.

- Cóż to za święty Abraham? - spytał mój rodzic, którego myśli były zgoła gdzieindziej w tej chwili.

- Usiądźmy przed drzwiami twojej gospody, - rzekł niezrównany mistrz mój - przynieś dzban wina, a powiem ci Leonardzie historję owego Wielkiego świętego, jak ją podaje sam święty Efreem, mąż wiarygodny wielce.

Ojciec zgodził się niezwłocznie, zajęliśmy wszyscy trzej miejsce pod wystawą gospody, a mój drogi mistrz w te ozwał się słowa:

- Święty Abraham, stary już w onym czasie, żył samotny na puszczy w małej chatce. Nagle zmarł brat jego, pozostawiając córkę, dziewczynę wielkiej piękności, Marję.



Przekonany, że życie, jakie sam wiedzie, będzie równie doskonałym dla bratanicy, Abraham zbudował jej celkę blisko swojej chatki i uczyniwszy okienko w ścianie, głosił jej przez nie słowo boże.

Przyuczył ją pościć, trwać na modlitwie i śpiewać psalmy i tak żyli sobie przez czas pewien. Ale pewnego dnia wśliznął się do celi Marji mnich jeden, musiał to być mnich fałszywy, albo też kapucyn i podczas kiedy święty mąż, zagłębiony był w Pismo, przywiódł ją do grzechu.

Gdy się to stało raz, drugi i trzeci, rzekła do siebie dziewczyna:

- Umarłam już dla Boga i nie mam siły powstać z martwych, przeto lepiej iść mi w okolicę, gdzie mnie nikt nie zna.

Porzuciła swą celkę i udała się do miasta sąsiedniego, mianem Edessa, gdzie były rozkoszne ogrody i rzeźwe wodotryski, a i dotąd jeszcze miasto owo zalicza się do najpiękniejszych miast Syrii.

Przez kilka dni trwał mąż święty, Abraham w głębokiej medytacji i bratanicy dawno już nie było kiedy otwarłszy okienko, spytał:

- Czemuż to Marjo nie śpiewasz psalmu, który nuciłaś tak pięknie?

Nie otrzymawszy odpowiedzi, powziął podejrzenie straszne, i domyśliwszy się całej prawdy, zakrzyknął:

- Oto wilk drapieżny porwał mi owieczkę moją!

Przywalony brzemieniem troski trwał na pustyni przez dwa jeszcze lata, poczem doszły go wieści, iż Marja wiedzie gorszący żywot. Chcąc działać roztropnie poprosił jednego z pątników, byrzecz zbadał i przyniósł wiadomość ścisłą. Pątnik zbadał sprawę najdokładniej osobiście, wrócił i powiedział świętemu, że Marja w istocie zesłała na ścieżkę grzechu cielesnego. Natenczas św. Abraham uprosił onego pątnika, by mu pożyczył stroju rycerskiego i konia, a zasłoniwszy dla niepoznaki twarz wielkim kapeluszem, udał się do wspaniałej gospody, gdzie, jak mu powiedziano, miała swój apartament Marja. Przybywszy na miejsce, rozglądał się Wszędzie, czy jej nie zobaczy, gdy się jednak nie ukazywała, wziął na bok gospodarza i spytał, udając iż się uśmiecha pożądliwie.

- Zacny panie, słyszałem, że macie tu u siebie śliczną dziewczynę! Czy mógłbym ją zobaczyć?

Gospodarz był bardzo uprzejmy dla swych gości, przeto zaprowadził przybysza do pokojów Marji a święty mąż na pierwsze Wejrzenie osądził

z samego stroju swej bratanicy, jak powiada św. Efrern, że musi częściej rozbierać się, niż ubierać, czyli pędzi żywot arcyniegodny. Patrząc na to, doznał św. Abraham wielkiego przygnębienia.

Udał jednak wesołość i zamówił wystawną biesiadę. Marja była dnia tego właśnie w usposobieniu ponurem, bowiem nie zawsze dając rokosz doznawała jej sama, a widok owego starca którego nie poznała z powodu iż nie zdjął słoniącego mu oblicze kapelusza, nie budził w niej nadziei na wielkie cielesne uciechy. Gospodarz zburczał ją z powodu tak złego humoru, zgoła niestosownego dla dziewczyny jej kondycji, ona zaś odrzekła z westchnieniem:

- O jakąż szkoda, że nie spodobało się Bogu, bym zmarła przed trzema laty!

Św. Abraham przybrał sposób wysłowienia się światowego rycerza i rzekł:

- Panienko nadobna, nie przybyłem tutaj, by razem z tobą oplakiwać grzechy, ale by radować się miłosnymi uściskami.

Gdy jednak gospodarz zostawił ich sam na sam, święty mąż przestał grać przybraną rolę, zdjął kapelusz, zalał się łzami i spytał:

- Czyż nie poznajesz mnie droga córko moja? Czyż nie widzisz że jest Abraham, ojciec twój przybrany?

Ujął jej ręce i przez całą noc zagrzewał do żalu, skruchy i pokuty, strzegąc się pilnie, by nie przywieść jej do zwątpienia w możliwość naprawy życia.

- Córko moja, - mówił - Bóg jeden jest bez grzechu! My, słabi ludzie musimy grzeszyć na tej ziemi!

Marja miała duszę z natury dobrą, a serce czułe, zgodziła się przeto wracać na pustynię i gdy dzień nastał nowy, ruszyli oboje. Chciała zabrać suknie swe i klejnoty, ale święty mąż przekonał ją, że lepiej zostawić te znikomości światowe. Posadził ją przed siebie na konia i osadził w celi pustniczej, gdzie zaczęli na nowo wieść bogobojny żywot poprzedni. Święty Abraham postarał się jeno, by celka Marji nie miała dostępu z zewnątrz i by każdym razem musiała przechodzić przez izdebkę, w której sam mieszkał. W ten sposób, przy pomocy bożej ustrzegł swej drogiej owieczki i nie utracił jej do końca dni swoich.

Taka to jest historia o świętym Abrahamie?

Powiedziawszy co rzec miał, drogi mistrz mój sięgnął po szklanę z winem, a ojciec oświadczył szczerze:

- Przecudna to opowieść. Nieszczęsne przygody biednej Marji wycisnęły mi łzy rozczulenia z oczu.

### ROZDZIAŁ III

#### MINISTROWIE PAŃSTWA

Zdumiliśmy się bardzo obaj, drogi mistrz mój i ja, spotkawszy pewnego dnia w księgami pana Blaizota „pod obrazem św. Katarzyny” małego, chudego, żółtego człeczka, słynnego biblijofila, paszkwilistę i erudytę, Jana Hibou, zwanego w kole znajomych Puchaczem. Mieliśmy dużo słuszych powodów przypuszczać, że siedzi w Bastylli, gdzie nawykł pędzić znaczną część życia. Nie poznaliśmy go nawet odrazu z tego powodu, że oblicze jego przysłańcał coś niby wilgotny opar kazamat podziemnych.

Drżącą dłonią przewracał kartki pism politycznych świeżo nadeszłych z Holandji, a księgarz patrzył na to z niepokojem. Ks. Coignard zdjął przed nim uprzejmie kapelusz, a pozdrowienie owo Wypadłoby nierównie jeszcze powabniej, gdyby kapelusz drogiego mistrza mego nie był mocno nadwyreżony, co się stało minionego wieczoru podczas pewnej drobnej kontrowersji pod małym Bachusem”.

Książd Coignard wyraził radość swą na widok znakomitego człowieka, ten zaś odparł:

- Nie długo tu już pobędę, dobrodzieju. Wyjeżdżam z tego kraju, gdzie mi żyć nie dają spokojnie. Nie mogę już oddychać dłużej powietrzem onego zepsutego miasta i za miesiąc osiedlam się w Holandji. Trudno wytrzymać tu, naprzód Dubois, potem zaś Fleury... oo... jestem człowiekiem zbyt cnotliwym, bym mógł zostać dalej Francuzem. Rządy nasze opierają się o złe zasady, a kierownikami polityki są głupcy i łajdaki. Nie mogę tego znieść, nie mogę!

- To prawda, - powiedział mój mistrz niestrudzony - sprawy publiczne źle są prowadzone i mnóstwo złodziei grasuje. Durnie i ludzie złej woli podzielili się władzą i może z czasem napiszę książeczkę w tej materji w rodzaju Apokolokyntosu filozofa Seneki, lub naszej Menippe, bowiem gustuję w tym typie. Lekkość i żartobliwość stosowniejsza jest w takim razie od ponurej oschłości Tacyta, lub męczącej powagi takiego de Thou. Będą to niewielkie broszurki kieszonkowe, łatwe do skrycia pod płaszczem i pragnę je przepoić filozoficzną pogardą ludzkości. Osobistości stojące u steru wpadną we wściekłość, ręcę za to, ale znajdą się i tacy, którym ta lektura sprawi tajemne zadowolenie, gdy się przekonają,

iz okryłem ich niesławą. Tak mniemam, opierając się na tem, com usłyszał od pewnej damy wysokiego rodu w Sééz, w czasie kiedy byłem tam bibliotekarzem biskupa. Trzeba wiedzieć, że dama ta przez lat dwadzieścia była najlepiej noszącą klaczą w całej Normandji i

kto chciał i nie chciał mógł się na niej przejechać truchta, czy galopa wedle gustu. Otóż spytałem pewnego razu, jaki rodzaj rozkoszy sprawił jej największą przyjemność w życiu?

Rozkosz niesławny! - odparła bez wahania i przekonało mnie to, iż posada umysł wykwinny.

Pochlebiam może naszym ministrom, przypuszczając, że znajdzie się bodaj jeden tego rodzaju subtelniś pośród nich, ale pisał będę ze świadomym zamiarem złożenia im dyskretnej gratulacji za to, iż są występni i infamisy. Na cóż zresztą odkładać na potem pomysł tak piękny? Oto poproszę niezwłocznie kochanego pana Blaizota o niewielki zeszycik i skreślę odrazu pierwszy rozdział nowej Menippeï.

Wyciągnął już rękę do zdumionego Blaizota, ale p. Hibou wstrzymał go nagle.

- Odlóż księżo Hieronimie wykonanie pięknego projektu swego aż do czasu, kiedy zabiorę cię z sobą do Holandji i wyrobię ci w Amster

damie posadę u jakiegoś fabrykanta lemonjady, czy właściciela łaźni parowej. Będiesz tam w spokoju ducha mógł po całych nocach pisać swą Menippeję na jednym końcu stołu, ja zaś na drugim pisał będę paszkwile. Będzie to dzieło zbożne i kto wie, czy nie przyczynimy się do zmiany ustroju państwa. Paszkwiliści mają więcej, niż się zdaje zasług w obalaniu rządów, przysposabiają katastrofę, której dokonywują potem ludy.

- Cóżby to był za triumf! - dodał po chwili syczącym głosem, który ulatał szczelinami szczerbatych, czarnych, spruchniałych zębów, wraz z przykrym odorem jamy ustnej - Cóżby to za radość była, gdyby mi się udało obalić któregoś z tych panków, którzy mnie tyle razy pakowali do Bastylli! Weźmy się obaj razem do tej pięknej pracy, księżo Hieronimie!

- Za nic w świecie! - odrzekł drogi mistrz mój. - Nie chcę pod żadnym warunkiem przyczyniać się do zmiany formy rządu państwa, a jeśli mój Apokolokyntos, czy Menippea taki mają dać rezultat, to stanowczo rezygnuję z pisania.

- Co? - wrzasnął zdumiony paszkwilista. - Czyż nie mówiłeś dobrodziej przed chwilą, że rząd nasz djabła wart?

- Mówilem! - odrzekł ks. Coignard. Ale idę w ślady mądrej metody onej staruszki syrakuzkańskiej, która za rządów Djonizjusza, znieawidzonego przez cały lud potwora, codziennie chodziła do świątyni modlić się za pomyślność tyrana. Powiadomiony o tej dziwnej nabożności Djonizjusz zapragnął dowiedzieć się, jaki jest jej powód. Kazał sprowadzić z acną kobiecinę i spytał.

- Jestem stara, - odparła - żyłam pod wielu już tyranami i zrobiłam spostrzeżenie, że po złym nastawał jeszcze gorszy. Ty jesteś największym potworem jakiego widziałam, a więc twój następca byłby czemś tak przerażnym, że trudno sobie wyobrazić i chyba światby się musiał skończyć pod jego rządami. Dlatego właśnie proszę bogów, by nastał jaknajpóźniej.

Ta starowina, drogi Puchaczu nasz, miała wielką słusność. Owce winny znosić cierpliwie strzyżenie nożycami starego pasterza, bo może nastać młody, który im zedrze wełnę razem ze skórą.

Na te słowa rozlała się żółć Puchacza i jał mówić z oburzeniem i goryczą wielką:

- O cóż za nikczemne, tchórzliwe słowa! Cóż za maksymy niegodne! O księżu, jakże mało leży ci na sercu dobro narodu! Zaprawdę, nie zasługujesz na wieniec dębowy, przyobiecany przez

poetów mężnym obrońcom ojczyzny i obywatelom. Trzeba ci było przyjść na świat u Tatarów, Turków, być rabem niewolnym Dżyngiskana, lub Bajazeta, nie zaś żyć w Europie, gdzie cię nauczono zasad praw obywatelskich i wtajemniczono w arkana filozofji! Co słyszysz? Chcesz dźwigać jarzmo złego rządu, nie myśląc zgoła o zmianie? Uczucia tego rodzaju w republice urządzonej po mojej myśli zostałyby ukarane conajmniej wygnaniem, czy relegacją. Tak drogi księżu, dorzucę osobny artykuł do wzorowanego na starożytności projektu konstytucji, nad którym właśnie pracuję, a artykuł ten zawierał będzie postanowienia karne przeciw podobnym tobie, złym obywatelom. Wyznaczę srogie kary na każdego, kto, mogąc ulepszyć urządzenia państwowe, nie uczyni tego.

- Ha... ha... ha! - odrzekł ze śmiechem ks. Coignard. - To mnie wcale nie zachęca da zamieszkania w twojej nowej Arkadji, drogi panie Puchaczu. Z tego co słyszysz, widzę, że panował tam będzie straszliwy przymus!

Pan Jan Hibou wyprostował się i odparł sentencjonalnie:

- Będzie panował jeno przymus cnoty!

- Ach! - zawołał ksiądz - Jakże słusznem było postępowanie owej syrokuzańskiej staruszki! Wiedziała ona, że kto przeżyje panów Dubois.

i Fleury, zadrzy przed panem Hibou! Otwierasz drogi Puchaczu przedemną widoki rządów despotów i obłudników i w celu ziszczenia tego rajy naziemi chcesz bym został roznościelem lemonjady, lub parobkiem w łaźni, na którymś z kanałów Amsterdamu? Dziękuję uprzejmie za tę łaskę! Zostanę sobie spokojnie przy ulicy św. Jakóba, gdzie można spijać winko i podstawiać nogi ministrom. Nie sądź, że zdołasz mnie pociągnąć mirażem

rządów ludzi uczciwych, którzy wolność otaczają taką palisadą gwarancji, iż człowiek nabija się co chwila na pal!

- Księżę! - powiedział Jan Hibou rozgorączkowany - Czy możesz z dobrą wiarą wydawać sądy o moim systemie policyjnym, jakiego projekt ułożyłem w Bastylli, a którego nie znasz wcale?

- Panie, - odrzekł mistrz - nie uznaję systemu opartego na intrydze i gwałcie! Opozycja to bardzo zła szkoła rządzenia, a politycy rozumni, którzy przed dojściem do władzy muszą się czasem imać tych środków, starają się usilnie rządzić. Wedle zgoła odmiennych maksym, jak te, które głosili za opozycji. Widzieliśmy to w Chinach i gdzieindziej. Skłania ich do tego ta sama konieczność, której ulegali ich poprzednicy. Do rządów wnoszą jeno jedną nowość, to znaczy swój brak doświadczenia. To mnie skłania, panie

Hibou, do twierdzenia, że każdy nowy rząd będzie gorszy od dawnego, nie różniąc się odeń zasadniczo. Wszakżeśmy już tego doświadczyli.

- Jesteś tedy ksiądz zwolennikiem nadużyć i bezprawia? - spytał szorstko p. Hibou.

- Tyś powiedział! - odparł spokojnie drogi mistrz mój - Rządy są jak wino, klarują się i stają słodsze z biegiem czasu. Najsroźsze zatracają z czasem swe pazury. Boję się monarchji, gdy młoda i silna, boję się również nowonarodzonej republikańskiej cnoty, ponieważ zaś na tej ziemi musimy już podlegać złym rządóm, przeto czuję pociąg do książąt i monarchów, którzy utracił i już swój wigor męski.

Na te słowa JMĆ. Pan Hibou wsadził z pasją kapelusz na głowę i powiedział: do widzenia, głosem mocno zirytowanym.

Gdy odszedł, p. Blazot podniósł oczy z nad swych rejestrów i ozwał się do mego mistrza, poprawiając okulary na nosie:

- Od czterdziestu blisko lat jestem księgarzem „Pod obrazem św. Katarzyny” i zawsze radością mnie nową napełnia przysłuchiwanie się rozmowom ludzi uczonych, przychodzących do mego sklepu. Ale nie bardzo gustuję w enuncjacjach na temat spraw publicznych. To podnieca zanadto i powoduje jałowe spory.

- Niema bowiem w tych sprawach stałych i ugruntowanych zasad - zauważył mistrz.

- Istnieje w każdym razie conajmniej jedna, której podawać w wątpliwości nikt nie może! - odparł pan Blazot - Musiałby być złym katolikiem i złym Francuzem ten, kto by powątpiewał w cudowne działanie świętej ampulki z Reims, której krzyżmo namaszcza

królów naszych na przedstawicieli Pana Naszego Jezusa Chrystusa w państwie francuskim. Oto niewzruszalny fundament monarchji i nic nim zachwiać nie może.

#### ROZDZIAŁ IV

##### SPRAWA MISSISIPI

Jak wiadomo w roku toczyła się przed parlamentem paryskim sprawa Missisipi, w którą wmieszani byli razem z dyrektorami tego towarzystwa, pewien minister, sekretarz króla i kilku intendentów prowincjonalnych. Towarzystwo zostało obwinione o przekupstwo oficerów królewskich, a reszta o liczne przekroczenia, jakich dopuszczają się zwykle chciwi ludzie, stojący u steru państwa, którego rząd jest słaby. Nie ulega wątpliwości, że w czasach owych wszystkie organy rządu były nadwyrężone i funkcjonowały wadliwie. W czasie jednej z audjencji tegoż procesu członkowie parlamentu przesłuchiwali w wielkiej sali panią de la Morangere, żonę jednego z dyrektorów Towarzystwa Missisipi. Zeznała ona, że niejaki JMĆ. pan Lescot, sekretarz sędziego śledczego wezwał ją dyskretnie do Chatelet i dał do poznania, iż od niej samej tylko zależy ocalenie męża, człowieka wielkiej urody i pięknej postawy. Powiedział do niej te mniejwięcej słowa: Pani, prawdziwych przyjaciół króla oburza w tej całej

sprawie głównie fakt, że nie są w nią wmieszani janseniści. Janseniści, jak pani wiadomo, są to wrogowie korony i świętej religji naszej. Daj nam pani sposobność skompromitowania jednego bodaj z nich, a my ocenimy jak należy tę przysługę uczynioną państwu, puścimy wolno męża i zdejmujemy areszt z jego majątku.

Gdy pani de Morangere skończyła to zeznanie nieodpowiednio, zgoła złożone publicznie, pan prezydent parlamentu zmuszonym się uczuł wezwać do wielkiej sali rozpraw IMĆ. pana Lescota, który zrazu próbował przeczyć. Ale pani de la Morangere miała precudne, głębokie oczy, których spojrzeniu nie mógł się długo oprzeć biedny sekretarz. Zmieszał się tedy i przegrał sprawę. Był to wysoki, brzydki, rudy człeczysko, podobny do Judasza z Karjotu.

Szczegół ten dostał się do pism i stał się tematem rozmów Paryża. Mówiono o nim po salonach, na spacerach, u fryzjerów i po kioskach z lemonjadą. Pani de la Morangere budziła sympatję wszystkich, zaś IMĆ. Lescot wstręt ogółu.

Zaciekawienie było jeszcze silne, gdy pewnego dnia udałem się wraz z moim droгим mistrzem, księdzem Hieronimem Coignardem do p. Blaizota, jak już wiadomo wszystkim, księgarza”Pod obrazem św. Katarzyny” przy ulicy św. Jakóba.

Spotkaliśmy w sklepie sekretarza osobistego jednego z ministrów, pana Gentila, zatopionego w książce nadesłanej świeżo z Holandji, oraz słynnego pana Roman, autora wielu bardzo cenionych prac o „racji stanu”. Stary Blaizot, skulony za ladą, czytał gazetę.

Ks. Hieronim Coignard przysunął się do niego blisko, chcąc poprzez ramię zachwycić kilka bodaj nowinek, na które był bardzo łasy. Ten mędrzec, ten człowiek obdarzony genjuszem, nie wziął w udzięk najdrobniejszej nawet cząstki dóbr tej ziemi, toteż wypiwszy szklaneczkę wina pod „Małym Bachusem”, nie miał już grosza na kupno gazety. Odczytawszy z poza pleców pana Blaizot zeznanie pani de la Morangère, oświadczył, że się stało dobrze i że zadowolony jest z tego, iż wieża krzywd wiekowych zaczyna walić się pod lekkim dotknięciem kobiecej dłoni, czego zresztą mnóstwo przykładów znaleźć można w Piśmie Świętym.

- Ta dama, - dodał - mimo, że sprzymierzona jest z publikanami, których nie znoszę, przypomina owe silne kobiety, wysławiane w Księdze Królów. Pociąga dziwną mieszaniną uczciwości i sprytu, toteż z żywą sympatją witam jej zwycięstwo.

Pan Roman przerwał mu:

- Ostrożnie księżę drogi, - powiedział, Wznosząc rękę - ostrożnie! Zwracam uwagę, że traktujesz sprawę z punktu czysto indywidualnego i osobniczego, nie biorąc zgoła w rachubę, co koniecznie uczynić należy, interesów państwa, związanych nierozłącznie z owym fatalnym zeznaniem. We wszystkim dopatrywać się musimy racji stanu, a jasnym jest, że ta naczelna racja domagała się, by pani de la Morangère nie zeznawała wcale, albo, by słowa jej nie znalazły wiary.

Pan Gentil podniósł nos z nad książki.

- Przesadzono w sposób absurdalny doniosłość całego tego zeznania! - oświadczył stanoczwo.

- O, panie sekretarzu, - odparł pan Roman żywo - nie damy chyba wmówić w siebie, że wydarzenie, które pana wyrzuciło z siodła, nie posiada żadnego znaczenia. Obaliliście się obaj, zacny panie, zarówno pan jak i pański szef, to nie ulega kwestji i żal mi bardzo. Ale więcej niż upadek ministra, którego dotknął cios, żałuję że nie był on w możności uprzedzić tego ciosu i udaremnić go.

Pan Gentil dał do zrozumienia lekkim mrugnięciem powiek, że w tym punkcie najzupełniej zgadza się z mówcą.



Pan Roman ciągnął dalej:

- Państwo przypomina zupełnie organizm ludzki. Nie wszystkie jego funkcje są piękne i dostojne i dlatego to koniecznym jest ukrywać niektóre, często najniezbędniejsze.

- Ach, panie - ozwał się ksiądz Coignard - czy było koniecznym takie postępowanie pana Lescota z biedną żoną więźnia? Przecież to hańba?

- Hańbą stało się to dopiero z chwilą, kiedy wyszło na jaw! - odrzekł pan Roman. - Przedtem było drobiazgiem. Jeśli życzy sobie ktoś by posiadał rząd co jedynie wznosi człowieka ponad zwierzęta, to musi dać rządzącym środki wykonywania tej władzy. Pierwszym z nich jest tajemnica. Dlatego też rząd ludowy najmniej tajny, jest jednocześnie najsłabszy. Czyż sądzisz księżo Hieronimie, że można ludźmi kierować zapomocą cnoty? To urojenie, to sen!

- Nie sądzę tak! - odparł dostojny mistrz. W różnych okresach życia mego uczyniłem spostrzeżenie, że ludzie są to złe i głupie zwierzęta, które ulec mogą jeno sile, lub chytrności. Ale trzeba zachować w tem pewną miarę, i nie niweczyć doszczętnie tej odrobiny dobrych skłonności, jakie stanowią przymieszkę złych instynktów w ich duszach. Przecież człowiek, szanowny panie,

jakkolwiek jest zły, nikczemny, głupi i okrutny, stworzony został na obraz i podobieństwo Boga i pozostało w nim kilka bodaj cech tej pierwotnej jego natury. Rząd, mijający się z przeciętną bodaj i wszystkich obowiązującą uczciwością i niecący oburzenie mas ludu, powinien zostać obalony!

- Ciszej! Ciszej, księżo Hieronimie! - powiedział pan Gentil.

- Suweren nie myli się nigdy! - oświadczył pan Roman, a maksymy pańskie, księżo dobrodzieju, godne są buntownika. Ci, co takie mają poglądy, zasługują na to, by wogóle żadnego nie posiadali rządu.

- Jeśli rząd, jak pan dajesz do zrozumienia, polega na oszustwie, gwałcie, zdzierstwach wszelakiego rodzaju - odrzekł mistrz - to niema obawy, by ta pogróżka mogła mieć jakiś dotkliwszy skutek. Znajdziemy jeszcze sporo ministrów i gubernatorów prowincji, z których tworzyć sobie będziemy mogli niezliczone rządy. Chciałbym jeno, by na miejsce obecnych zjawili się inni. Nowi nie mogą być chyba gorsi od dawnych, a któż wie, czy nie byłiby nawet trochę lepsi?

- Ostrożnie, ostrożnie! - powiedział pan Roman. - Najcudowniejszą rzeczą w państwie jest właśnie ów rozwój i nieprzerwane następstwo,

a jeśli niema na świecie państw doskonałych, to przyczynę tego zjawiska upatruję w potopie, który za czasów Noego wprowadził wielkie zaburzenie w dziedziczeniu władzy królewskiej i następstwie tronu różnych państw świata. Nastał nieporządek, z którego po dziś dzień otrząsnąć się nie możemy.

- Szanowny panie, - odparł mistrz - teorie pańskie są wielce zabawne. Wszakże dzieje ludzkości mieszczą w sobie mnóstwo rewolucyj, wojen domowych, zaburzeń i buntów spowodowanych okrucieństwem panujących i zaprawdę nie wiem co podziwiać należy dzisiaj bardziej, bezwstyd władców, czy cierpliwość ludów?

Sekretarz wyraził ubolewanie, że ksiądz Coignard zapoznaje dobrodziejstwa monarchji, zaś pan Blaizot zwrócił uwagę, że jest rzeczą niewłaściwą dysputować o sprawach publicznych w sklepie księgarza.

Gdyśmy wyszli, pociągnąłem drogiego mistrza mego za rękaw sutanny i spytałem:

- Księżę dobrodziejju, zapomniałeś widzę zupełnie o owej staruszce syrakuzkańskiej, skoro domagasz się zmiany tyrana?

- Rożenku, synu mój, - odrzekł - przyznaję ochotnie że popadłem w sprzeczność. Ale ta dwulicowość, którą odkryłeś, słusznie, w poglądach moich nie jest tak szkodliwą jak druga,

zwana przez filozofów antynomją. Charron, zapewnia w swem dziele „O mądrości”, że istnieją autynomje, których rozwikłać niepodobna. Ja sam widzę zawsze, ilekroć zatapiam się w zgłębianiu natury, conajmniej pół tuzina owych djablic, wyprawiających harce w mym mózgu i chcących sobie wzajem wydrapać oczy. Opuszcza mnie nadzieja pogodzenia ich i im właśnie przypisuję całą winę, iż nie uczyniłem wielkich postępów w metafizyce. W tym jednak wypadku Rożenku, synu mój, sprzeczność owa jest jeno pozorna. Rozum mój stoi zawsze po stronie syrakuzkańskiej staruszki i ma dzisiaj tensam pogląd, jaki miał wczoraj. Dałem się tylko dzisiaj unieść sercu i dałem folgę uczuciu, jak człek powszedni.

## ROZDZIAŁ V

### WIELKANOCNE JAJKA

Ojciec mój był kucharzem i miał gospodę przy ulicy świętego Jakóba, naprzeciwko kościoła św. Benedykta Betuneńskiego i nie mogę twierdzić, by miał zamiłowanie w Wielkim Poście, gdyż uczucie tego rodzaju byłoby u kucharza wprost nienaturalne. Ale przestrzegał postów i abstynencji, jak przystało dobremu katolikowi. Nie mając pieniędzy na kupno dyspenzy w Arcybiskupstwie, zadowalał się w dni postne suszonym kablonek, wraz

ze swoją żoną, synem, psem i zwykłymi gośćmi, pośród których najczęstszym był drogi mistrz mój, ksiądz Hieronim Coignard.

Świątobliwa matka moja nie byłaby nigdy zezwoliła na to, by stróż naszego dobytku Burek, ogryzł jedne bodaj kość w Wielki Piątek. Dnia tego nie dorzucała do osypki biednego zwierzęcia mięsa, ani też nie maściła mu jadła.

Daremnie przedstawiał jej szczegółowo ksiądz Coignard, że źle czyni, gdyż biorąc rzecz ze stanowiska słuszności. Burek, nie mający udziału

w świętej tajemnicy Odkupienia, nie ma również obowiązku ograniczania się w jadle z tego tytułu.

- Zacna pani! - mawiał ten wielki człowiek - Słuszna to i sprawiedliwa rzecz, byśmy, jako członkowie Świętego Kościoła zaspakajali swój głód w dniu nakazane suchym jeno kablonem. Ale zdaje mi się, że włączanie psa do owych zbawiennych i świątobliwych umartwień, które miłe są Bogu i dlatego pochwały godne, choć w innym razie byłyby śmieszne i wstrętne, że powiadam owo wtajemniczanie bezrozumnej istoty w praktyki katolickie jest przesądem, bezbożnością, zuchwalstwem, a może nawet świętokradztwem. Jest to występki, który prostota serca pani, czyni bezwinnym, któryby jednak był zbrodnią u doktora filozofji, czy prawa, a nawet każdego katolika o umyśle krytycznym. Praktyka taka szanowna gosposiu nasza, wiedzie prosto do najstraszniejszej herezji, bowiem wynika z niej przypuszczenie, że Pan nasz Jezus Chrystus umarł, dając życie nietylko za synów Adama, ale nawet za bezrozumne stworzenia. Takie twierdzenie sprzeciwia się zupełnie Pismu Świętemu.

- Być może! - powiadała na to zwykle matka moja. - Ale gdyby Burek jadł mięso w Wielki Piątek, zdawałoby mi się że jest żydem

i nabrałabym doń obrzydzenia! Czy to także grzech księżu dobrodzieju?

Drogi mistrz mój uśmiechał się i pociągnąwszy haust wina, odpowiadał z dobrocią:

- Zacna gosposiu, nie roztrząsając narazie czy pani grzeszy, czy nie, powiem jeno, że niemasz w pani śladu zła i że wierzę w zbawienie duszy pani dużo silniej, niż w takież los dusz kilkunastu znanych mi osobiście biskupów i kardynałów, którzy napisali niezrównane traktaty o prawie kanonicznem.

Burek obwąchiwał swą chudą osypkę i połykał ją, dławiąc się każdym łykiem, a ojciec udawał się z księdzem Coignardem na krótkie posiedzenie pod „Małego Bachusa”.

W ten sposób spędzaliśmy przykładowie ostatni wielkopostny tydzień w gospodzie „Pod Królową Gęsią Nóżką”. Ale za to, skoro tylko dzwony kościoła św. Benedykta

Beturneńskiego ogłosiły w poranek Wielkiej Nocy radosną wieść Zmartwychwstania Pańskiego, ojciec mój nawdziewał na różny całymi tuzinami kurczęta, kaczki i gołębie, a Burek, przysiadłszy u komina, na którym buzował wielki ogień, Wciągał w nozdrza ponętny zapach rumieniącego się sadła i poruszał ogonem rażno, a jednocześnie z powagą i zadumą głęboką.

Stary, podupadły, ślepy niemal zażywał jeszcze uciech tego życia, którego przeciwności znosił z rezygnacją czyniącą je mniej dotkliwymi. Był to mędrzec prawdziwy i nie dziwił się nawet, że matka włączała w pobożne praktyki nasze istotę tak rozumną.

Po przykładowym wysłuchaniu sumy zasiadaliśmy do uczy w sali przesyconej niezrównanymi zapachami, a ojciec zabierał się do jedzenia z radością i namaszczeniem wprost religijnym. Zapraszał zazwyczaj do stołu kilku pisarzy z prokuratorji, oraz mego przezacnego mistrza, księdza Hieronima Coignarda. W roku pańskim, pamiętam doskonale, mistrz mój przyprowadził ze sobą pana Mikołaja Wisienkę, którego wykopał z jakiejś ciemnej jamy przy ulicy Mularskiej, gdzie ten znakomity mąż po całych dniach i nocach pisał dla wydawców holenderskich sprawozdania z ruchu naukowego i artystycznego w Paryżu. Pośrodku stołu, ułożona kunsztownie w drucianym koszyku wznosiła się cała góra czerwonych pisanek, a gdy ksiądz Coignard od mówił Benedicite, jaja te stały się głównym tematem rozmowy.

- Czytamy w Aeljuszu Lampridjuszu - ozwał się pan Mikołaj Wisienka - że kura będąca własnością ojca Aleksandra Sewera, zniosła, w dniu

urodzin tego, przeznaczonego na władcę dziecięcia purpurowe jajo.

- Lampridjusz ów - odparł drogi mój mistrz - nie posiadający sam dużo sprytu, posługiwał się zapewne kobietami celem rozgłaszania baśni tego rodzaju, bo były one w sam raz dla kumoszek. Pan jednak, drogi Wisienko, jesteś chyba zbyt mądry, by z tego mętnego źródła wysnuwać obyczaj katolickich czerwonych pisanek czasu Wielkiej Nocy.

- Nie wierzę wistocie - wyznał p. Mikołaj - by obyczaj ten zaczął się od jaja Aleksandra Sewera. Z zapisku Latnpridjusza wyciągam ten jeno wniosek, że u pogan purpurowe jajo było proroctwem władzy królewskiej. Zresztą - dodał dla ścisłości - jajo to musiało zostać w ten czy inny sposób pomalowane, gdyż kury nie niosą czerwonych jaj.

Matka stała przy kuchni i przyodzabiała półmiski w sposób arcyapetyczny. Na te słowa ozwała się, mniemając słusznie, iż temat wkracza w jej teren operacyjny:

- Za pozwoleniem! Z dziecięcych lat pamiętam jedne czarną kurę, która niosła jaja zupełnie niemal brunatne, toteż nie wzbraniam się dać wiary, że istnieją kury znoszące jaja czer

wone, lub przynajmniej czerwonawe, przypominające kolorem barwę cegły.

- Wszystko możliwe! - zawołał drogi mistrz zgodliwie - Natura wykazuje w swych dziełach różnorodność znacznie większą, niż to przypuszczamy zazwyczaj. W rozmnażaniu zwierząt, spotykamy dziwactwa Wszelakiego rodzaju, o czym świadczą dowodnie zbiory przyrodnicze, mieszczące nieraz potworki stokroć dziwniejsze, niż jaja czerwone.

- W gabinecie królewskim historii naturalnej - powiedział uczony pan Wisienka - znajduje się ciele o pięciu nogach i dwa o dwu głowach.

- Słyszałam coś lepszego w Auneau - odrzekła matka, stawiając na stole duży półmisek, na którym widniała góra kielbasek z kapustą, wylaniająca chmurę woni, bijącą aż pod pułap - Przyszło tam na świat dziecko o gęsich nogach i głowie węża. Akuszerka obecna przy porodzie, tak się przeraziła, że rzuciła potworka w ogień.

- Ostrożnie! Ostrożnie! - zawołał mistrz - Nie zapominaj że droga gospośniu nasza, że człowiek rodzi się z kobiety poto, by służyć Bogu, a niepodobna tego dokazać mając głowę węża, przeto niemożliwe są na świecie takie dzieci. Akuszerce śniło się to chyba, lub zakpiła sobie ze słuchaczy.

- Księżu dobrodzieju, - powiedział pan Wisienka, uśmiechając się zlekka - widziałeś

pewnie równie dobrze, jak ja w gabinecie królewskim płód o czterech nogach i dwu płciach, przechowany w słoju ze spirytusem, zaś w drugim słoju dziecko bez głowy z jednym okiem powyż pępka. Czyż te dzieci mogłyby lepiej służyć Bogu od noworodka z głową węża, o którym mówiła pani Leonardowa? Cóż powiedzieć dopiero o noworodkach dwugłowych, co do których zgoła niewiadomo, żali nie posiadają dwu dusz? Przyznaj dobrodzieju, że natura pozwalając sobie na te okrutne igraszki sprawia nieraz dużo kłopotu teologom.

Mistrz otwierał już usta do odpowiedzi i byłby niezawodnie zniweczył doszczętnie zarzuty pana Wisienki, gdyby nie uprzedziła go matka, której powstrzymać nie była w stanie żadna ludzka siła gdy raz nabrała ochoty do mówienia. Oświadczyła kategorycznie, iż noworodek z Auneau nie był stworzeniem człowieczym, ale djabeł zrobił go córce pewnego piekarza.

- Najlepszy dowód - dodała - że nikomu na myśl nie przyszło ochrzcić potwora i pochowano go zawiniętego w serwetę w kącie ogrodu. Gdyby to była istota ludzka,

złożonoby ją niezawodnie w poświęconej ziemi. Ile razy djabeł zrobi dziecko kobiecie, zawsze nadaje mu postać zwierzęcia.

- Droga pani Leonardowo, - zauważył ksiądz Coignard - dziwne to zaiste, że wieśniaczka zna się lepiej na djable od doktora świętej teologii i podziwiam, iż informacje swe czerpiesz córko moja od akuszerki z Auneau, ufając iż wie czy taki lub owaki płód zalicza się do ludzkości odkupionej krwią Boga? Wierzaj mi, te wszystkie djabelstwa są w gruncie jeno wytworem nieczystej wyobraźni, którą wygnać powinnaś droga gosposiu nasza, z myśli swojej. Nigdzie nie wyczytałem w pismach Ojców Kościoła, by djabeł miał robić dzieci dziewczętom. Opowieści o spółkowaniu z szatanem są to jeno fantazje zgoła wstrętne i wstyd doprawdy, iż Jezuici i Dominikanie pisali o tem traktaty.

- Święte słowa powiadasz czcigodny księże, - oświadczył pan Wisienka, nadziejąc na widelec kielbaskę z półmiska - tylko nie odpowiadasz na me twierdzenie, iż dzieci przychodzące na świat bez głowy, nad wyraz źle są przystosowane do przeznaczenia człowieka, którem jest, jak powiada Kościół, poznanie, służenie i kochanie Boga i że natura nie jest w tym wypadku, podobnie jak i w marnotrawieniu mnóstwa zarodników, dostatecznie teologiczna i katolicka.

- Oo! - zakrzyknął ojciec, potrząsając widelcem, na którym widniało smakowite udko ka

plana. - O, cóżto za straszne, cóż za poczarne roztrząsania! Czyż odpowiadają one uroczystości, jaką święcimy dzisiaj? Coprawda winną tu jest żona moja, podając na stół dziecko z głową węża, jakgdyby potrawa ta godną była uczciwych i zbożnych biesiadników. Jakże się stać mogło, by z moich pięknych, czerwonych pisanek wylęgły się szatany i poczwary?

- Kochany gospodarzu, - rzekł ksiądz Coignard - z jaja może wylęgnąć się mnóstwo rzeczy. Poganie na tej podstawie stworzyli duże baśni, kryjących dużo filozoficznych myśli. Jestem jednakże równie jak ty, panie Leonardzie, zdumiony, że z pod łupiny jaj katolickich, farbowanych purpurą starożytnych, które zajadamyobecnie, mogło wydobyć się tyle bezbożnych dziwolągów.

Pan Mikołaj Wisienka spojrział na mego mistrza z pod oka i uśmiechnął się chłodno:

- Księże Hieronimie! - powiedział - Te jaja farbowane burakami, których skorupki zaścielają podłogę pod stopami naszymi, nie są tak dalece w istocie swej chrześcijańskie i katolickie, jak ci się wydaje. Jaja wielkanocne mają pochodzenie zgoła pogańskie i oznaczają

tajemnicę zbudzenia się przyrody do życia w porze ekwinokcjonalnej roku. Jestto symbol prastary, zachowany w religii chrześcijańskiej.

- Z równem prawem, i równie rozsądnie - odparł mistrz - można twierdzić, że jest to symbol Zmartwychwstania Pańskiego. Co do mnie nie lubuję się wcale w obciążaniu religii subtelnościami symbolicznymi i zdaje mi się, że samaradość spowodowana zjadaniem jaj, których brak odczuwało się przez cały Wielki Post, dostatecznie tłumaczy, dlaczego w pierwsze święto występują na stole w uroczystym przystrój u purpury królewskiej. Ale mniejsza z tem, są to drobiazgi, w których lubują się jeno umysły erudytów i molów bibliotecznych. W wywodach pańskich uderza mnie co innego, mianowicie, że przeciwstawiasz ciągle wiedzę przyrodniczą religji i usiłujesz, panie Wisienko, uczynić jedne przeciwniczką drugiej. Jest to, szanowny mężu, bezbożność taka, że zadrżał przed nią nawet ten pocziwiec, gospodarz nasz, kucharz z zawodu, mimo iż nie rozumie nic, a nic! Mnie to zgoła nie wzrusza, gdyż argumenty tego rodzaju nie mogą zwieść na chwilę nawet umysłu, który wie jaką stąpać drogą.

Rozumowanie twe, drogi Wisienko, pełne jest racjonalizmu i naukowości, które są jeno wąskim, krótkim i brudnym zaułkiem, na końcu którego człowiek rozbija sobie nos o twardy mur, zgoła nie mogąc mówić o honorze. Rozprawiasz jak ów głęboko uczony aptekarz, który sądzi, iż

poznał naturę, ponieważ powąchał kilka pozorów zgoła zewnętrznych. I wydałeś sąd aptekarski, że rozmnażanie naturalne, wydające montra, nie leży w planie Boga, który stwarza człowieka, by głosił chwałę jego: Pulcher hymnus Dei homo immortalis. Jakżeś łaskawy, iż nie wspomniałeś nawet o noworodkach, umierających bezpośrednio po urodzeniu, o szaleńcach, matołkach, oraz tych wszystkich, którzy, zdaniem twem, nie są, jak powiada Laktancjusz, pulcher hymnus Dei, pięknym hymnem Boga. Cóż jednak wiesz o tem wszystkim Wisienko moja? Cóż my wiemy wogóle wszyscy? Sądzę, że nie uważasz mnie drogi przyjacielu za jednego z czytelników swych w Amsterdamie, czy Hadze i nie zechcesz wmówić we mnie, iż nieświadoma natura jest kamieniem obrazy dla naszej świętej wiary katolickiej? Natura, zacny panie, jest to w oczach naszych jeno szereg niezwiązanych ze sobą niczem obrazów i faktów, których znaczenia odkryć nie umiemy i przyznaję, że idąc jej śladem, nie potrafię rozeznąć w noworodku ani chrześcijanina, ani węża dojrzałego, ani nawet indywiduum, gdyż ciało i jego rozwój są to hieroglify zgoła nieczytelne. Ale to nic, widzimy

bowiem jeno odwrotną stronę tkaniny. Nie upierajmy się dowiedzieć czegokolwiek, gdyż z tej strony nie możemy nic zobaczyć. Od

wróćmy raczej całą rzecz na stronę poznawalną, czyli spójrzmy na duszę ludzką, zjednoczoną z Bogiem.

Zabawne są te wszystkie wywody twoje, przezacny panie Wisienko o rozmnażaniu i naturze! - ciągnął dalej ksiądz Coignard - Wyglądasz z nimi jak prosty sobie mieszczuch, który obejrzawszy obrazy i obicia w królewskiej sali obrad, mniema, iż posiadał wszystkie sekrety Króla Jegomości. Podobnie jak sekret mieści się w rozmowie suwerena z ministrami, tak przeznaczenie ludzkości w myślach, płynących jednocześnie ze Stwórcy i stworzenia. Reszta, to głupstwa mogące bawić tępogłowych dociekaczy i erudytów, jakich pełno w każdej akademji. Jeśli mi już chcesz bajać o naturze, to mów o tej jaką widuje się”pod Małym Bachusem” w osobie koronczarki Kasi, krąglutkiej i cudnie zbudowanej.

Ty zaś drogi gospodarzu - dodał, zwracając się do pana Leonarda - racz mi dać wina, bym zwilżył gardło, wyschłe z oburzenia, iż czcigodny Mikołaj Wisienka oskarża naturę o zbrodnię ateizmu! Do stu tysięcy djabłów, jest tak nawet! Tak Wisienko! A jeśli mimo wszystko natura ta opiewa chwałę Bogu, to czyni to nieświadomie, bowiem świadomość istnieje tylko w umyśle czło

wieka, będącego wytworem skończoności i nieskończoności jednocześnie...! Wina!

Ojciec napełnił coprędzej kubek zacnego mistrza mego dobrem winem, potem postąpił tak samo z kubkiem pana Mikołaja Wisienki, a oni tręcili się w jaknajlepszej myśli, albowiem byli to ludzie porządni i wiedzieli co się winu należy.

## ROZDZIAŁ VI

### NOWE MINISTERSTWO

Mister Schippen, wykonywujący w Greenwich zawód ślusarski, ile tylko razy przyjeżdżał do Paryża, stołował się zawsze w gospodzie „Pod Królową Gęsią Nóżką” i jadał obiady w towarzystwie gospodarza, oraz niego mistrza, czcigodnego księdza Hieronima Coignarda. Tego dnia po deserze, zażądał jak zawsze butelki wina, zapalił fajkę, wyjął z kieszeni „Gazetę londyńską” i zaczął w skupieniu ducha pić, palić i czytać jednocześnie. Po chwili złożył gazetę, fajkę położył na brzegu stołu i powiedział:

- Panowie, gabinet upadł!

- Oo... - pocieszył go ksiądz Coignard - to rzecz bez znaczenia!



- Przepraszam, - odrzekł mister Shippen - ale to posiada znaczenie, bowiem poprzednie ministerstwo było torryrowskie, przeto nowe będzie whigowskie, a zresztą wszystko co się dzieje w Anglii, ma wielkie znaczenie!

- Proszę pana - powiedział mistrz - mieliśmy już we Francji zmiany daleko większe, niż ta.

Widzieliśmy jak zastąpiono cztery pierwotne sekretarjaty Stanu, sześciu, lub siedmiu radami, każda zaś miała po dziesięciu członków, czyli panów ministrów pokrajano na drobne kawałki, potem zaś i to niedługo posklejano ich na nowo i przywrócono do życia w poprzednim kształcie. Za każdą taką zmianą jedni klęli się, że wszystko przepadło, drudzy głosili, że teraz została ocalona ojczyzna, a nawet śpiewano o tem piosenki.

Ja, osobiście nie interesuję się zgoła tem co się dzieje w gabinecie Króla Jegomości, uczyniłem spostrzeżenie, że sam tok życia nie ulega zgoła żadnej zmianie, a po reformie ludzie pozostają jak dawniej samolubni, chciwi, nikczemni, okrutni, głupi, wściekli, że co roku rodzi się mniejwięcej tażsama ilość dzieci, tyleż zawiera się małżeństw, tyleż rozdziela się par rogów i tyluż ludzi zawisa na szubienicy, co razem świadczy o pięknym, niezmaconem niczem trwaniu społeczeństwa i społecznego ładu. Ład ten zaś jest stały, szanowny panie i nic go naruszyć nie zdoła, albowiem oparty on jest o fundament słabości i głupoty człowieczej, zaś ten trybunał kryminalny nie pomyli się w wyroku nigdy! Gmach tak trwały urągać może śmiało wszelkim zakusom najgorszych suwerenów, oraz tłuszczy nikczemnych urzędników, idących w nagonce.

Ojciec mój przysłuchiwał się uważnie rozmowie, trzymając w ręku wielki szpikulec do nadziewania pieczeni słoniną, gdy zaś ks. Coignard skończył, uczynił stanowczym głosem uwagę, że zdarzyć się może czasem dobry minister. Sam zna nawet takiego, a był nim właśnie niedawno zmarły Dubois, autor bardzo mądrego rozporządzenia, które broni kucharzy przeciw nienasyconej zachłanności rzeźników i pasztetników.

- Być może, - zgodził się mój mistrz ochotnie - być może panie Szpikuliński, ale w kwestjach tego rodzaju najlepiej dyskutować z panem Ciastolepem. Nam idzie o to, by stwierdzić, że państwa trwają nie skutkiem mądrości kilku jakichś tam sekretarzy Stanu, jeno, że jest to wynik zbiorowych potrzeb wielu milionów ludzi, którzy w celu utrzymania się przy życiu, oddają się różnym rodzajom pracy ciężkiej i haniebnej, jak przemysłowi, handlowi, rolnictwu, wojnie i żegludze. Te wszystkie nędze osobnicze, razem Wzięte, zwą się potęgą ludu, a ani książęta, ani ministrowie nie mają w niej żadnego udziału, ni zasługi.

- Myli się ksiądz, - zauważył Anglik - ministrowie biorą w tem żywy udział, stwarzając ustawy, z których każda może wzbogacić, lub zniszczyć cały naród.

- Przesada, wielka przesada! - odparł mistrz - Zresztą cóż oni mogą zrobić? Sprawy państwa mają zakres tak szeroki, że człowiek nie ogarnia go spojrzeniem. Przeto przebaczyć należy ministrom działającym na oślep i nie żywić ku nim nienawiści ani za dobre rzeczy, które zaprowadzić chcieli, ani za zło, jakiego są sprawcami, należy pamiętać zawsze, że działali jak CollinMaillard. Zresztą, gdybyśmy na sprawy patrzyli bez przesądów, to owe dobre i złe rzeczy wydałyby się nam drobiazgami, bo bardzo wątpię, czy jakieś rozporządzenie czy ustawa może mieć skutki takie, jak pan powiadasz. Weźmy na przykład dziewczęta publiczne. Wszakże w ciągu jednego roku wydają władze przeciw nim samym więcej edyktów, niż w ciągu lat stu przeciw wszystkim innym stanom w państwie, a mimoto uprawiają one nieprzerwanie swe rzemiosło i to z zastraszającą wprost precyzją prawa natury.

Śmieję się poprostu z naiwnych gryzipiórków w guście urzędnika specjalnego, imieniem Nikodema, który dniem i nocą medytuje jakby im zamknąć sklepik. Drwią w żywe oczy z takiej figury jak mer Bordeaux, pan Baiselance, który stworzył wspólny z fiskalistami bezsilną ligę ku ich

zatracie. Mogę panu zaręczyć, że flonderka i koronczarka jednocześnie, Kasia nie zna ani pana Baiselance, ani owych rozporządzeń i będzie się puszczała codziennie, wbrew ustawom, aż do ostatnich dni żywota, który, mam nadzieję zakończy w sposób przykładowy i katolicki. Nie posunę się do twierdzenia, że wszystkie projekty ustaw, jakimi minister wypycha portfel, są to bezpożyteczne papierzyska, skierowane przeciw prostytucji, twierdząc jeno, że nie są zdolne stworzyć warunków życia, ani ich zniweczyć.

- Czcigodny księżu - odrzekł ślusarz - z prostactwa wysłownienia pańskiego widać, iż niewolnictwo ukształtowało twój umysł. Wyrażasz się zgoła inaczej o ministrach i prawach, niż ja o rządzie wolnościowym.

- Panie Shippen, który robisz łańcuszki i kłódki, wiedz, że jedyna wolność, to wolność ducha, który pogardził znikomościami tego świata. Z wolności społecznych drwią sobie, są to bowiem chohoły, są to złudzenia schlebiające pysze głupców.

- Utwierdzasz mnie ksiądz w opinii, iż Francuzi są oswojonemi małpami - zauważył obiektywnie pan Shippen.

- Za pozwoleniem!-wrzasnął papa Leonard, stając w pogotowiu ze swym szpikulcem - Zdarzają się pośród nich także nieoswojone lwy!

- Niema tylko obywateli! - odparł spokojnie pan Shippen. - Wszyscy rozprawiają w Tuillerjach o sprawach publicznych, a z onych Wszystkich swarów nie rodzi się żadna rozsądna myśl. Naród wasz to coś w rodzaju wrzaskliwej menażerji.

- Proszę pana, - powiedział ks. Coignard - prawdą jest, że społeczeństwa ludzkie, doszedłszy do pewnej granicy obłaskawienia i wyrafinowania, zaczynają stawać się czemś w rodzaju menażerji i że postęp narzuca życie w klatce, a oducza od błąkania się smętnego bez celu po lasach. Ten stan jest jednak wspólny wszystkim ludom Europy.

- Księżę, - odparł ślusarz - Anglja nie jest menażerją, posiada ona bowiem parlament przed którym ministrowie są odpowiedzialni.

- Panie, - zauważył ksiądz - niedalekim jest może dzień w którym Francja również będzie miała ministrów odpowiedzialnych przed parlamentem! Nawet więcej stać się może jeszcze! Czas niesie ze sobą wiele zmian, urzędnia wewnętrzne państw rozwijają się i wolno nam przypuszczać, że za lat sto Francja dojdzie do czysto ludowej formy rządów. Ale wówczas drogi panie, sekretarze Stanu, którzy dziś znaczą niewiele, przestaną wogóle znaczyć cokolwiek. Miast zależyć od monarchy, któremu zawdzięczają władzę

i trwanie tej władzy, staną się zaleźni od opinji publicznej i doświadczać będą jej niestałości i chwiejności wielkiej.

Musimy zwrócić uwagę na fakt, że ministrowie wykonywać mogą swą władzę z pewnym autorytetem i skutecznością jeno w monarchjach absolutnych, jak to widzimy na przykładzie Józefa, syna Jakóba, ministra spraw wewnętrznych Faraona, oraz Hamana, ministra Ahaswerusa, z których pierwszy brał skuteczny udział w zarządzie Egiptu, drugi zaś rządził Persją. Musiało tak się złożyć, by królewskość była silna, a król słabyby dać we Francji władzę absolutną takiemu ministrowi, jak Richelieu. W państwie ludowem, ministrowie skarleją do tego stopnia, że nawet złość ich i głupota nie będą mogły nic złego spowodować.

Władza ustawodawcza, jakąkolwiek ona będzie, wyposaży ich we władzę nieokreśloną jeno i wątpliwą. Nie mogąc liczyć na dłuższy okres władania, daleko posunięte nadzieje, ni górnolotne ideje, ścierać się będą w codziennych walkach i fortelach, wegetując smętnie do końca. Dostaną żółtaczki z wysiłku, chcąc wyczytać z twarzy pięciuset członków parlamentu, co mają właściwie czynić i czem się kierować. Szukając daremnie odbicia myśli własnych w głowach tłumu, złoży

nego z głupców, podzielonych na stronnictwa męczyć się będą w bezpłodnej rozterce ducha. To zaś przyuczy ich do bezczynności, nie będą umieli niczego przysposobić naprzód, niczego przewidzieć i praktykować będą jeno intrygę i kłamstwo. Spadną w końcu tak nisko, że ostateczny upadek stanie się zgoła niedostrzegalny, a tylko z nazwisk ich, nagryzmołonych na murze przez żaków szkolnych, natrzęsać się będą obywatele.

Pan Shippen wzruszył tylko ramionami.

- To możliwe, - odparł - Wyobrażam sobie zupełnie dobrze taki stan rzeczy we Francji.

- Oo... - dodał mistrz - zaręczam, że cały świat pójdzie tą samą drogą. Zawsze tylko trzeba będzie jeść. Oto najistotniejsza konieczność, z której wynikają wszystkie inne.

Pan Shippen wytrząsnął fajkę i rzekł:

- Zanim do tego dojdzie, zagraża nam ministerstwo popierające rolnictwo, a da się ono we znaki przemysłowi, o ile zostawimy gnojowozom wolną rękę. Musimy się bronić. Nie zapominam, że jestem ślusarzem w Greenwich, zwołam meeting; ślusarzy i powiem mowę.

Włożył w kieszeń fajkę i wyszedł, zapomniawszy się z nami pożegnać.

## ROZDZIAŁ VII

### NOWE MINISTERSTWO

#### (DOKOŃCZENIE)

Wieczór był ciepły i pogodny, przeto po wieczery ksiądz Hieronim udał się na przechadzkę po ulicy św. Jakóba, gdzie właśnie zapalono jedne latarnię po drugiej, a mnie przypadł w udziale zaszczyt towarzyszenia drogiemu mistrzowi. Zatrzymał się pod portykiem kościoła św. Benedykta Beturneńskiego i wskazał mi jedne z ławek kamiennych, ustawionych po obu stronach wejścia, tuż pod figurami w stylu gotyckim, na których widniały nieprzyzwoite bazgroty. Ręka mistrza mego była piękna, pulchna, stworzona do czynienia gestów wymownych w ciągu scholastycznych dysertacyj.

- Rożenku, synu mój umiłowany! - powiedział - Jeśli nie masz nic przeciw temu usiądźmy na chwilę na tych oto starych, spolerowanych używaniem kamieniach, gdzie przed nami siadywało tyle ulicznych dziewczek, nędznych i nieszczęśliwych. Być może, znalazło się

pośród bez  
liku upadłych istot kilka bodaj, których rozmowa godnaby była uwagi. Nie wiem czy nie obsiedą nas tam pchły. Ale, synu mój, znajdujesz się w wieku miłości, przeto snadnie wyobrazisz sobie, iż są to pchły Żanetki muzykantki, lub Kasi koronczarki, które tutaj zwykle

odprawują obrzędy z gachami swymi o zmierzchu, przeto ukłucie tych istot, dopuszczonych do wielkiej z nimi konfidencji, słodkie ci będzie. To łudzenie się właściwe jest młodości. Ja przekroczyłem już wiek rokosznych omamień, ale powiem sobie, że nie wolno zwracać zbytnej uwagi na drobne dotkliwości cielesne i że prawdziwego filozofa nie mogą wyprowadzać z równowagi pchły, będące narówni z resztą Wszechświata wielką, niezgłębianą tajemnicą Boga.

To mówiąc, zasiadł ostrożnie, by nie zbudzić małego Sabaudczyka, śpiącego na kamiennej ławie z świnką morską w objęciach.

Zająłem miejsce obok niego i zaraz przysłała mi na myśl rozmowa, prowadzona przy stole.

- Mistrzu drogi, - powiedziałem - przed chwilą mówiłeś o ministrach. Ministrowie królewscy nie imponowali ci ani strojem, ani karocami, ani talentem i wydawałeś o nich sąd, jaki przystoi duchowi wyzwolonemu, którego nic zadziwić nie zdoła. Potem, wyobrażając sobie

jak będą wyglądali ciżsami dostojnicy czasu ludowego ustroju państw (o ile nastaną takie ustroje) twierdziłeś iż będą to stworzenia nędzne, zasługujące raczej na politowanie jak pochwały. Czyż byłbyś przeciwnikiem demokratycznej formy rządu, zbudowanej na wzorach starożytności?

- Synu mój, - odparł mistrz - sam przez się skłaniam się ku rządóm demokratycznym i odczuwam dla nich dużo sympatji. Powoduje mną wzgląd na skromne stanowisko moje, oraz Pismo Święte, które zgłębiałem potrochu. Sam Bóg powiedział przecież: „Starsi z pośród Izraela chcą króla, przeto abym ja nie rządził nimi. Tedy wiedzcie jakie będą prawa króla. Weźmie dzieci wasze, iżby kierowały zaprzęgiem wozów i biegły przed nimi jako gońce. Z córek uczyni takie, co czynią wonności i warzą jadło i pieką chleb. Filias a quoque vestras faciet sibi unguentarias et focarias et panificas.” To jest dokładnie zapisane w Księdze Królów, skąd dowiadujemy się jeszcze, że król poddanym swym przynosi dwa przykre dary, wojnę i dziesięcinę. Tedy, jeśli nawet prawdą jest, że monarchja jest instytucją boską, to jednak posiada wszystkie cechy ludzkiej głupoty i przewrotności. Nasuwa się przypuszczenie, że niebiosy narzuciły ludziom ten ustrój za karę: et tribuit eis petitionem eorum.

Ofiary są zazwyczaj ceną gniewu jego, Dary, zapłatą srogą wszelakiego złego. Mógłbym, drogi Rożenku mój przytoczyć ci mnóstwo pięknych ustępów z autorów starożytnych, w których z siłą niezmierną, w podniosłych słowach przedstawiona jest

nienawiść ludzka ku tyranom. Zresztą zawsze, o ile wiem, okazywałem niejaką siłę ducha pogardzając wielmożami i nie znoszę tych bydląt ze szpadami przy zadku, narówni z jansenistą Blaisem Paskalem. Wszystkie to względy przemawiają w sercu mojem za demokratyczną formą rządów. Na temat ten rozmyślałem niejednokrotnie i wyniki zawrę w utworze, opartym na zasadzie, że trzeba umieć czytać, by przeczytać, czyli rozbić kość, by znaleźć szpik. Mam zamiar skomponować nową „Pochwałę szaleństwa”, która wyda się sprośną rozpustnikom, lecz mędrcom, umiejącym odnaleźć mądrość, skrytą roztropnie pod głupstwem ukaże swe prawdziwe oblicze. Jednym słowem zostanę drugim Erazmem i nauczał będę ludy jak, on przy pomocy uczonego i rozsądnego gładzenia o świństwach. W jednym z rozdziałów odnajdziesz synu mój wszystkie objaśnienia w sprawie, która cię tak żywo obchodzi. Dowiesz się wówczas, jaka jest sytuacja ministrów podanych w zależność od państwa, czy zgromadzenia narodowego.

- Ach! - wykrzyknąłem - Jakże mi spieszno przeczytać tę książkę! Kiedyż się ona ukaże mistrzu mój?

- Nie wiem! - odpowiedział - Prawdę mówiąc, nie napiszę jej pewnie wcale. Przeznaczenie kształtujące losy człowieka, posuwa się wskroś sprzeczności. Nie posiadamy ni jednej okruszyny jutra, a owa niepewność wspólna wszystkim potomkom Adama, dochodzi u mnie do granic ostatecznych skutkiem, złańcuchowania się mnóstwa niepowodzeń. Dlatego drogi Rozenku nie mam żadnej nadziei napisania tej głęboko pomyślanej facecji.

Nie mam zamiaru wygłaszać na owej, zapchlonej ławce dysertacji politycznej, powiem ci tylko pokrótce jak chciałem w owej fikcyjnej książce przedstawić niemoc i przewrotność owych służaków głuptaska Demosa, gdy stanie się panem świata. Nie wiem czy się stanie, nie zabieram w tej sprawie głosu, albowiem proroctwo pozostawiam jasnowidzącym dziewicom o nietkniętym hymenie, co objawiają przyszłość na wzór Sybilli kumańskiej, persykańskiej, czy tyburtyńskiej *quarum insigne virginitas est, et virginitatis praemium, divinatio.*

Ale wracajmy do tematu. Przed jakimiś dwudziestu laty mieszkałem w uroczym mieście

Séez, gdzie byłem bibliotekarzem biskupa. Przybyli tam raz wędrowni komedjanci i w jakiejś, szopie dawali wcale dobrą tragedję. Poszedłem na przedstawienie i zobaczyłem cesarza rzymskiego, którego peruka przyozdobiona była większą, ilością bobkowych liści, niż szynka na jarmarku laurentyńskim. Siedział w wielkiem krześle kanonickiem, dwaj

ministrowie w galowych strojach, z wstęgami i orderami, przysiedli po obu stronach na niskich taburetach i tak we trójkę utworzywszy Wielką Radę Stanu, zaczęli deliberować przy świetle lamp, cuchnących ohydnie. W ciągu rozpraw jeden z ministrów skreślił Satyryczny portret konsulów z ostatnich czasów republiki rzymskiej. Przedstawił jak byli zachłanni, żądni użycia i nadużycia swej krótkotrwałej władzy, wrogo usposobieni dla ludu i zawistni wobec następców, w których jednak napewne spodziewać się mogli godnych naśladowców własnych zdzierstw i kradzieży publicznego majątku.

Zapamiętałem jeden kapitalny ustęp:

Mocarz, którego władza rok trwać jeno miała, Baczył, by mu dochody jaknajwiększe dała, Więc nie państwa korzyści, lecz swe własne liczył, Bacząc, by już następca... nic nie odziedziczył. Urząd niewielkie dawał w gotówce wyniki, Żął więc zboże na łąkach biednej republiki, Pewny, że przebaczenie uzyska bez trudu, Bo tosamo uczyni następca... dla ludu!

Ten wiersz, drogi synu, przypominający epigramaty Pibraca swą ścisłością i pełnią sentencji, była to najlepsza część całej tragedji, która trąciła nadto pompatycznym wyuzdaniem Frondy, a do reszty zepsutą została bohaterskimi dwuznacznikami w guście księżny de Longueville, która tam nawet występuje pod imieniem Emilji. Wiersza tego wyuczyłem się na pamięć celem rozważenia głębszego, przekonamy, że piękne maksymy znajdują się nawet w utworach teatralnych. To co poeta w przytoczonym ośmiowierszu powiada o konsulach republiki rzymskiej, odnosi się dosłownie do ministrów w przyszłych ustrojach demokratycznych, których władza jest znikoma.

Słabymi być muszą Rożenku mój, bowiem zależą od zgromadzenia przedstawicieli ludu, niezdolnego do powzięcia planów tak nawet rozległych głęboko ugruntowanych, jakie może nakreślić sobie minister króla głupiego i rozpróżniaczonego. Wielkość ministrów jest możliwa wówczas jeno, gdy współdziałają z mądrym władcą, jak Sully, albo gdy zajmują miejsce króla, jak Richelieu. A przecież wierny wszyscy, że król Demos nie może posiadać ani wytrwałej roztropności Henryka IV, a bierności podatnej Ludwika XIII. Przypuśćmy nawet, że ów król Hołota będzie wiedział czego chce, to napewne nie będzie miał po

jęcia, w jaki sposób wola ta ma zostać ziszczona, ani też, czy jest wogóle ziszczalna. Wydając złe rozkazy, nie zdobędzie posłuchu i ciągle przekonany będzie, że został zdradzony. Posłowie, których wysłał do zgromadzenia narodowego, podtrzymują zręcznymi kłamstwami przez pewien czas jego złudzenia, ale nadejdzie chwila, kiedy padną przywaleni podejrzeniami słusznymi, lub nieuzasadnionymi. Owo zgromadzenie, czy parlament składać

się musi z osobistości przeciętnych, bowiem wybrani zostaną przez ciemne masy, idee ich tedy i plany będą szmatławe i ciemne, chociaż obfite. Przywódcom rządu narzucać będą tedy Wolę swą, nieujętą w ścisłą formę, do jakiej niedorośla ich samoświadomość, a ministrowie mniej zaiste wprawni w rozwiązywanie rebusów, niż ś. p. Edyp, po kolei pożerani będą przez sfinksa o stu głowach, za karę, że nie odgadli zagadki, o której sam sfinks niema zielonego pojęcia.

Najokropniejszą rzeczą będzie dla tych biedaków pogodzenie się z niemocą własną i dużo wody upłynie zanim przyuczą się gadać, miast działać. Z biegiem czasu jednak staną się retorami, ale pilnie baczyć muszą, by byli... złymi retorami, gdyż pierwsza jasno postawiona kwestja musi ich zmieść z powierzchni życia publicznego. Powstanie tedy szkoła gadania by gadać, a naj

mędrsi z uczniów, nie chcąc stracić głowy przy pomocy własnego języka, muszą wziąć się do sumiennych studjów nad sztuką kłamania. Wraz z postępami na tem polu, najinteligentniejsi staną się najnikczemniejszymi. Jeśli zaś po całej tej uciążliwej i długiej nauce trafi się jeszcze któryś zdolny do zawarcia traktatu, uporządkowania finansów, czy wglądnięcie w administrację, to talent ten nie przyda mu się na nic, gdyż zbraknie mu czasu, który jest surowcem niezbędnym dla fabrykacji wielkich przedsięwzięć.

Te fatalne i upokarzające warunki zniechęcą naturalnie dobrych, a podsycą ambicję złych. Naczelne miejsca w zarządzie państwa zaroją się pełnymi nieudolności zarozumialcami, ponieważ zaś uczciwość nie jest przyrodzoną człowiekowi, ale musi zostać wyhodowaną z troskliwością wielką i usilną przez czas długi, przy zastosowaniu właściwych metod fachowych, przeto niebawem całe kohorty defraudantów i oszustów runą na skarb państwa. Zło pogorszy jeszcze stokrotnie jawność skandalu, bowiem w ludowej formie rządu nic się utaić nie da, a gdy skompromitowanych zostanie wielu, w podejrzenie popadną wszyscy.

Nie wyciągam stąd, drogi Rożeneczku mój, tego wniosku, iżby ludy w przedstawionej powyż sytuacji miały się stać nieszczęśliwsze, niżli są

teraz... tego nie twierdzę wcale! Wszakże Wspominałem już kilkakrotnie, w poprzednich rozmowach, że nie wierzę, by los narodu mógł zależeć od księcia i jego ministrów. Nie wolno przypisywać ustawom takiej mocy, by uważać je za przyczyny pomyślności, czy upadku społeczeństwa. Mimoto jednak straszna to rzecz gdy ustaw jest



zaduży, a bardzo się boję, by parlament demokratyczny nie nadużył swej władzy prawodawczej.

Straszy mnie ów mały grzeszek Collina pastuszka, który sposobiąc się do przyszłych edyktów, mówił do kolegi Jasia: - Ach gdybym, został królem... - Gdy taki Collin i kolega jego i dużo innych pastuchów staną się razem jednym królem, wydadzą napewne w ciągu roku więcej okrutnych edyktów, niż cesarz Justynjan w ciągu całego morderczego panowania swego! To jest dalszy powód obawy mej odnośnie do władzy pastuchów.

Zważmy jednak z drugiej strony, że rządy królów i cesarzy były przeważnie tak złe, iż niema się co spodziewać pogorszenia, a Jaś i koledzy jego nie narobią chyba więcej głupstw, ani łajdactw od władców w koronach zwykłych, podwójnych i potrójnych, jacy od czasów potopu (który uporządkował kwestję następstwa tronu) zalewali i zalewają świat krwią i zasypują gruzami. Powiem nawet, że popędliwość tej pastuszej duszy będzie

zachwycającą zaletą, albowiem uniemożliwi ową wykwintną korespondencję międzypaństwową, która zwie się wymianą not dyplomatycznych, a ma na celu rozżarzać sztucznie pożogi wojen wyniszczających, a zgoła bezcelowych.

Ministrowie Demosa, czyli Chamosa ustawicznie kopani, popychani, upokarzani, besztani, obalani, boksowani i obrzucami zgniłemi jabłkami i jajami dużo obficie niż najmniejszy arlekin jarmarczny, nie znajdują czasu na to, by przysposabiać z uśmiechem, w spokoju, w zaciszu gabinetów, przy stołach okrytych zielonym aksamitem, rzezie ludów, zdaniem ich niezbędne dla utrzymania równowagi europejskiej, a wistocie potrzebne im samym dla prywatnych interesów i sławy. Za panowania pastuszka nie będzie polityki zagranicznej i stanie się to dobrodziejstwem prawdziwym dla biednej ludzkości.

Nagle przerwał swój wywód czcigodny mistrz mój i powiedział zrywając się z ławki.

- Pchły trafiły zdaje mi się już do dziur w mej sutannie, licznych jak gwiazdy na niebie. Pozatem, wysiadując dłużej pod tym portykiem, sprawilibyśmy przykrość Kasi i Żanetce, spłoszilibyśmy bowiem gaszków owych litościwych dziewczątek, a czekają oni zapewne z utęsknieniem swojej porcji codziennej.

## ROZDZIAŁ VIII

### PANOWIE ŁAWNICY

Udaliśmy się obaj, mistrz mój i ja pod wiechę, do „Małego Bachusa” i zastaliśmy tam Kasię koronczarkę, kulawego szlifierza oraz mego rodzzonego rodzica. Wszyscy troje siedzieli

razem przy stole nad dzbanem wina, z którego pokosztowali już dosyć, by stać się rozmowni i towarzyscy.

Miano wybrać z zachowaniem Wszelkich formalności dwu ławników z pośród czterech istniejących, a ojciec mój roztrząsał tę sprawę wedle stanu swego, oraz rozumu przyrodzonego.

- Całe nieszczęście polega na tem - narzekał, - że ławnicy są to urzędnicy i dostojnicy w togach, nie zaś zwyczajni kucharze i zawdzięczają swój urząd królowi, nie zaś kongregacji kupców, a w pierwszej linji cechowi gospodników paryskich, gdzie pełnię funkcje chorążego. Gdybyśmy ich obierali sami, znieśliby niezawodnie dziesięcinę i podatek od soli, a wszyscy ludzie żyliby sobie szczęśliwie. Przysięgam, że jeśli tylko świat nie cofa się Wstecz jak rak, to nadejdzie czas, kiedy ławników obierać będą sami przemysłowcy.

- To rzecz pewna! - zaręczył ksiądz Coignard. - Przekonacie się niebawem IMC. panie Leonardzie, że ławników wybierać będą sami gospodnicy i czeladnicy.

- Oho!... A to co znowu? Racze drogi księżu Hieronimie, zwracać pilniejszą uwagę na słowa swoje! - zawołał ojciec z niepokojem marszcząc brwi. - Gdy raz zaczną czeladnicy mieszać się do wyboru ławników, wszystko przepadnie. W czasie praktyki za lat młodych myślałem tylko o tem, by uskubać jak najwięcej z mienia mego pryncypała i jego żony, ale od kiedy mam własny sklep i żonę, rozumiem się na sprawach publicznych, związanych z własnymi.

W tej chwili przyniósł nam dzbanek wina gospodarz z pod „Małego Bachusa” Lesturgeon. Był to mały, rudy, zwinny i prostoduszny człeczek.

- Rozmawiacie, słyszę, o nowych ławnikach? - rzekł opierając pięście na biodrach - Cieszyłbym się bardzo gdyby mieli tyle oleju w głowie co dawni, chociaż nie można ich nazwać znawcami interesów publicznych. Ale właśnie zaczynali się jakotako rozglądać i coś nie coś orjentować, gdy nagle... bęc i po wszystkim.

Wiesz pan dobrze, panie Leonardzie - ciągnął dalej zwracając się do mego ojca, że szkoła, do której uczęszczają dzieci z ulicy św. Jakóba jest

to stare, drewniane pudło i starczyłoby wiechcia, słomy i głowni z pieca, by z niej uczynić wcale przyzwoitą świętojańską sobótkę. Udałam się przeto do panów ławników na ratuszu. List mój nie był zbyt wyszukany pisany stylem, bo dałem go wykaligrafować pewnemu skrybie, mającemu swą norę przy VeldeGrace, płacąc jeno sześć groszy gotówką. W piśmie onem przedstawiłem IMĆ. panom ławnikom miasta niebezpieczeństwo,

zagrożące malcom, którzy mogą zostać pewnego dnia uwędzeni, niby kielbasy, oraz prosiłem, by mieli wzgląd na czułe serca matek. Pan ławnik zajmujący się szkołami odpisał po roku w sposób nader uprzejmy, że wistocie zatroskał się bardzo niebezpieczeństwem grożącym życiu malców z ulicy św. Jakóba, przeto spiesząc je zażegnać co prędzej, posyła jednocześnie uczniom ręczną sikawkę ogniową. Król, dodał w zakończeniu, w dobroci swej nieprzebranej kazał zbudować w odległości dwustu kroków od wzmiankowanej szkoły, cysternę publiczną, a to celem upamiętnienia swych licznych zwycięstw nad wrogami państwa, z tego więc względu nie zachodzi obawa, by miało zbraknąć wody do sikawki, a dzieci przyuczą się niezawodnie wkrótce jak się obchodzić należy z tym cennym instrumentem. Przeczytawszy ową odpowiedź, podskoczyłem aż do pu

łapu, potem zaś pobiegłem na ValdeGrace i podyktowałem skrybie nowy list tej treści:

- Jaśnie Wielmożny Panie edylu miasta! W wiadomej szkole przy ulicy św. Jakóba znajduje się dwustu malców, z których najstarszy liczy około siedmiu lat. Przeto chyba będzie im nauczycielka dawała klistyrę z pompy magistrackiej, bowiem gasić pożaru nie zdoła z nich żaden. Racz tedy Jaśnie Wielmożny Panie zabrać ową sikawkę dla użytku własnego, a poleć zbudowanie szkoły murowanej.

Ten drugi list kosztował mnie również sześć groszy gotówką łącznie z papierem, kopertą i zapieczętowaniem. Ale nie poniosłem straty, albowiem po upływie dwudziestu miesięcy otrzymałem odpowiedź, w której mnie zapewnił IMĆ. pan ławnik szkolny, jako malcy z ulicy św. Jakóba wzbudzili żywe zainteresowanie w urzędzie ławniczym magistratu i że postara się zapewnić im wszelkie bezpieczeństwo. Na tem się skończyło. Jeśli teraz ławnik ten opuści swe stanowisko, to trzeba będzie zaczynać wszystko na nowo i wydać znowu dwanaście groszy na zapłatę skrybie przy ValdeGrace.

Dlatego ojciec Leonardzie, - zakończył - będąc nawet przekonany, że na ratuszu pełno jest osobistości, nadających się lepiej do bud jarmar

cznych, niż urzędowania, wolę dawnego ławnika z klistyrą od nowych dostojników, którzy jej nie posiadają wcale.

- Ja znowu - wmieszała się Kasia - mam pretensję do sędziego kryminalnego. Pozwala Żanetce muzykantce wałęsać się z tłumem gachów po całym placu i gzić się pod portykiem św. Benedykta Beturneńskiego. Łazi z kąta w kąt w brudnej koszuli i zabłoconej spódnicy i moczy nogi w każdym ścieku. To wstyd. Place publiczne winny być zarezerwowane dla

dziewcząt tak ubranych w środku i na wierzchu, by się warto było pokazać każdemu w sposób nie ubliżający honorowi.

- Oo... - zaproponował szlifierz kulawy - mojem zdaniem trotoary dostępne być winny każdemu. Toteż postąpię niezadługo tak jak Lesturgeon i udam się do skryby na placu ValdeGrace, by mi napisał pięknie suplikę w obronie biednych rękodzielników wędrownych. Nie mogę stanąć ze swoją budą w miejscu odpowiednim, gdziebym zarobił sporo, bo zaraz spada mi na kark policjant, a skoro tylko zatrzyma się przed moim wózkiem dwu lokaji i trzy służące, jawi się poczwara w czarnym uniformie i rozkazuje w imieniu prawa wynosić się z całym kramem w ką, gdzie jeno psy podnoszą W górę lewą nogę.

Raz jest to, jak powiada, terytorjum, wynajęte przez, przekupniów, drugi raz znowu staję za blisko pana Leborque, nożownika dekretowego. Innym razem ustępować muszę karecie biskupa, lub jakiegoś księcia. Trzeba coprędzej zwijać manatki i kamień brać na plecy, a dobrze jeszcze jeśli korzystając z zamieszania, lokaje i służące nie ściągną mi bez zapłaty paczki nożyczek, lub kilku pięknych rzezaków, wyrabianych w Chatellerault. Dość mam tej tyranji, dość mam znoszenia niesprawiedliwości ze strony ludzi wymierzających sprawiedliwość! Czuję ogromną ochotę zbuntować się!

- Z oznak tych wnoszę, że jesteś pan szlifierzem wielkodusznym! - powiedział mój drogi mistrz.

- Nie jestem zgoła wielkoduszny, księżę dobrodzieju! - zaproponował kulas - Przeciwnie, jestem mściwy i namiętność ta skłoniła mnie do sprzedania w sekrecie piosenki, skierowanej przeciw królowi, jego kochankom i ministrom. Mam ich sporo we worku z oselkami, wiszącym na ścianie budy. Nie zdradźcież mnie panowie. Jedna z nich o dwunastu dudkach jest poprostu wspianiała!

- Nie zdradzę cię kochany majstrze! - zaręczył mój ojciec.-Dla mnie dobra piosenka tyleż warta co szklanka wina, a może więcej jeszcze.

Nie mam też nic przeciw nożom odpowiednio do celu wyostrzonym i życzę wam, byście ich sprzedawali ludziom jak najwięcej, każdy bowiem żyć musi. Przyznajcież jednak drogi majstrze, że nie można pozwolić, by wędrowni rzemieślnicy robili konkurencję kupcom, którzy opłacają czynsz za sklepy i podatek miejski. Sprzeciwiałoby się to zasadniczym urządzeniom dobrej policji i porządkowi. Zuchwałość tych włóczykijów jest niesłychana. Do czegożby doszło, gdyby ich nie trzymać w ryzach? Zeszłego roku jakiś wieśniak z MontRouge stanął z wózkiem wprost przed drzwiami „Gospody pod Królową

Gęsią Nóżką”. Miał całą górę gołębi, gotowych do jedzenia, upieczonych i sprzedawał je o całe dwa lardy i jednego susa taniej, niż ja sprzedaję mój towar. A w dodatku gałgan ten wołał głosem przeraźliwym, aż drżały szyby mego sklepu:

- Śliczne, tłuste gołąbki, pięć sous!

Groziłem ze dwadzieścia razy największym szpikulcem, a ten drab odpowiadał mi z głupia frant, że ulica jest dla wszystkich. Zniosłem tedy skargę do sędziego kryminalnego, a tenże oswobodził mnie od natręta. Nie wiem co się z nim stało, ale po dziś dzień mam doń urazę, gdyż patrząc na to, jak moi stali odbiorcy kupowali jego zatracone gołębie parami, a nawet tuzinami,

dostałem żółtaczkę i przez długi czas nie mogłem się pozbyć melancholji. Trzebaby go posmarować smołą i utulać w pierzu, by miał tyle piór na ciele, ile go wydarł z drobiu, sprzedawanego tuż pod moim nosem, a potem tak upierzonego oprowadzać po ulicach na postronku.

- Mistrzu Leonardzie! - zawołał kulawy szlifierz - Jesteś okrutny dla biednych ludzi. Postępowaniem taktem można ich popchnąć do czynów rozpaczliwych.

- Mistrzu szlifierzu, - powiedział śmiejąc się zacny ksiądz Coignard - radzę panu skomponować satyrę na ojca Leonarda, kazać napisać ją któremuś z płatnych skrybów pod kościołem św. Inocentego i sprzedawać razem z piosenką o dwunastu dudkach króla Ludwisia. Należałoby przeczesać pod włos naszego przyjaciela, który zmierza przez swój serwilizm nie do wolności, ale do tyranji. Z wszystkiego co od was posłyszałem drodzy panowie, wyciągnąć muszę wniosek, iż organizacja policji stołecznej jest sztuką nader trudną, bowiem musi godzić interesy sprzeczne, często nawet wykluczające się wzajem.

Tak moi przyjaciele, - dodał z wetchnieniem - dobro publiczne składa się z niezliczonych przypadków zła prywatnego, a dziwić się tylko należy

temu, że ludzie zamknięci w murach jednego miasta nie zagryzają się wzajemnie. Jest to łaska boska iż zostali przez Opatrzność obdarzeni tchórzostwem. Podobnie też pokój pomiędzy państwami opiera się wyłącznie na tem, iż obywatele jednego państwa boją się strasznie obywateli drugiego i ten strach napędza ich wzajemnym szacunkiem dla odwagi przeciwników. Ponad obywatelami stoją książęta i królowie i doprowadzając jednych i drugich do ciągłego drżenia, przed gwałtem, zapewniają w ten misterny sposób pokój całemu światu.

Ławnicy nasi natomiast są to władcy nader słabi i nie mogą nikomu dotkliwie szkodzić, ani też przynosić wielkich korzyści. Cała ich zasługa mieści się w posiadaniu długich lasek i kędzierzawych peruk. Ale nie bierzcie im za złe, że od czasu ostatniej zmiany panującego są mianowani przez króla i podniesieni do rangi urzędników korony. Stając się przyjaciółmi króla, stali się jednocześnie nieprzyjaciółmi wszystkich obywateli zwyczajnych, zaś ów wrogi stosunek stał się znośny, gdyż rozłożył się na cały ogół, wedle zasad zupełnej równości. Z deszczu tego spada na każdego zaledwo kilka kropelek. Gdy nadejdzie dzień, w którym (jak to podobno było w pierwszych czasach monarchji) będą mianowani przez lud,

ławnicy pozyskają w mieście przyjaciół, a także nieprzyjaciół. Wybrani przez kupców płacących czynsz i dziesięcinę, prześladować będą rzemieślników wędrownych, wybrani przez tych ostatnich będą się starali utracić przemysłowców. Jeśli dojdzie do tego, że niektórzy zawdzięczają swe stanowiska czeladnikom, to zwrócą się przeciwko majstrom, którzy zatrudniają czeladź. W ten sposób nigdy nie ustaną spory, kłótnie i starcia, a wszyscy ławnicy razem utworzą zgromadzenie chaotyczne, w którym każdy w gwałtowny sposób będzie usiłował przeforsować interesy swych Wyborców. Mimoto sądzę, że nie będziemy wówczas wspominać z żalem naszych dawnych ławników, zawistych od króla. Nowi dostojnicy wyposażeni niezmierną pychę i zarozumiałość będą nas pobudzać do serdecznego śmiechu, a zarazem utworzą zwierciadło, w którym przejrzeć się mógł będzie każdy z obywateli. Pochodząc ze stanu niskiego, nie będą zdolni ani pozostać w nim, ani też posunąć się wyżej. Bogaczy przerażać będzie ich zuchwalstwo, biedaków ich tchórzostwo, a jednak należałoby jeno stwierdzić ich wielce hałaśliwą niemoc. Pozatem wszystkim uzdolnieni do pełnienia funkcji powszechnych i zwyczajnych, zarządzać mogą dobrem publicznym w sposób wystarczająco małostkowy, na który

zdołać się można zawsze, a którego nigdy prześcignąć niepodobna.

- Uf! - odsapnął pocziwy papa mój, gdy mistrz mówić skończył - Ślicznie mówiliście księżu dobrodzieju, ale dość tego! Wino kwaśnieje w szklance!

## ROZDZIAŁ IX

### WIEDZA

Pewnego dnia zaszliśmy z droгим mistrzem moim aż do PontNeuf, którego parapety okryte są zawsze, jak wiadomo, pudłami antykwarzy, bukinistów, rozkładających przed oczyma tłumu najróżniejsze romansidła, oraz dzieła naukowe i książki do nabożeństwa.

Można tam kupić za dwa sody całą „Astree” i „Wielkiego Cyrusa” wyczytanego i wytluszczonego palcami prowincjonalnych czytelników, a jednocześnie zaopatrzyć się w przepis na „Maść przeciw oparzelinie” i rozmaite dysertacje jezuickie. Mistrz mój miał zwyczaj czytać dorywczo po kilka stronnic różnych książek, nie kupując ich zresztą nigdy, nie posiadał bowiem pieniędzy, a gdy czasem wpadło mu sześć groszy gdzieś z boku, to trzymał je starannie ukryte w kieszeni spodni, przeznaczając z zupełną słuszością dla właściciela „Małego Bachusa”.

Nie był zresztą wcale zachłanny na dobra ziemskie i dzieło najznakomitszego autora nie

kusiło go, byle mógł jeno przeczytać celniejsze ustępy, z których potem czerpał tematy do swych niezrównanych wywodów. Pudła bukinistów z PontNeuf pociągały go jeszcze i tem, że książki przepojone były zapachem smalca, dolatującym od pączkarzy, którzy sprzedawali różne gnieciuchy w pobliżu, tak że czcigodny mąż ten mógł wdychiwać jednocześnie woń miłą dla umysłu i żołądka.

Nasadziwszy okulary, jął się przyglądać wystawie przekupnia z ukontentowaniem duszy pogodnej, którą raduje wszystko, bowiem odzwierciedla własne jej wesele.

- Rożenku, synu drogi, - rzekł do mnie - widzę w pudle tego naiwnego poczciwca książki, wydawane wówczas, kiedy drukarstwo było jeszcze, że tak powiem, przy cycku i zapach, oraz prostota przodków naszych dolata mnie poprzez oddal wieków. Dostrzegam tu barbarzyńską kronikę Monstreleta, zawierającą więcej gorzycy, niż cała beczka musztardy, oraz kilka żywotów św. Małgorzaty, które swego czasu używały kumoszki na okłady żywotów swoich podczas bólów porodowych.

Trudnoby poprostu pojąć, jak człowiek rozsądny mógł pisać i czytać podobne elukubracje.

gdyby nie Pismo Święte, dowodzące że ludzie przychodzą na świat z zadatkiem głupoty. Dzięki Bogu nigdy mnie nie przestało oświecać światło świętej wiary, nawet kiedy grzeszyłem w łożu, czy przy stole, przeto pojmuję lepiej może ową głupotę wieków minionych, niż mądrość czasów obecnych. Owa terażniejsza mądrość, wydaje mi się, prawdę mówiąc, nieco złudna i powierzchowna, to jest patrzę na nią tak, jak patrzeć będą przyszłe stulecia, bowiem człowiek w istocie swej jest to bydlę głupie, a postęp rzekomy jego umysłowi jest jeno majakiem niepokoju, jaki go nęka.

Z tego to właśnie powodu synu drogi, niedowierzam temu, co zowią wiedzą i filozofją, uważając je za nadużycie w zakresie Wyobraźni, za pokuśliwy miraż, którym zły duch wabi dusze. Wiesz dobrze, iż daleki jestem od wiary w one wszystkie djabelstwa, które przerażają tłumy ludu. Zgadzam się zupełnie z świętymi Ojcami Kościoła twierdzącymi, że pokusa mieszka w nas samych i że sami sobie jesteśmy demonami i maleficja mają swe źródło w duszach naszych.

Mam jednak urazę głęboką również do pana Dekarta i wszystkich tych filozofów, którzy za jego przykładem szukali reguł życia i zasad postępowania w poznaniu przyrody. Czemże jest bowiem, Rożenku, owo poznanie przyrody, jeśli

nie ułudą zmysłów? Do czegoż zresztą, pytam, doprowadziła wiedza z wszystkimi uczonymi, począwszy od Gassendiego, który nie był najmniejszym z uczonych osłów, aż do Dekarta i uczniów jego, aż do tego wesołego jagniętka, pana de Fontenelle? Same jeno okulary, same okulary, podobne do tych jakie zdobią nos mój. Wszystkie owe mikroskopy i lunety powiększające obrazy są to w gruncie rzeczy jeno okulary dla łudzenia się lepiej.

Coprawda widać przez nie lepiej, niż przez moje, kupione w zeszłym roku na laurentyńskim jarmarku, których szkło lewe, dużo lepsze zresztą od prawego, zostało któregoś dnia w zimie roztrzaskane rydlem, rzuconym We mnie przez kulawego szlifierza, pod pozorem, że pocałowałem Kasię koronczarkę. Jest to człek ordynarny i pogrążony zupełnie w otchłaniach żądy cielesnej, uosobionej w tej dziewczynie.

Tak Rożenku drogi, wszystkie te instrumenty używane przez uczonych i ciekawych zapelniające pracownie i gabinety, wszystkie lunety, astrolabja, busole itd. są to jeno środki pomagające zmysłom w tem lepszym łudzeniu się, a przeto pomnażają jeno nieświadomość, w której beznadziejnie pogrążeni jesteśmy z racji samej natury naszej i to tem dzielniej, im bliższy stwarzają kontakt z przy

rodą. Najuczeńsi z pośród nas różnią się od ograniczonych tylko wprawą nabytą w zabawianiu się pomyłkami i błędami, których mnogość jest coraz to większa, a chaotyczność coraz to przeraźniejsza. Widzą oni wszechświat w oszlifowanym topazie, oprawionym w ramkę, a nie dostrzegają go w sposób normalny, jak np. zacna matka twoja, patrząca, jak Bóg przykazał, zdrowymi oczyma. Niestety, oczy spoglądające przez lunetę, pozostają takimi jakie były przedtem i nie zmieniają zgoła rozmiarów przestrzeni, ciężar pozostaje tenżesam, mimo że ludzie używają wag nader czułych, odkrywają oni jeno coraz to nowe pozory i stają się przeto igraszką nowych złud. Na tem koniec!



Gdybym, o drogi uczniu mój nie wierzył głęboko w to wszystko co nam do wierzenia podaje wiara nasza święta i rzymskokatolicki Kościół, matka nasza, to zaprawdę powiadam ci, że po dojściu do poglądu, iż cały rozwój ducha ludzkiego jest jeno fantasmagorią i głupstwem, nie pozostawałoby mi nic innego, jak skoczyć

z tego oto parapetu do Sekwany, która, od czasu jak płynie niejednego już widziała topielca, lub też pójść do Kasi koronczarki i prosić jej, by mi udzieliła tego rodzaju zapomnienia nędzy życia, jaki znaleźć można w jej objęciach, co byłoby zresztą rzeczą nieskromną, uchybiającą mej sukience duchownej i niezgodną z wiekiem. Otoczony mnóstwem potwornych przyrządów, zwiększających kłamliwie i upiornie kłamstwo spojrzenia mego, mogę jeno w wierze szukać ucieczki, a Akademia byłaby mi piekłem straszliwym.

Drogi mistrz mój przemawiał w ten sposób, stojąc przy pierwszym parapecie mostu na lewo, opodal ulicy Delfinatu, a przekupień spozierał nań coraz to bardziej przerażony, mając go za egzorcystę. Nagle ks. Coignard pochwycił stare wydanie geometrii Euklidera, ozdobione niedołącznymi rysunkami Sebastjana Lederca i podjął rzecz na nowo.

- Być może, że nie będąc chrześcijaninem, katolikiem, miast rzucić się w brudną wodę, lub miłość, zdecydowałbym się skoczyć jak stoję w matematykę, w której umysł człowieka znajduje pożywkę, najpożądańszą, a mianowicie: konsekwencję i ciągłość. Przyznaję, że ta prostacka zresztą książeczka zniewala mnie do niejakiego uznania dla ludzkiego genjuszu.

Powiedziawszy to, otwarł tak nagle i gwałtownie tom w miejscu traktującym o trójkątach, że omal nie złamał grzbietu. Po chwili odrzucił go jednak z niesmakiem.

- Niestety - mruknął zcicha - liczby zawisłe są od czasu, linie od przestrzeni, więc i one stanowią jeno złudę człowieczą. Poza człowiekiem nie istnieje matematyka, ani geometria i w gruncie rzeczy nie jestto umiejętność pozwalająca wyjść poza samych siebie, mimo że przybiera pozory niezawisłości, mogące zaimponować.

Rzekłszy to, odwrócił się plecami do bukinisty niezmiernie uradowanego tym gestem i odetchnął pełną piersią.

- O drogi mój Rożenku! - zawołał - Oto widzisz jak dręczony jestem chorobą z rozmysłem nabytą, widzisz jak pali mnie płomienna koszula, w którą własną przybrałem się ręką.

Mówił jeno obrazami i alegorjami, gdyż wistocie ubrany był w wyszarżaną, podartą sutannę, spiętą na brzuchu dwoma zaledwo, czy trzema guzikami. Guziki nie tkwiły przytem w dziurkach właściwych. Ile razy mu zwracano uwagę, powiadał zwykle śmiejąc się, że owe niewłaściwe guziki w niewłaściwych dziurkach wyobrazają zepsucie obyczajów w stolicy, czyli ze strój jego nazwać można cudzołożnym.

- Nienawidzę wiedzy! - zawołał z uniesieniem. - Nienawidzę, gdyż kochałem ją do szaleństwa i czynię, jak erotoman, robiący wymówki kobiecie, że nie ziściła rokoszy o jakiej marzył, nim go objęła w ramiona. Chciałem poznać wszystko i cierpię teraz karę za grzeszne szaleństwo swoje. O jakże szczęśliwi są ci naiwni zebrani wokoło jakiegoś szarlatana!

Pokazał grupę lokai, pokojówek i obszarpańców z zaułków fortu św. Mikołaja, otaczających jakiegoś błazna ulicznego, który robił hece ze swoim służącym.

- Patrz Rożenku! - powiedział - Śmieją się z całego serca, patrząc jak jeden łotr daje kopniaka w zadek drugiemu. Widowisko to ucieszne jest, a jednak i ten drobiazg psuje mi refleksja, gdyż wystarczy zagłębić się w istotę tego kopniaka i tego zadka, aby przestać śmiać się do końca życia.

Jako chrześcijanin winienem był wcześniej przejrzeć całe łotrostwo w tej pogańskiej maksymie: - Szczęśliwy, kto poznał przyczynę wszechrzeczy! - Trzeba mi było zamknąć się w świętej głupocie niby klasztornym sadzie pośród murów i zostać podobnym dziecku. Nie poznałbym zapewne grubijańskich dowcipów takiego np. Mondora (ów Molier z PontNeuf nie pociąga

- Nienawidzę wiedzy! - zawołał z uniesieniem. - Nienawidzę, gdyż kochałem ją do szaleństwa i czynię, jak erotoman, robiący wymówki kobiecie, że nie ziściła rokoszy o jakiej marzył, nim go objęła w ramiona. Chciałem poznać wszystko i cierpię teraz karę za grzeszne szaleństwo swoje. O jakże szczęśliwi są ci naiwni zebrani wokoło jakiegoś szarlatana!

Pokazał grupę lokai, pokojówek i obszarpańców z zaułków fortu św. Mikołaja, otaczających jakiegoś błazna ulicznego, który robił hece ze swoim służącym.

- Patrz Rożenku! - powiedział - Śmieją się z całego serca, patrząc jak jeden łotr daje kopniaka w zadek drugiemu. Widowisko to ucieszne jest, a jednak i ten drobiazg psuje mi refleksja, gdyż wystarczy zagłębić się w istotę tego kopniaka i tego zadka, aby przestać śmiać się do końca życia.

Jako chrześcijanin winienem był wcześniej przejrzeć całe łotrostwo w tej pogańskiej maksymie: - Szczęśliwy, kto poznał przyczynę wszechrzeczy! - Trzeba mi było zamknąć się

w świętej głupocie niby klasztorным sadzie pośród murów i zostać podobnym dziecku. Nie poznałbym zapewne grubijańskich dowcipów takiego np. Mondora (ów Molier z PontNeuf nie pociąga

- Nienawidzę wiedzy! - zawołał z uniesieniem. - Nienawidzę, gdyż kochałem ją do szaleństwa i czynię, jak erotoman, robiący wymówki kobiecie, że nie ziściła rokoszy o jakiej marzył, nim go objęła w ramiona. Chciałem poznać wszystko i cierpię teraz karę za grzeszne szaleństwo swoje. O jakże szczęśliwi są ci naiwni zebrani wokoło jakiegoś szarlatana!

Pokazał grupę lokai, pokojówek i obszarpańców z zaułków fortu św. Mikołaja, otaczających jakiegoś błazna ulicznego, który robił hece ze swoim służącym.

- Patrz Rożenku! - powiedział - Śmieją się z całego serca, patrząc jak jeden łotr daje kopniaka w zadek drugiemu. Widowisko to ucieszne jest, a jednak i ten drobiazg psuje mi refleksja, gdyż wystarczy zagłębić się w istotę tego kopniaka i tego zadka, aby przestać śmiać się do końca życia.

Jako chrześcijanin winienem był wcześniej przejrzeć całe łotrostwo w tej pogańskiej maksymie: - Szczęśliwy, kto poznał przyczynę wszechzeczy! - Trzeba mi było zamknąć się w świętej głupocie niby klasztorным sadzie pośród murów i zostać podobnym dziecku. Nie poznałbym zapewne grubijańskich dowcipów takiego np. Mondora (ów Molier z PontNeuf nie pociąga

handlarzy mięsem ludzkim, mający sklepik przy Valeede Misere, którą stąd możemy dojrzeć wyraźnie. Werbując ochotników do wyjazdu na kolonje, mówił do nich mniejwięcej w ten sposób:

- Młodzieńcy, którzy słuchacie słów moich! Sądzę, że doszły was słuchy o kraju Obfitości. Otóż kraj ten leży w Indjach i tam jechać należy, gdy się chce zyskać szczęście niezmierne. Jeśli zapagniecie złota, pereł, czy djamentów, to wystarczy jeno schylić się, bowiem drogi są tam wysadzane owemi marnościami ziemskimi. Co mówię. Nawet schylać się nie trzeba, albowiem od tego są dzicy krajowcy, którzy muszą wam służyć każdej chwili. Nie warto sobie strzępić gęby opowiadaniem, że bez wszelakiej uprawy, ni pracy ziemia wydaje tam sama cytryny, jabłka granatowe, pomarańcze, ananasy i mnóstwo innych wybornych, a nieznanych w naszym nędznym kraju owoców. Jest to raj, basta. Gdybym wyparzał sobie jadaczkę pustą gadaniną do kobiet i dzieci, opowiadałbym im do rana duby smalone o tych wszystkich smakołykach. Ale mówię do mężczyzn, przeto słuchajcie...

Pomijam dalsze zachwalania i wywody o sławie i łasce monarszej, ale zaręczam ci, że dorównał w zapale Demostenesowi, a Cynceronowi w obfitości słów, porównań i obrazów. Rezultat był taki,

że sześcioro, czy siedmiu nieszczęśników zgodziło się umrzeć na żółtą febrę w bagnach Indochin. Otóż widzisz drogi mój chłopcze, że niebezpieczną bronią jest krasomówstwo, którym posługuje się genjusz sztuki zarówno w dobrym, jak i złym celu.

Podziękuj Bogu Rożenku mój, że nie wyposażył cię talentami żadnego rodzaju, a przeto uchronił od hańby zostania kiedyś szerzycielem nieszczęść pośród ludu. Ulubieńców Opatrzności poznaje się po tem, że nie mają rozumu, ja zaś przekonałem się, iż do nich zaliczać się niestety nie mogę, gdyż owa dość znaczna inteligencja, jaką spodobalo się Niebu pokarać mnie była, zawsze i jest dotąd ciągłą przyczyną niebezpieczeństw w tym świecie, a kto wie czy i w przyszłym życiu nie stanie mi na przeszkodzie.

Cóżby się dopiero działo, gdyby duch i serce takiego Cezara osiedliły się w biednym ciele mojem! Żądze me nie znałyby różnic płci i nie znałbym litości! Rozniecałbym wewnątrz i zewnątrz państwa straszliwe wojny. Wspomnieć tu należy, że wielki Cezar miał duszę wykwinną i coś w rodzaju łagodności. Umarł przyzwoicie zakłuty sztyletem cnotliwego mordercy. O dniu nieszczęsny id marcowych, dniu na wieki przeklęty, w którym przepojone zasadami chamy zniweczyły owego uroczonego potwora! Godzien jestem opła

kiwać boskiego Cezara porówni z Wenerą, matką jego, a nazywam go potworem z czułości tylko, gdyż w zrównoważonej duszy jego nie było żadnej innej dysharmonji prócz nieokiełznanej żądzy władzy. Miał przyrodzone poczucie rytmu i miary i lubował się czasu swej młodości zupełnie jednako w rozpuście, jak gramatyce. Był krasomówcą, a piękność jego postaci zdobiła umyślną oschłość wywodów. Kochał Kleopatę z tąsamą geometryczną ścisłością, jaką widzimy we wszystkich jego zamierzeniach i czynach. W pismach i działaniu okazał genjusz jasności, był też zwolennikiem pokoju i ładu w samym nawet odmęcie wojny, a przytem tak wrażliwy na harmonję i zręczny w konstrukcjach jurydycznych, że mimo naszej dotychczasowej barbarji żyjemy ciągle jeszcze pod urokiem majestatu praw jego państwa, które uczyniły świat tem, czem jest obecnie.

Widzisz tedy synu mój, że nie szczędzę mu pochwał, ni uczucia. Jako wódz, dyktator, czy pontifex maximus modelował świat pięknymi rękami swemi. A czemże ja byłem? Profesorem retoryki w kolegium w Beauvais, sekretarzem pewnej śpiewaczki operowej,

bibliotekarzem Jego Wielbności księdza biskupa w Séez, pisarzem katedry św. Inocentego i nauczycielem syna ojca twego w gospodzie „fiod Królową Gęsią Nóżką”.

Prócz tego sporządziłem piękny katalog cennych rękopisów, skomponowałem kilka paszkwilów, o których lepiej nie wspominać, oraz skreśliłem na papierze do owijania świec kilkaset maksym, których wydać nie chce żaden nakładca. Mimoto nie zamieniłbym się z Juljuszem Cezarem, gdyż wielki by przeto poniosła despekt niewinność moja, a wolę być raczej człowiekiem ciemnym, biednym i pogardzanym, jak to jest wistocie, niż wznieść się na one wyżyny, z których wskazuje się światu nowe drogi przeznaczenia krwią zalane.

Ten oto sierżant, drogi Rożenku, którego wrzask aż do nas dochodzi obiecujący onym biedakom i durniom sousa dziennie, oraz chleb i mięso nasuwa mi głębokie refleksje na temat wojny i armji. Różne miałem zawody prócz żołnierki, gdyż ten fach napawał mnie zawsze obrzydzeniem i strachem, skutkiem złączonego z nim serwilizmu, fałszywego zrozumienia sławy i okrucieństwa. Te rzeczy sprzeczne są wprost z naturą moją zamiłowaną w pokoju, z namiętmem umiłowaniem wolności, oraz nastrojem umysłu, który wie co sądzić o sławie i taksuje Wedle właściwej miary sławę muszkietera.

Pomijam tu zresztą zamiłowanie nieprzezwyjęzone do rozmyślań, któremuby stały bardzo na przeszkodzie ćwiczenia szablą, strzelanie

i wogóle cała mustra. Nie pragnąc zostać Cezarem, zrozumiesz, że nie myślę również stać się kapralem Cezara i nie kryję się wcale z tem, iż służba wojskowa wydaje mi się najstraszliwszą zarazą, szalejącą pośród narodów rządzonych systemem policyjnym.

Jest to pogląd filozoficzny, przeto nie może go podzielać znaczna liczba osób, toteż nie zbraknie królom, ni republikom nigdy chyba żołnierzy do parad i do najkrwawszych nawet wojen. Czytałem u Blaizota „pod Obrazem św. Katarzyny” traktat Machiavela i zauważyłem, że jest ślicznie oprawny w pergamin. Wart jest grzechu, drogi chłopcze. Osobiście cenię niezmiernie tego sekretarza Stanu Florentyńskiej republiki, który pierwszy odjął czynom politycznym ów pozór podstawy sprawiedliwości, o którą oparci władcy zarówno jak i republiki popełniały przez całe wieki łajdactwa i zbrodnie. Florentyńczyk ów, widząc, iż ojczyzna wydana jest na łup wojsk najemnych, powziął myśl stworzenia armji narodowej i patryjotycznej. Powiedział gdzieś w dziełach swych, że słusznem jest, by wszyscy obywatele przyczyniali się do ubezpieczenia losu kraju, a przeto winni stać się żołnierzami. Słyszałem to w księgarni od pana Roman, który, jak wiesz, jest nader gorliwym obrońcą praw państwa. Idzie

mu jeno o dobro ogółu i uczuje się zadowolonym wówczas dopiero, kiedy wszystkie interesy prywatne zostaną złożone w ofierze dobru państwa. Mechiawel tedy, oraz pan Roman życzą sobie, byśmy wszyscy zostali żołnierzami, ponieważ wszyscy jesteśmy obywatelami. Nie twierdzą jak oni, by to była rzecz słuszna, ale nie powiem też, iżby to nie miało podstawy, a to dlatego, że słusność i niesłusność są to tematy rozumowania i w tych sprawach decyzję przyznają sofistom.

- Co? - zawołałem przerażony - Czyż mnie uszy mylą? Twierdzisz mistrzu, że sprawiedliwość zależy jedynie od rozumowania sofisty, że stwierdzenie, który z postępów naszych jest słuszny, a który nie, zależy jedynie i wyłącznie od argumentów zręcznego logika? Oo... maksyma ta boli mnie srożej, niż to potrafię wypowiedzieć!

- Rożenku, synu mój, nie martw się, ale posłuchaj! Mówiłem wyłącznie o sprawiedliwości ludzkiej, różnej zgoła od nieomyślnej sprawiedliwości boskiej, zazwyczaj nawet sprzecznej z tą pierwszą. Ludzie starali się zawsze na drodze rozstrząsania rozumowego dojść do ujęcia idei sprawiedliwości i niesprawiedliwości, gdyż ono jedno objąć zdolne jest argumenty za i przeciw. Domyślam się, że chciałbyś oprzyć ideję sprawiedliwości na uczuciu, ale przestrzegam cię, że na

tej małej polance zbudować zdołasz conajwyżej niewielką zagrodę, szalas starego Ewandra, lub chałupczkę niską, w której Filemon ścisnąć może Baucis. Gmach ustawodawstwa i baszta instytucji państwowych muszą mieć obszerniejszą parcelę i silniejsze fundamenty. Sama naiwna prostota przyrodzona nie zdolną jest udźwignąć ciężaru straszliwego, toteż owe olbrzymie mury opierają się o podwaliny kłamstw starożytności, a Wzniosła je subtelna i okrutna sztuka architektoniczna prawodawców, urzędników i książąt.

Naiwnością jest mój chłopcze, Rożenku, zadawać sobie pytanie, żali jakaś ustawa jest sprawiedliwa, czy nie, a tak właśnie rzecz się ma z obowiązkiem służby wojskowej, oraz innymi instytucjami. Nie podobna orzec czy są dobre, czy złe w zasadzie, gdyż niema zasad poza Bogiem, z którego wynika wszystko. Musisz się drogi synu bronić przed niewolą tego rodzaju, która polega na słowach i nazwach, a wciąga w swe sidła całe masy ludzi, podających głowy pod nóż z całą uległością. Wiedz, że pojęcie sprawiedliwości nie posiada żadnej treści ni sensu, z wyjątkiem W świętej teologii, gdzie nabiera ścisłego i straszliwego znaczenia.

Pan Roman twierdząc, że służba pod rozkazami króla jest obowiązkiem, postępuje jak

sofista, a mimoto sędzę, że gdyby król zażądał pewnego dnia od wszystkich obywateli by stanęli pod bronią, to niezawodnie usłuchaliby i to nietylko z uległością, ale nawet z radosnym pośpiechem. Zauważyłem, że żołnierka jest zawodem najnaturalniejszym dla człowieka. Skłania on się ku temu najłatwiej przez wrodzone instynkty i upodobania, zresztą nie zawsze pochwały godne. Toteż z wyjątkiem pewnej liczby wyjątkowych natur, do których się sam zaliczam, człowieka można zdefiniować, jako bydlę z muszkietem.

Daj mu jeno piękny uniform, zrób nadzieję, że będzie mordował i rabował, a radość go ogarnie szalona. Stąd też pochodzi, że ogólnie uznajemy państwo militarne, za najwyższy typ państwa, co jest o tyle prawdą, że takie państwo jest najstarszą formą, a pierwsi zaraz śmiertelnicy brali się za bary. Państwo militarne jest ponadto najlepiej dostosowane do ludzkiej natury, albowiem myśli się w niem najmniej, a przecież wcale nie jesteśmy na świecie poto, by myśleć.

Myślenie jest to choroba właściwa pewnej liczbie jednostek i gdyby zaraza ta rozpowszechniła się zanadto, to oczywiście rodzaj ludzki musiałby zniknąć z powierzchni ziemi. Żołnierze żyją W kupie, a człowiek jest zwierzęciem stadnem. Mają mundury białoniebieskie, niebieskoczer

wone, szaroniebieskie, noszą wstęgi, pióropusze i kokardy, a wszystko to działa na dziewczki tak jak upierzenie koguta na kurę. Idą na wojnę i rabunek, a człowiek z natury swej jest złodziejem, odczuwa żądze, lubi niszczyć, a przytem lubi również t. zw. sławę. Właśnie owo zamiłowanie do sławy skłania nas, Francuzów do chwytania za broń, zaś nie ulega wątpliwości, iż sławę wojenną opinia publiczna stawia ponad wszystkie inne rodzaje odznaczenia się. Wystarczy ci dla przekonania przeczytać tom historii, a wówczas przebaczysz kapralowi, że nie jest większym od Tytusa Liwjusza filozofem.

## ROZDZIAŁ XI

### ARMJA

#### (CIAĞ DALSZY)

Drogi mistrz mój ciągnął dalej temi słowy: - Musisz pamiętać synu drogi, że ludzie, związani ze sobą w ciągu długich wieków w sposób wieloraki łańcuchem, którego zaledwie kilka najbliższych ogniów dostrzegają, przypisują wielkie dostojęństwo i znaczenie zwyczajom i obyczajom” które powstały z bardzo nędznych i barbarzyńskich zaczątków. - Nieświadomość ta sprzyja ich pysze. Fundują swą sławę na nędzocie wieków minionych, a

już cała dostojność orężna opiera się na dzikości pierwszych wieków, których wspomnienie przetrwało w Biblii, oraz u poetów.

Czemże jest w istocie owa dżentelmenerja militarna, z taką dumą wznosząca głowę ponad wszystkie stany, jeśli nie resztką zdegenerowanych nędznych myśliwców ludów pierwotnych, łowieckich, których tak dokładny obraz kreśli Lukrecjusz, iż niewiadomo, ludzie są to, żali wilki? Przedziwna to zaiste farsa, drogi Rożenku mój.

że właśnie wojna i polowanie, owe dwie rzeczy, których samo wspomnienie winno by nas przepajać uczuciem hańby i wyrzutów sumienia, albowiem nasuwa na myśl te nędzne konieczności natury, oraz zastarzałą złość i dzikość naszą, że powiadam, właśnie te rzeczy stały się substratem ludzkiej pychy, którą ludy chrześcijańskie kultywują i honorują dalej, wysoko stawiając rzemiosło rzeźnika i kata, o ile tylko trwa od wieków w danym rodzie. Czyż nie szaleństwem jest poprostu, by ludy cywilizowane czciły i wyróżniały swych obywateli wedle ilości morderstw i rzezi, jakich się dopuścili ich przodkowie i jakimi są poprostu dziedzicznie obciążeni?

- Szlachetny mistrzu! - spytałem, gdy zamilkł na chwilę - Czy nie sądzisz, że rzemiosło żołnierskie cenione jest tak wysoko z powodu niebezpieczeństw, na jakie naraża, oraz odwagi, której wymaga koniecznie i bezwzględnie?

- Chłopcze mój, - odparł - jeśli zawód człowieka ma być ceniony wedle stopnia niebezpieczeństwa na jakie naraża i w miarę tego stawiony najwyżej, to pierwszymi szlachciami i diukami państwa winno być robotnicy i chłopci, gdyż nie zawaham się twierdzić, że robotnik w pracy rękodzielniczej, czy kopami, albo na okręcie, a chłop na roli są najbardziej narażeni

na śmierć przez wypadek, zatonięcie, czy skonanie z głodu. Niebezpieczeństwa na jakie wystawia się dowódca i żołnierze są mniejsze co do liczby, a także co do czasu trwania. Żołnierze są wystawieni na pociski i strzały często przez kilka jeno godzin za cały czas służby, a te nawet kule nie zabijają tak pewnie i nieomylnie, jak nędza pochłaniająca pokolenia całe. Ludzie są płytcy i lekkomyślni jeśli otaczają większą sławą czyny żołnierza, niż pracę rolnika i wytwórcy dóbr Wszelakich, robotnika, a także głupi są straszliwie, stawiając wyżej dzieło zniszczenia, dzieło wojny od rękodzieł, sztuki i produkcji rolnej.

- Nie sądzisz szlachetny mistrzu - spytałem - by żołnierze byli niezbędnie potrzebni do ubezpieczenia państwa? Może więc z tego powodu winniśmy im wdzięczność i cześć za wielką, oddaną ogółowi przysługę.



- Prawda, drogi chłopcze! - powiedział mistrz - Wojna jest jedną z potrzeb ludzkiej natury i nie sposób wyobrazić sobie ludu, któryby się nigdy nie bił, to znaczy, by jego członkowie nie mordowali, nie grabili, nie podpalali. Podobnie trudno spotkać księcia, któryby nie był poniekąd uzurpatorem. Czynionoby mu ciągle wymówki i wszyscyby twierdzili, iż nie troszczy się o sławę. Wojna jest tedy ludziom potrzebna

a nawet konieczna. Jest mu ona bliższą niż pokój, który też uważać można za odpoczynek pomiędzy dwoma wojnami. Stąd to pochodzi, że książętom starczy najbłahszy pretekst, największe głupstwo, by rzucić swe armje przeciw sobie wzajem. Powołują się na swój honor, którego drażliwość przechodzi wprost granice przyzwoitości. Jedno tchnienie i już powstała straszliwa plama, którą zmyć może jeno krew dziesięciu, dwudziestu, trzydziestu, czy nawet stutysięcy ludzi, oczywiście stosownie do zaludnienia danego państwa.

Na pierwszy rzut oka niezrozumiałem się to zgoła wydać musi, w jaki sposób może zostać obmyty honor panującego krwią tych nieszczęśników, a raczej odrazu spostrzegamy, że są to jeno słowa pozbawione wszelkiego sensu. Tymczasem ludzie z całą gotowością dają się zabijać za te właśnie słowa.

Jeszcze ciekawszym objawem jest, że książę, który ukradnie prowincję drugiemu, dostępuje niemalej sławy zarówno u swego ludu, jak i ludu okradzonego, a taki zamach na własność, któryby został u poszczególnych obywateli ukarany ciężkiem więzieniem lub śmiercią, staje się zaszczytnym u księcia, chociaż dokonał go na drodze krwawej, rękami swych najemnych zbirów.

Powiedziawszy to, drogi mistrz mój wyjął z kieszeni tabakierkę i zażył szczyptę, tułającą się jeszcze na dnie.

- Więc niema wojen sprawiedliwych i wielkich, szlachetnych racji walki? - spytałem.

- Ludy cywilizowane - odparł - uczyniły niesprawiedliwość przyczyną wojny, uczyniły ją krzywdzicielską i niezmiernie okrutną. Pierwsze wojny były to przedsięwzięcia dla osadzenia pewnych plemion na odpowiednich, urodzajnych obszarach. W ten sposób Izraelici podbili ziemię chananejską. Działali pod naporem głodu. Z postępowaniem cywilizacji wojna stała się pogonią za kolonjami i rynkami zbytu towarów, jak to widzimy na przykładzie Hiszpanji, Holandji, Anglii i Francji. Pośród innych wojen zdarzało się też często, że cesarze i królowie porywali prowincje zupełnie im niepotrzebne, aby je tylko zniszczyć, wyludnić, bez żadnej dla siebie innej korzyści, poza tą jeno może, że stawiali tam piramidy, obeliski, czy łuki tryumfalne.

Takie nadużycie wojny jest wprost obydne i wydaje się jakoby ludy stawały się coraz to gorsze w miarę rozwoju cywilizacji, lub też że wojna, będąca istotną koniecznością ludzkiej natury trwa dalej sama dla siebie, chociaż ustały wszelkie powody staczania bojów.

Pogląd taki dotyka mnie boleśnie, gdyż przez sam stan duchowny i skłonność umysłu mam upodobanie w pokoju i miłości bliźniego. Prócz innych smutków odczuwam jeden jeszcze, mianowicie przygnębia mnie widok pustej tabakierki, a to jest właśnie punkt najdrażliwszy, gdyż ujawnia mi całą nędzę moją.

W celu odwrócenia myśli jego od tej przeciwności losu, a zarazem dla własnej nauki, spytałem, czy wojna domowa nie wydaje mu się najohydniejszym rodzajem walki.

- Jest wstrętna, jak wszystkie, ale nie hańbi tak, jak ludzie głoszą, bo przecież obywatele biorący się za łby, mają więcej szans zdania sobie sprawy dlaczego to czynią, niż w wypadku kiedy ich pędzą stadami na walkę z ludem innym. Bunty i zaburzenia Wewnętrzne mają zazwyczaj źródło w skrajnej nędzy ludu. Są to akty rozpacz i ostatnia ucieczka nieszczęśliwych przez którą zdobyć mogą lepsze warunki życia, a nawet osiąść pewną część władzy. Ale zaznaczyć należy mój synu, że im słuszniejsze są rewolty, to znaczy, im większa jest nędza mas, tem mniejsze są szansę dla nich wygrania stawki. Oglodzeni, ogłupieni, zbrojni w samą jeno wściekłość swoją nie mogą podołać wielkim planom i nie umieją ich przeprowadzić, toteż władca poskramia łatwo

tłum nieskoordynowany. Trudniej mu wziąć górę nad zrewoltowanymi możnowładcami, a taki bunt jest wprost haniebny, bo niema za sobą prawa konieczności.

Koniec końcem drogi chłopcze, zarówno domowa jak zewnętrzna wojna jest ohydny zjawiskiem i doprowadza mnie do obrzydzenia sama myśl o niej.

## ROZDZIAŁ XII

### ARMJA

#### (DOKOŃCZENIE)

- Drogi synu, - podjął po chwili mistrz - postaram się dać ci całokształt onej hańby i sławy jednocześnie biednych żołnierzy, pełniących służbę króla. Wojna bezsprzecznie cofa nas Wstecz, ku pierwotnemu brutalizmowi i jest skutkiem tej dzikości, którą posiadamy narówni ze zwierzętami. Nie mam tu na myśli samych jeno potężnych lwów, lub zacierzewionych kogutów, które są dumne z bitek niezmiernie, ale przytoczę bodaj ptaszęta jak sojki i sikory o nawyknięciach nadzwyczaj kłótliwych, ba... nawet owady, jak osy i

mrówki, staczające ze sobą walki tak zażarte, że nie mamy przykładów podobnych w dziejach rzymskich.

Powód zasadniczy onych starć jest tensam u człowieka i zwierzęcia. Idzie im o zdobycz, lub zapewnienie sobie posiadanie łupu, o obronę jamy, czy gniazda, lub o pozyskanie samicy dla celów rokoszy i rozmnożenia gatunku. Niema naj

mniejszej różnicy pomiędzy zwierzęciem, a człowiekiem w tym wypadku, a porwanie Sabinek żywo przypomina nocne walki jeleni, które posoką swoją rosą lasy nasze. Umiemy tylko ubarwić owe motywy niskie i przyrodzone ideją honoru, o czym gadamy jak najęci, nie licząc się z ścisłością rozumowania.

Przypisując dzisiaj wojnie motywy szlachetne, dostojne i bohaterskie, operujemy jeno niejasnemi formułami uczuciowemi, niczem więcej. Im mniej prostym, jasnym i określonym jest cel Wojny, tem bardziej zasługuje ona na potępienie, a w wypadkach kiedy ludzie dochodzą do zabijania się wzajem dla samego jeno honoru, musimy tę zbrodnię napiętnować jako straszliwy czyn, jako opętanie rozpaczliwe. Prześcigamy wówczas najdziksze potwory lasów, które nie zadają sobie ran bez rozsądnych powodów. Można w takich razach stwierdzić, że człowiek jest gorszy i bardziej wynaturzony w staczanych przez siebie wojnach od dzikich bawołów i zajadłych mrówek w bojach jakie toczą ze sobą.

Nie koniec na tem. Nienawidzę armji nietyle ze względu na śmierć, jaką sieje wokół, ile z powodu otępienia i głupoty, które idą jej śladem. Niema gorszego wroga sztuki i wiedzy od przywódcy najemnych żołdaków, lub partyzantów,

temwięcej, iż zazwyczaj dowódca taki ani trochę wyżej nie stoi intelektualnie od bandy rozbójników, którą prowadzi. Nawyczka narzucania siłą swej woli czyni wojskowego zgoła niewrażliwym na sztukę elokwencji, której źródłem jest potrzeba przekonywania rozumowego. Toteż żołdak szczyci się pogardą słowa i wszelkich wiadomości z zakresu piękna.

Pamiętam, wszakże kiedy byłem bibliotekarzem biskupa w Séez, znałem pewnego kapitana, starego człowieka, osiwiatego w rzemiośle wojennem, posiadającego sławę niezmierniej odwagi i szczytającego się szeroką blizną, przecinającą mu całą twarz. Było to dobre chłopisko, zabił wprawdzie mnóstwo ludzi i zgwałcił kilka tuzinów ślicznych zakonnicek, ale nie uczynił tego przez jakąś specjalną złość. Rozumiał się wcale dobrze na swej sztuce, a nikt mu dorównać nie mógł w dyscyplinie jaką narzucił swemu pułkowi, który też defilował podczas parady lepiej od wszystkich innych. Pozatem był to człek o złotem

sercu i dzielny kompanjon do szklanki... ba... nawet do dzbana, co zresztą stwierdziłem sam, stawiając mu nieraz czoło w gospodzie „pod Siwym Koniem.” Zdarzyło się, że towarzyszyłem mu pewnego dnia (zaprzyjaźniliśmy się bowiem przy szklance) podczas gdy uczył swych ludzi jak się mają orjen

tować w polu Według gwiazd. Wyrecytował im przedewszystkiem rozkaz pana Louvois w tej sprawie, który od lat trzydziestu bębnił ciągle, przeto nie pomylił się ni razu, zupełnie jakbym ja nie uczynił omyłki, klepiąc Pater noster, lub Ave. Potem oświadczył żołnierzom, że zaczną szukać na niebie gwiazdy biegunowej, której położenie wyznaczają gwiazdy inne, biegnące koło niej, w kierunku przeciwnym od wskazówki zegarka. Mówił, ale nie rozumiał dobrze co mówi, bo powtórzywszy zdanie dwa, czy trzy razy, pochylił się ku mnie i szepnął:

- Psiakrew! Pokażno mi księżuniu tę zatraconą gwiazdę polarną. Niech mnie sam Lucyper, władca piekieł nabije na widły, jeśli potrafię ją odróżnić pośród mnóstwa światełek rozsianych po niebie!

Nauczyłem pokrótce, jak ma ją znaleźć, w końcu pokazałem palcem.

- Oo... - zawołał zdumiony - ta szelma wisi bardzo wysoko. Można sobie całkiem skrócić kark, chcąc ją dojrzyć z miejsca, na którym się znajdujemy!

Natychmiast dał rozkaz, by pułk cofnął się o pięćdziesiąt kroków wstecz, a to w tym celu, by żołnierze łatwiej mogli dojrzeć gwiazdę polarną.

To co ci opowiadam, mój chłopcze, nie jest zgoła facecją, ale faktem, na który patrzyłem własnymi oczyma. Przyznasz chyba, że ów mąż orężny miał bardzo naiwny pogląd na ustrój świata, a w szczególności na problem paralaksy gwiazd stałych. Mimoto na pięknym mundurze jego bogato szamerowanym połyskiwały gwiazdy orderów królewskich, a cieszył się w państwie uznaniem nierównie większem, niż biedny uczony kapłan. Otóż tego właśnie chamstwa, panoszącego się W armji znosić nie mogę!

Mistrz zamilkł na chwilę w celu odsapnięcia a ja korzystając z przerwy zadałem mu pytanie, czy zdaniem jego trzeba mieć dużo inteligencji by wygrać bitwę? Odpowiedział mi temi słowy:

- Rożenku! Jeśli weźmiemy pod uwagę wszystkie trudności, towarzyszące ściągnięciu i prowadzeniu wojsk, wiadomości, bez jakich się obejść trudno zarówno w ataku, jak defenzywie, oraz zważymy ile trzeba sprytu i znanstwa dla ułożenia planu, przyjdziemy do przekonania, że zdolnym do przeprowadzenia takiego przedsięwzięcia mógł być jeno taki

nadziemski genjusz wojenny, jak Cezar i wydziwić się trudno, że znalazły się po nim umysły zdolne ogarnąć tę moc olbrzymią wiadomości potrzebnych prawdziwemu wojownikowi. Wielki wódz musi znać zarówno

ukształtowanie terenu, jak nastrój, obyczaje i rodzaj przemysłu jakiemu oddaje się ludność. Myślą swą objąć musi nieskończoną niemal ilość drobnych faktów i okoliczności a z chaosu tego wyprowadzić pogląd prosty i ogarniający wszystko. Plan bywa długo przemyślany i naprzód nakreślony, ale wódz musi posiadać zdolność zmieniania go natychmiast w samym ogniu walki i to nagłe objawienie wymaga rozumu wygimnastykowanego i wielkiej odwagi. Myśl tedy wodza porusza się raz powolnym krokiem żółwia, innym znów razem szykuje orlim lotem w przestrzeni. To prawda zupełna i uznaję ją bez zastrzeżeń.

Zważ jednak drogi chłopcze, że z dwu armji stojących naprzeciw siebie jedna musi być zwyciężo a, z czego wynika, że druga z konieczności zwycięży, choćby dowodzący armją zwycięską nie posiadał Wszystkich zalet wielkiego stratega, a nawet choćby nie posiadał żadnej. Zdarzają się dowódcy zdolni, ale zdarzają się też niezasłużenie szczęśliwi, a sława ich nie jest przezto mniejszą. Jakże tedy w owym chaotycznym, zdumiewającym splocie wyróżnić to, co jest wynikiem sztuki, od tego, co przyniósł szczęśliwy przypadek?

Ale odwodziś mnie od tematu. Rożenku drogi, chciałem ci przedstawić, że wojna dzisiejsza

jest hańbą człowieka, a ongiś była mu zaszczytem. Ogarnąwszy z konieczności wszystkie państwa, stała się wielką wychowawczynią rodzaju ludzkiego, bo przez nią ludzie nauczyli się cnót, które są konieczne dla zakładania i utrzymywania miast, Ona to nauczyła ich cierpliwości, stanowczości, pogardy niebezpieczeństwa i dostojeństwa ofiary. W dniu, kiedyto pasterze trzód zaczęli toczyć skały olbrzymie, by z nich utworzyć wał ochronny, z poza którego bronili kobiet swych i wołów, w dniu tym powstała pierwsza organizacja społeczna i położone zostały podwaliny postępu wiedzy sztuki i techniki. Wszystkie wielkie nabytki cywilizacji, jakie dziś posiadamy, więc ojczyzna, miasto, owa dostojna rzecz, którą Rzymianie stawiali powyż bogów i kochali nierównie więcej od nich...urbs, Wszystko to są dary wojny.

Pierwsze miasto, była to przestrzeń, otoczona obronnym murem i w tej oto twardej kolebce, zlewanej obficie krwią, wypielęgowane zostały wzniosłe prawa, piękne i użyteczne rzemiosła, wiedza i mądrość. Dlatego Bóg prawdziwy chce, by go zwano Panem Zastępów.

Nie mówię ci drogi synu tego Wszystkiego, poto byś udał się prosto do onego sierżanta Werbunkowego, podpisał deklarację wstąpienia do armji, oraz nabrał ochoty zostania bohaterem przy

pomocy sześćdziesięciu przeciętnie kijów, odbieranych regularnie codziennie.

Wojna czasów naszych przestała być tem co ją czyniło wielką i jest jeno chorobą odziedziczoną nawrotem zbrodniczym ku życiu dzikiemu, karygodnem głupstwem. Książęta współcześni, a zwłaszcza zmarły król cieszyć się będą po wszystkie wieki wielką, pełną sławy hańbą, że uczynili z wojny igraszkę i zabawkę dworu. Smutno mi, iż nie zobaczymy końca owych strasznych rzezi masowych.

Jeśli idzie o przyszłość, ową niezbadaną przyszłość, to nie dziw się, iż patrzę na nią przez pryzmat przyrodzonej łagodności własnej, oraz sądzę ją miarą sprawiedliwości. Przyszłość, to teren podatny marzeniom, jest to utopijna kraina, w której mędrzec lubi wznosić gmachy wspaniałe. Wierzę, iż ludy będą uprawiać W przyszłości jeno dzieła pokoju, a zwiastunem tego ogólnego uśmierzenia Wojen w wiekach następnych są mi Wzrastające coraz to bardziej zbrojenia. Armie zwiększają się nieustannie liczebnie i rośnie ich potęga. Niedaleki czas, kiedy całe ludy rzucone zostaną w paszczę tego molocha, a wówczas potwór zdechnie z przejedzenia, pęknie, utywszy nad miarę.

### ROZDZIAŁ XIII

#### AKADEMJA

Dowiedzieliśmy się pewnego dnia, iż biskup z Séezu został członkiem Akademji Francuskiej. Wygłosił on przed dwudziestu laty panegiryk ku czci św. Maclou uznany za rzecz bardzo dobrą i wierzę, iż posiadał piękne ustępy, gdyż drogi mistrz mój ks. Coignard przyłożył się jego skomponowania, zanim opuścił pałac biskupi wraz z pokojówką pani de Baillive. Biskup seezański wywodził się z wielkiego normandzkiego rodu. Pobożność jego, piwnica i stajnia sławioną była w całym kraju, własny zaś siostrzeniec jego miał duży wpływ na mianowanie członków. Nominacja jego nie zdziwiła tedy nikogo, a nawet znalazła poklask ogółu, z wyjątkiem, oczywiście poetów z café Procope, niezadowolonych nigdy z niczego. Wiadomo jednak, że jest to fronda najgorszego gatunku.

Drogi mój mistrz przyganiał im to zachowanie w zwykły swój, łagodny sposób.

- Czemuż to czuje się niezadowolonym pan. Duclas? - pytał - Wszakże jest od wczora. równym biskupowi seezańskiemu, posiadającemu najliczniejszych duchownych i najobfitszą psiarnię w całym królestwie! Wszyscy akademicy są sobie równi wedle brzmienia statutu.\*

Była to coprawda jeno równość maszkaradycy popijawy, wraz z końcem owej zabawy usta

\* St. Evremont: „Akademicy,”

Godeau:

Jak się masz Colletecie? Colletet (rzuca się na kolana):

Wielki biskup z Orassu

Raczy rzec, czy mam upaść i w wielkiej pokorze Usta do święconego przyłożyć obcasu?

Godeau:

Ależ wstań, wstań kolego! Nie całuj, broń Boże! Wszakżeśmy sobie równi, synowie Apolla, Wstań mi zaraz!

Colletet:

Gdy Waszej Eminencji wola Wstaję, dzięki ci czyniąc Przedostojny Panie!

Godeau:

Statut wśród wszystkich członków uczynił zrównanie, Więc choć, gdy biskup jedzie stać ci trzeba z brzegu, Ale tum dla cię Godeau twój druch i kolega.

Ks. Coignard żył za czasów monarchji. W onych latach Akademia uczyniła równymi członków swych, choć nierówni byli wobec prawa. Została ona zniszczoną w roku, jako „ostatni przytułek arystokracji.”

jąca, a biskup siadał do pozłocistej karety, zostawiając panu Duclas zupełną swobodę brodzenia po błocie, opryskującym mu wełniane pończochy. Jeśli boli go, że nie może i pod tym względem dorównać biskupowi, to pocóż ociera się rękawem o graczy, nie mając na stawkę. Powinienby raczej wieść do beczki, jak Djogenes, albo zaszyć się, jak ja, w nędznej stancyjce przy schodach św. Innocentego. W beczce jeno i w nędznej jamie człowiek wyższym się czuć może od wielmożów świata, tam tylko jest się prawdziwym księżciem i rzeczywistym dostojnikiem. Szczęśliwy kto umiłowań swych nie zawarł w Akademji! Szczęsny, kto żyje wolny od obaw i pożądań, rozumie nicość Wszystkiego i wie, że równie marną jest rzeczą być członkiem Akademji, jak nie być nim wcale. Taki to jeno żywot cichy i skryty może być nazwany szczęśliwym, a człowiek, który go wie, zażywa prawdziwej

wolności. Kroczy ona za nim gdziekolwiek się ruszy, a wybraniec Boga święci w ciszy orgie mądrości, w których udział biorą wszystkie Muzy, uśmiechając się radośnie.

Tak mówił drogi mistrz mój, a ja podziwiałem czysty entuzjazm, brzącający w głosie jego i jarzący się w oczach. Ale popędliwość młodzieńcza zawrzała we mnie. Chciałem oświadczyć się po czyjejś stronie i ruszyć w bój za, lub przeciw Akademji.

- Księżę dobrodzieju, - spytałem, - wszakże Akademia ma obowiązek powoływać do swego grona najlepsze umysły królestwa, nie zaś biskupów wujów, tych osób, które mają wpływy?

- Rozenku, - odrzekł z gotowością ks. Coignard - biskup seezański jest pełen ogromnej surowości w swych urzędowych listach pasterskich, z rozkazach, wspaniałomyślny i rozmiłowany w płci pięknej w prywatnym życiu, prawdziwym brylantem bez okazji jako prałat, ponadto zaś jest wygłosił ów słynny panegiryk ku czci św. Maclou, którego zwłaszcza ustęp traktujący o cudownym uleczeniu zapalenia gardła króla Francji zachwycił wszystkich. Czyż więc mogła go niezamianować Akademia dlatego jeno, iż siostrzeniec jego jest człowiekiem wpływowym i uczynnym? Cnotliwa surowość owa byłaby poprostu barbarzyńską karą dla biskupa, za to tylko iż pan de

Séze posiada znakomitych ludzi w rodzie. Akademia udawa, że ich nie dostrzega i postąpiła naprawdę wspaniałomyślnie.

Ogarnięty żarem młodości, ośmieliłem się na przemowę tę odpowiedzieć jak następuje:

- Przebacz mistrzu czcigodny, ale uczucie nie pozwala mi uznać przytoczonych racji. Cały świat wie o tem, że biskup seezański zdobył wybitne stanowisko jeno przez giętkość swego charakteru i sztukę prześlizgiwania się pomiędzy stronnictwami. Umiał lawirować pomiędzy jezuitami, a jansenistami i ubarwiać nikłą ostrożność swoją pozorem miłosierdzia chrześcijańskiego. Mniema, że czyni dosyć, nie budząc niczyjzego niezadowolenia, a za cały obowiązek swój uważa powiększanie majątku. A więc nie wielkie serce jego sprawiło, iż pozyskał większość głosów znakomitych, protegowanych króla. Nie sprawiły tego również zalety umysłu. Panegiryk ów o gruczołach limfatycznych króla i św. Maclou nie on napisał, ale poprzestał jeno na odczytaniu go. Poza szablonowemi listami pasterskimi, z pod pióra jego nie wyszło dosłownie nic. Nie odznacza się też niczem innem prócz miłego obejścia i uprzejmości w wysłowieniu. Czy to są dostateczne podstawy nieśmiertelności?

Ks. Coignard nie rozgniewał się tym moim sprzeciwem i rzekł życzliwie:



- Rożenku miły! Rozumujesz z ową prostotą, w którą matka twoja wyposażyła cię razem ze życiem i widzę, że długo jeszcze zachowasz przyrodzoną niewinność swoją. Gratuluję ci szczerze. Niewinność jednak nie upoważnia Wcale do niesprawiedliwości, dość, gdy uczyni cię naiwnym. Nieśmiertelność przyznana panu de Sééz nie wymaga ni Bossueta, ni Bellezunca, nie jest bowiem wryta w sercu i pamięci ludów, ale jeno zanotowana w wielkim rejestrze, a wiesz chyba dobrze, iż z takich papierowych liści laurowych nie robi się wieńców na głowy bohaterów.

Cóż stąd wyniknąć może za nieszczęście, jeśli nawet pośród onych czterdziestu „nieśmiertelnych” przeważna liczba odznacza się raczej dobrymi manjerami, niż genjuszem? Powiesz, że przeciętność opanowała Akademię? Gdzież ona, powiedz, nie włada? Czyż mniej potężna jest w parlamencie, czy radzie koronnej, mimo, że tam nie jest dla niej miejsce właściwe. Pocóż więc stwarzać słownik wyrażzeń nieużywanych, gdy szukać w nim nawykliśmy jeno słów potocznych?

Akademicy byli powołani, jak wiesz, potoby utrwalić dobre obyczaje i pewne normy krasomówcze, by oczyścić język z Wszelakich nale

ciałości starożytnych, oraz; przymieszek gwary ludowej, w tym celu, by uniemożliwić pojawienie się drugiego Rabelaisa, czy Montaigna, zakatujących fetorem pospolitości, szorstkością, czy prowincjonalizmem. Zgromadzono przeto wykwintnisiów, znających się na gładkiej obyczajności, oraz pisarzy którzy mieli interes w zapoznaniu się z nimi. Dało to powód do obaw, by Akademia nie zreformowała w sposób tyrański języka francuskiego. Przekonano się jednak niebawem, że obawy te były płonne, bo akademicy miast narzucać nowości, poszli za panującym zwyczajem. Wbrew opozycji powiadano dalej, jak przedtem:

- Zamykam drzwi! - chociaż drzwi zamknąć nie można, ale tylko pokój.

Akademia, natknąwszy się na ów zwyczaj, nader szybko ustąpiła, zaznaczając jeno w protokole, iż wyrażenie takie jest niemal powszechnie. Było to jedyną jej akcją. Mieli tedy panowie

akademicy dość czasu na towarzyskie rozrywki i trzeba im było oczywiście kompanjonów miłych, łatwych w obejściu, wykwintnych, dowcipnych, zajmujących wybitne stanowiska i znających świat i ludzi. Wielki talent nie zawsze posiada owe zalety, a genjusz bywa najczęściej wprost dziki i nieprzystępny. Toteż Akademia doskonale obeszła się bez Dekarta i Paskala. Ale nie mogłaby się zgoła obejść bez takiego pana Godeau, lub pana Conrarta, oraz licznych członków, posiadających sąd subtelny, swobodny i wolny od

uprzedzeń. Niemylim byłby zaiste towarzyszem człowiek, mający jakąś wielką ideję, czyli t. zw. kielbie we łbie.

- Ach! - zawołałem z żalem - Nie jestże to więc boska rada nieśmiertelnych, czcigodny areopag poezji, wiedzy i piękna?

- Nie Rożenku. Jest to ciało zbiorowe, zajmujące się zajmującym zajmowaniem tem, co zajmuje jego członków, nader ugrzecznione, a przeto zażywające niezwyklej estymy u ludów, daleko zamieszkałych albo w ten, czy w inny sposób dzikich. Pojęcia nie masz mój chłopcze, jaki podziw Wzbudza Akademia Francuska w baronach niemieckich, pułkownikach wojsk rosyjskich i mylordach angielskich. Ci Europejczycy cenią jeno naszą Akademię i nasze baletnice. Poznałem raz.

przypadkowo pewną księżniczkę... macedońską powiedzmy, i to wielkiej piękności, która przejeżdżając przez Paryż, rozbijała się na gwałt za byłejakim członkiem Akademii w tym celu, by bez względu na jego wiek i warunki złożyć mu w ofierze swą cześć dziewiczą.

- Jeśli nawet tak jest, - zauważyłem - to nie pojmuję jak mogą panowie akademicy kompromitować swą dobrą sławę wyborem tego rodzaju, jak ostatni?

- Hola Rożenku! - zawołał drogi mój mistrz - Nie krytykujmy wyboru, nie mówmy źle o głosujących. Przedewszystkiem i tu, jak we wszystkich sprawach ludzkich należy przyznać szerokie pole działania przypadkowi, który ujmując rzecz głębiej jest symptomem działania Boga na ziemi, jedynym poznawalnym sposobem manifestowania się jasno Opatrzności boskiej pośród nas. Pewnie wiesz mój chłopcze, że wszystko, co ludzie pływają ironją losu, czy kaprysem szczęścia nazywają jest jeno odwetem mądrości bożej, która drwi sobie w ten sposób z orzeczeń i prognostyków fałszywych mędrców.

Powtóre każdemu zgromadzeniu ludzi przyznać trzeba pewną swobodę wyładowania swych urojeń, chimer, czy fantazji. Zespół ludzi zupełnie rozsądnych, byłabyto rzecz wprost nie do

zniesienia, a wszyscy razem i każdy z osobna zmieniliby się w sopel lodu sprawiedliwości. Zgromadzenie takie nie mogłoby się uważać za potężne, ani nawet obdarzone wolną wolą, gdyby od czasu do czasu nie zaznało nieźrównanej rokoszy obrażania opinii publicznej i rozsądku zapomocą jakiegoś głupstwa. Jestto grzech ulubiony wszelkich potęg tego świata i każda pozwala sobie na takie dziwaczne idjotyzmy. Dlaczegożby Akademia nie miała tak zwanego fijoła, skoro Porta Otomańska ma księżyc w herbie, a piękna kobieta domaga się potrawki z Lewjatana i ptasiego mleka?

Wiele sprzecznych tendencji i kaprysów łączy się w splot, dający w rezultacie fatalny wybór, który doprowadza do zielonej pasji dusze prostaczków. Jest to wielka uciecha dla tych wykwintnych żartownisiów porwać nieszczęśliwego, Bogu ducha winnego człeka i zrobić zeń akademika. W podobny sposób czyni Bóg Wedle słów psalmisty, wywyższając biedaka, który żył dotąd w kurnej chacie. Erigens de stercore pauperem ut collocet eum cum principibus populi sui. Takie zdarzenia wprawiają narody w wielkie zdumienie, a ci, którzy są ich sprawcami, mają wrażenie, iż są obdarzeni potęgą tajemniczą i straszną.

Jakaż to zresztą radość wyciągnąć takiego nieboraka z barłogu ducha, jednocześnie usuwając

w cień któregoś z despotów wiedzy i rozumu! Jest to coś jakby wychylenie jednym haustem cudownej, niebiańskiej mieszaniny zaspokojonego miłosierdzia i nasyconej zawiści. Jest to rokosz dla wszystkich zmysłów i zadowolenie wszystkich ludzi. Drogi Rożenku, czy sądzisz, że akademicy są nikczemnymi abstynentami, by mogli wyrzec się tak ponętnego napitku?

Zważyć jeszcze należy, że stwarzając sobie ową uczoną rokosz, akademicy idą po linii dobrze zrozumianych interesów własnych. Zespół samych jeno wielkich ludzi wybranych ekskluzywnie byłby nieliczny, a przeto smutny. Przytem wielcy ludzie nie mogą się znosić wzajemnie i nie znają się na dowcipie, ni żartach, przeto koniecznem jest pomieszać ich z małymi. To ich bawi ogromnie i nawet cieszy. Mali odnoszą korzyści z kolegowania z wielkimi, a wielcy zyskują na porównaniu, przeto urządzenie tego rodzaju jest prawdziwem dobrodziejstwem dla jednych i drugich. Podziwiać należy ów genialny sposób, w jaki Akademia Francuska udziela jednym ze swych członków genjuszu, wziętego od drugich, którzy go mają zanadto i w ten sposób stwarza firmament gwieździsty, gdzie każde słońce i planeta świeci własną, lub odbitą światłością.

Powiem więcej jeszcze. Zły wybór jest to rzecz wprost niezbędna dla samego istnienia tego rodzaju zgromadzenia. Gdyby nie czyniło ono kroków fałszywych i nie przejawiało słabości, czyniąc głupstwa, biorąc czasem pierwszego lepszego autora panegiryku na cześć obrzęku gardła, to zostałyby do tego stopnia znienawidzone, że istniećby nie mogło. Byłby to w naszej republice piękna i wiedzy rodzaj trybunału sądowego pośród skazańców. Będąc nieomylnem, zgromadzenie to stałoby się strasznem i ohydny. Cóż za wstyd dla niewybranych, gdyby każdy wybrany był zawsze najlepszym?

Córka Richelieugo musi się potrochu puszczać, dla pokazania, że nie jest zbyt dumna i zarozumiała. Kaprysy i słabostki ratują honor Akademji, czyn niewłaściwy stwierdza jej niewinność, a gdy wiemy, że ma swoje chimery, nie czujemy się dotknięci, gdy kogoś odrzuci. Omyłki są dla niej tak korzystne, że nasuwa mi się przypuszczenie, iż Akademia czyni to z rozmysłem, mając się tej właśnie genialnej metody oszczędzania miłości własnej kandydatów niedopuszczonych do swego grona. Wybory tego rodzaju rozbrajają zawistnych i właśnie w pozornych błędach podziwiać musimy realną i rzeczywistą mądrość Akademji.

#### ROZDZIAŁ XIV

#### BUNTOWNICY

Pewnego dnia udałem się z drogim mistrzem moim, jak zazwyczaj, w odwiedzinach do księgarni „pod Obrazem św. Katarzyny” i zastaliśmy tam słynnego pana Rockstronga. Siedział na samym szczycie drabiny i szperał w książkach z zaciekawieniem niemałym. Wiadomo, iż zgoła nie martwi go burzliwy żywot, jaki wieść musi, że gromadzi cenne książki i piękne rysunki.

Skazany na dożywotne więzienie wyrokiem parlamentu angielskiego za udział w zamachu w Montmouth, uciekł do Francji i żyje tutaj, posyłając do pism angielskich rozliczne artykuły.

Drogi mistrz mój usiadł swoim zwyczajem w fotelu, a potem powiedział, wznosząc oczy pod powalę, gdzie pan Rockstrong skakał i fertał się niby wiewiórka z żywością nieprawdopodobną W jego wieku:

- Panie buntowniku! Widzę żeś dzięki Bogu zdrów i młody, jak zawsze.

Pan Rockstrong zwrócił na mistrza palające oczy swe, utkwione w bladej twarzy i rzekł:

- Opasły klecho, czemuż to zwiesz mnie buntownikiem?

- Zwę cię buntownikiem, chudy panie Rocki strongu, albowiem wyróciłeś koziołka i zrobiłeś, kłapę. Ci, którym się udaje przedsięwzięcie, nie są nigdy buntownikami.

- Księżę, cynizm pański napelnia mnie obrzydzeniem!

- Za pozwoleniem! - zawołał mistrz - Maksyma owa nie wyszła z mojej głowy panie Rockstrong. Wyrzekł ją człowiek wielki, znalazłem te słowa w pismach Juljusza Cezara Skaligera.

- To mnie wcale nie wzrusza księżę! Pisma owe nic widać nie warte, a samo wyrażenie jest haniebne. Niepowodzenie przypisać musimy jeno chwiejności przywódcy,

który zapłacił za to głową. Ale sprawa nasza nie przestała być przezto słuszną i sprawiedliwą. Ludzie uczciwi pozostają takimiż, choćby ulegli przemocy łotrów!

- Panie Rockstrong, nie mówże pan, na miłość boską, o ludziach uczciwych i łotrach, gdy idzie o politykę. Te proste pojęcia mogły starczyć dla oznaczenia zwolenników dobra i zła w czasach dawnych, kiedyto walczyli ze sobą aniołowie

W niebie, przed stworzeniem świata. Pisał o tem rodak pański Milton, a dzieło jego zaleca się genialnością i odstrasza barbarzyństwem. Ale na tym naszym ziemskim globie obozy nie są nigdy rozdzielone tak dokładnie, by można rozróżnić bez przesądu, czy kurtoazji zastępy błogosławionych od hordy potępieńców, a nawet powiedzieć, która strona ma słusność, a która jej nie posiada. Toteż jedynie powodzenie rozstrzyga o słusności danej sprawy. Gniewasz się pan, słysząc, że zwę cię rebelizantem, ponieważ zostałeś pokonany, a jednak gdyby powiodło się Wam pochwycić władzę, zwalczalibyście sami rebelję.

- Księżu, nie wiesz sam co mówisz. Zawsze stawałem po stronie zwyciężonych!

- To prawda, panie Rockstrong! Jesteś z natury wrogiem państwa i stale je zwalczasz. Tę zatwardziałość serca powiększa jeszcze pański wybitny talent, tak że lubujesz się w ruinach i igraszką ci jest niweczenie wszystkiego.

- Uważasz to ksiądz za zbrodnię?

- Panie Rocksijong, gdybym był przyjacielem króla i mężem Stanu na podobieństwo pana Roman, uznałbym cię za dostojnego zbrodniarza i osadził dożywotnio w honorowym kryminale, zapewniając Wszelkie przyjemności życia. Niestety, nie jestem tak gorącym Wyznawcą religii

politycznego ładu, bym odczuwał święte oburzenie Wobec pańskich fortelów i zamachów, które sprawiają więcej hałasu, niż zła.

- Księżu, jesteś pozbawiony zmysłu moralnego.

- Nie bierz mi pan tego za złe! Drogi panie, wierzaj mi, że tylko tą ceną można okupić cnotę pobłażliwości.

- Cóż mi z twej pobłażliwości człowieka, pozbawiony reszty cnót, skoro otaczasz nią zarówno mnie, będącego ofiarą, jak i zbrodniczy parlament, który mnie skazał w sposób tak niesprawiedliwy i haniebny?

- Zabawny jesteś panie Rockstrong, mówiąc o niesprawiedliwości lordów.

- Czyż nie woła o pomstę?

- Prawdą jest, że wyrok na ciebie zapadł na skutek dziecinnie śmiesznego śledztwa lorda kanclerza, a to z powodu pewnej liczby paszkwilów, z których żaden z osobna nie przekracza zasadniczych ustaw państwa angielskiego. Prawdą jest, że W kraju, gdzie wolno pisać wszystko, ukarany zostałeś za kilka ulotnych pisemek, przysolonych w sposób nader smaczny. Prawdą jest również, że wyrok zapadł w formie niezwyklej i nie widzianej dotąd, której majestatyczna obłuda nie mogła ukryć tego faktu, iż na drodze innej,

legalnej nie mógłbyś być dosiężony ramieniem władzy. Prawdą jest również, że sądzący pana mylordowie mieli wielki interes w tem, by cię zgubić, a to z tej prostej przyczyny, że powodzenie zamachu w Montmouth musiałyby nieuchronnie postrzącać ich ze złoconych, miękkich foteli. Nie ulega też kwestji, iż zguba pańska postanowiona była z góry na radzie koronnej. Ucieczka uchroniła pana od męczeństwa niezbyt sławnego, coprawda, ale bolesnego bardzo, bowiem dożywotnie więzienie jest to rzecz niemiła wówczas, nawet gdy ludzimy się nadzieją wydostania się na świat.

Ale drogi panie, w tem wszystkim niema ani niesprawiedliwości, ani też sprawiedliwości. Skazano pana przez wzgląd na rację Stanu, która to racja jest niezmiernie honorowa. Zważ pan, pośród lordów, którzy cię potępili, było kilku podobnych panu spiskowców z przed lat dwudziestu. Zbrodni się dopuściłeś, napędzając strachu ludziom na czele państwa stojącym, a tej zbrodni, przebaczyć nie sposób! Ministrowie i przyjaciele ich powołują się zawsze na dobro państwa, ilekroć niebezpieczeństwo zagraża ich majątkom, czy stanowisku, a przekonani są o swej niezbędności osobistej dla istnienia tegoż państwa, gdyż są to przeważnie ludzie praktyczni i pozbawieni wykształcenia filozoficznego. Mimoto nie można ich

zwać łajdakami. Są to ludzie i miano to starczy dla wytłumaczenia nikczemnej przeciętności, głupoty i zachłanności, której się pan dziwisz bez żadnej racji.

Kogóż to im przeciwstawić chciałeś, drogi panie Rockstrong? Innych ludzi, równie przeciętnych, a pewnie jeszcze chciwszych, bowiem bardziej wyposzczonych. Lud Londynu zgodziłby się na tę zamianę i znosiłby nowych władców, jak znosił dawnych. Czekał jeno zwycięstwa pańskiego, lub klęski, by się oświadczyć po stronie wygrywających i okazał przezto wielką mądrość. Lud czuje doskonale co ma czynić, zwłaszcza gdy na zmianie władzy nie może nic zyskać ni stracić.

Tak mówił drogi mistrz mój, a pan Rockstrong poczerwieniał, peruka przekrzywiła mu się na głowie, oczy miały gromy. Wymachując rękami, wrzeszczał z wysokości drabiny:

- Księżę, rozumiem wszelkiego rodzaju złodziei, rozumiem szubrawców urzędu kanclerskiego i parlamentu, ale nie rozumiem pana. Bez żadnego interesu, z czystej jeno przewrotności podtrzymujesz tezę, którą tamci stosują dla własnych korzyści. Jesteś tedy od nich gorszy, przewrotniejszy i nikczemniejszy, a pańska bezinteresowność czyni twe zachowanie poprostu ohydny Pogardzam tobą księżę!

- To świadczy, iż jestem prawdziwym filozofem! - odparł słodkim głosem drogi mistrz mój - Mędrzec z natury rzeczy musi budzić niezadowolenie reszty ludzi. Anaksagoras jest wymownym przykładem prawdziwości mego twierdzenia. Nie wspomnę o Sokratesie, gdyż był to jeno prosty sofista. We wszystkich wiekach, jak to widzimy, dusze oddane rozmyślaniom, stawały się powodem oburzenia i wywoływały skandale. Panie Rockstrong, wydaje się panu niezawodnie, że różnisz się bardzo od wrogów swoich i że jesteś o tyle miły i pociągający, o ile oni są Wstrętni. Pozwól sobie powiedzieć, iż jest to jeno złudzenie i wynik pańskiej zarozumiałości i nieustraszonego męstwa. W rzeczywistości masz Wspólne z tymi, którzy cię skazali, słabostki i namiętności ludzkie. Coprawda jesteś uczciwszy od wielu z nich i prześcigasz ich o wiele bystrością umysłu, natomiast natura wyposażyła pana genjuszem niezgody i nienawiści, które to zalety czynią cię niemożliwym W każdym, na zasadach ładu i prawa zorganizowanym państwie. Zawód gazeciarza, w którym celujesz, wydoskonalił do najwyższego stopnia przedziwną stronniczość i zaślepienie pańskiego ntelektu, tak, że nawet będąc ofiarą, nie stałeś się sprawiedliwym. To co mówię poróżni mnie niezawodnie na zawsze z panem, a zarazem także

z pańskimi wrogami i najmocniej przekonany jestem, iż do śmierci nie otrzymam od ministra tłustej prebendy. Ale wolność myśli stawiam ponad najmańsze probostwo i najlepiej w wino, uposażone opactwo. Oburzę na siebie cały świat, ale doprowadziwszy ludzi do wściekłości udelektuję serce swoje i umrę, wśród wrzasków spokojnie.

- Księżę! - zawołał pan Rockstrong - Przebaczam ci, albowiem masz potrochu bzika. Nie czynisz różnicy pomiędzy ludźmi uczciwymi, a łotrami i nie stawiasz państwa wolnego ponad rządy ciemieżców i despotów. Lunatyk z pana przedziwny i niewidziany dotąd na kuli ziemskiej.

- Panie Rockstrong! - oświadczył mój drogi mistrz - Chodźmy na wino „pod Małego Bachusa”, a wyjaśnię panu przy szklance, dlaczego jest mizgoła obojętną forma rządu i dlaczego nie pragnę zmieniać oprawców.

- Zgoda! - zawołał pan Rockstrong - Bardzo chętnie popiję z tak przewrotnym rezonerem i nabożnym oczajduszą!

Zeskoczył jednym susem z drabiny i udaliśmy się we trzech do szynku.

## ROZDZIAŁ XV

### ZAMACH STANU

Pan Rockstrong posiadający umysł głęboki, nie żywił urazy do mego mistrza za jego, pełne szczerości słowa. Gdy nam gospodarz przyniósł dzban wina, znakomity paszkwilista Wzniósł puchar na cześć księdza Coignarda, zwąc go przyjacielem bandytów, posiepakiem tyranji, oraz kanalją w sutannie, a toast swój wypowiedział tonem serdecznym, w słowach pełnych jowialności. Mistrz nie pozostał dłużnym i z uprzejmością wielką wniósł zdrowie, dając wyraz podziwu dla umysłu człowieka jak pan Rockstrong, którego nie zdołało przeniknąć do tej pory światło prawdziwego poznania i filozofji.

- Wiem dobrze - ciągnął dalej, że umysł mój przeżarła zupełnie refleksja. Ponieważ zaś ale leży w naturze człowieka skłonność do zagłębiania się w rozmyślanie, przeto przyznaję, iż owo upodobanie moje jestto manja dziwaczna i zgoła nieznośna. Czyni mnie ona całkiem niezdolnym do jakiegokolwiek czynu, albowiem działać można jeno na krótką metę i po linii prostych koncepcji.

Zdumiałbyś się pan, drogi Rockstrongu, gdybyś wiedział, jak biedny i prostacki był umysł wszystkich onych genjuszów czynu, którzy przewrócili świat do góry nogami. Zdobywcy i mężowie Stanu, którzy zmienili lice świata, nie zastanawiali się nigdy nad właściwą istotą ludzi, których losami kierowali wedle upodobania i bez wszelkich ceremonji. Poprzestawali na doraźnych drobnostkach swych wielkich planów, a najmędrsi nawet ogarniali spojrzeniem niewielką jeno ilość faktów naraz.

Spójrz na mnie panie Rockstrong i powiedz, czy byłbym zdolnym jąć się dzieła podboju Indji wzorem Aleksandra, lub położenia podwalin państwa, czy wreszcie, mówiąc ogólnie, nadaję się do wykonania któregoś z owych szeroko zakreślonych planów, kuszących dumną duszę człowieka czynu. W pierwszych zaraz zaczątkach, na pierwszym kroku, refleksja spętałaby mi nogi, bo nieustannie dostrzegałbym powody i racje zatrzymania się w miejscu.

Zwrócił się do mnie, westchnął i powiedział:



- Myśl, to wielkie kalectwo. Niech cię Bóg drogi Rożenku ustrzeże od myślenia, jak ustrzegł od tego nieszczęścia największych świętych swoich, oraz dusze tych, których przeznaczył do chwały

niebieskiej, miłując ich ponad wszystko. Ludzie myślący nie wiele, lub nie myślący wcale, dokonywują na tej ziemi szczęśliwie wszystkiego i osiągną szczęśliwość wiekiustą, gdy tymczasem umysłem kontemplacyjnym zagraża ustawicznie zatrata w doczesności i poza grobem. Taki to jad straszny mieści się w myśleniu. Zważ dobrze a przejmie cię strach. Zważ Rożenku, iż wąż z Genezy był pierwszym, najstarszym filozofem i do dziś pozostał królem naszym i panem.

Ks. Coignard pociągnął duży haust wina i podjął cichym głosem:

- Na szczęście dla sprawy zbawienia mego istnieje jedna przynajmniej kwestja, na której nie ćwiczyłem nigdy mej inteligencji. Nie stosowałem rozumowania do prawd i dogmatów świętej wiary naszej. Nieszczęściem jednak roztrząsałem czyny ludzkie, zastanawiałem nad ich obyczajami, oraz organizacją państw i miast, a przeto nie zostanę nigdy uznany za godnego władania wyspą, jak Sanszo Panza.

- Bardzo się dobrze stało! - powiedział pan Rockstrong ze śmiechem - Wyspa pańska stałaby się jaskinią bandytów i wisielców, gdzie zbrodniarze ferowaliby wyroki na niewinnych, o ileby się tam wogóle zaplątał który.

- Być może, panie Rockstrong, być może! - zgodził się ks. Coignard - Nie wątpię nawet, że gdybym był gubernatorem drugiej jakiejś Baratarji, to obyczaje w mem państwie byłyby mniejwięcej takie, jak pan określił. W kilku słowach scharakteryzowałeś pan wszystkie państwa świata i przypuszczam, że moje byłoby im wielce podobne. Nie łudzę się wcale odnośnie do ludzi i nie chcąc ich nienawidzić, staram się zmusić do samej jeno pogardy. Panie Rockstrong, pogarda moja pełna jest życzliwości, czułości nawet, a mimo to nie czują, się oni jakoś wcale do wdzięczności obowiązani. Chcą nienawiści. Złoszczą się, gdy spostrzegają owo uczucie najśłodsze, najpobłażliwsze, najlitośniejsze, najbardziej urocze i najbardziej ludzkie z wszystkich, to jest pogardę.

A przecież pogarda wzajemna to podwalina pokoju na ziemi i gdyby ludzie pogardzali sobą szczerze, z całego serca, wówczas nie czyniliby sobie wzajem krzywd i żyliby w miłym spokoju. Wszystko zło w społeczeństwach cywilizowanych bierze swój początek w ogromnym szacunku wzajemnym ludzi dla siebie i tu również mieści się geneza honoru,

owego poczwarnego bożka, królującego nad padołem nędzy ciała i duszy. To uczucie właśnie czyni ludzi pysznymi i okrutnymi, dlatego niecierpię pychy, nakazującej cześć dla siebie

i narzucającej cześć dla bliźnich, bez względu na oczywisty fakt, że nikt z potomków Adama nie jest godnym czci.

Zwierzę ludzkie, które je, pije (nalejcież mi wina!) i uprawia miłość (gdzież się podziała Kasia?) zasługuje jeno na politowanie i może być ciekawe a w wyjątkowych wypadkach nawet miłe. Ale cześć mu się żadna nie należy i honor jest to przesąd najgłupszy i najokrutniejszy z wszystkich zabobonów. Tu mieści się właśnie źródło wszystkiego zła jakie znosić musimy. Jest to najszkaradniejsza forma bałwochwalstwa, toteż chcąc ludziom stworzyć egzystencję trochę bodaj znośniejszą, przedewszystkiem należałoby nawrócić ich na drogę pierwotnej skromności. Staną się nierównie szczęśliwsi, gdy przepoją się na nowo uczuciami zgodnemi ze stanowiskiem swem na ziemi i zaczną pogardzać sobą wzajem, nie wyłączając samych siebie z zakresu onej doskonałej, konsekwentnej i bogobojnej pogardy.

Pan Rockstrong wzruszył ramionami. - Mój gruby księżuniu, - powiedział - jesteś skończona świnia!

- Pochlebiasz mi drogi buntowniku, - odrzekł mistrz - jestem jeno człowiekiem i wyczuwam w sobie zaródź owej pychy, której nienawidzę i onej wyniosłości, pędzącej rodzaj ludzki

w pojedynki i wojny. Zdarzają się chwile panie Rockstrong, w których dałbym szyję za swe poglądy, co jest przecież wielkiem szaleństwem. Czyż bowiem zdołam udowodnić, że rozumię lepiej od pana, który nie władasz zgoła rozumem? Nalejcież mi u licha wina!

Pan Rockstrong z całą gotowością napełnił szklankę mego drogiego mistrza.

- Księżuniu, - powiedział - jesteś skończonym warjatem - ale lubię cię i radbym wiedzieć co uważasz za złe w mej polityce, oraz dlaczego stajesz przeciw mnie po stronie tyranów, fałszerzy, złodziei i niegodnych, szalbierczych sędziów.

- Drągi panie Rockstrong, - odparł mistrz - pozwól przedewszystkiem, że ogarnę nasam przód ciebie, twych stronników i wrogów z równą, obojętną i łagodną pobłażliwością owem, wzmiankowanem powyż uczuciem, które kładzie tamę wszelkim sporom, uśmierza wybujałość temperamentu i daje pokój zupełny. Przebacz, iż że nie czczę dostatecznie pierwszych, ni drugich, by wzywać ku ich obronie ramienia sprawiedliwości, lub też ściągać na ich głowy męki i kary. Ludzie, cokolwiekby czynili, są zawsze zupełnie niewinni i

pozwalam lordowi kanclerzowi z zupełną swobodą wygłaszać swe, wzorowane na Cyceronie de

klamacje na temat zbrodni przeciw całości państwa. Nie lubią osobistości katylinarnych ni po jednej, ni drugiej stronie. Przykro mi tylko gdy widzę, iż człowiek pańskiej miary zajmuje się kwestją zmiany formy rządów.

Jest to zajęcie najbłachsze i najbeznadziejniejsze, jakim można nękać swe władze umysłowe, a zwalczanie kierowników rządu jest jeno wówczas rzeczą na serjo, jeśli daje chleb albo stanowisko w świecie. Proszę o wino! Zważ pan, drogi Rockstronżku, że owe nagłe zmiany w państwie, jakie ci się marzą, są to jeno zmiany osób, zaś ludzie jako masa, nie różnią się niczem zgoła. Równie przeciętni są w dobrem, czy złem, toteż jeśli obalisz i zastąpisz innymi ministrów, gubernatorów prowincji, prezydentów izb kryminalnych, generałów itd. to nie uczynisz nic innego jak to, że wypędzisz Filipa i Barnabę, a posadzisz na ich miejscu Pawła i Ksawera.

Powiadasz pan, że chcesz równocześnie zmienić Warunki bytu ogółu obywateli, taką masz przynajmniej nadzieję. Otóż nadzieja owa złudną jest i bezpodstawną, bowiem Warunki bytu nie zależą wcale od ministrów, nic nieznaczących figur, jeno od ziemi i jej wydajności, od produktów roli, przemysłu, handlu, od sumy bogactw nagromadzonych w państwie, od uzdolnienia oby

wateli w obrotach finansowych i ich przedsiębiorczości, a wszystko to są rzeczy, złe czy dobre mniejsza z tem, ale zgoła niezależne od panującego, ani urzędników korony.

Pan Rockstrong przerwał nagle.

- To zaślepienie! - zawołał - Tłusty epikurejczyku, każdy wie przecież, że stan przemysłu i handlu w ogromnej mierze zawisł od rządu i że dobra polityka finansowa możliwa jest jeno w państwie wolnem i demokratycznym!

- Wolność, - odrzekł ks. Coignard - jest to wynik bogactwa ludu, który ją zdobywa skoro stanie się dość potężnym by sięgnąć po ową wolność. Ludy zdobywają tyle wolności ile im potrzeba, czyli, mówiąc ściślej, domagają się z całym naciskiem instytucji uznających i gwarantujących prawa, jakie zdobyły na drodze przemysłu.

Cała Wolność powstaje z ludu i z jego zachowania się wynika. Najbardziej instynktowny odruch rozszerza gmach państwa, które kształtuje się wedle owego rozprężania się wewnętrznego.

Toteż można powiedzieć, że, jakkolwiekby odpychającą była tyranja, wszystkie tyranje są konieczne, a rząd despotyczny jest to jeno ciasna powłoka ciała wątłego i nieruchawego. Widzimy stąd, iż zewnętrznie rządy przypominają skórę ujawniającą, jaką jest budowa fizyczna zwierzęcia, żadną jednak miarą nie są przyczyną tejże budowy, jak nie jest nią skóra.

Poprzestajesz na samej skórze zacny panie Rockstrong, nie interesując się trzewiami i świadczy to braku uzdolnienia do filozoficznego myślenia.

- Nie czynisz tedy ksiądz żadnej różnicy pomiędzy państwem wolnem, a rządem tyranów, a wszystko jeno dla tego, by się delectować po

równaniami? - zawołał Rockstrong - Nie zwracasz nawet uwagi na to, że wydatki króla oraz zdzierstwo i łupienie kraju przez ministrów mogą przy znacznem napięciu swem zniszczyć zupełnie rolnictwo i zatamować wytwórczość przemysłową?

- Panie Rockstrong! - odparł - W jednym i tym samym wieku i jednym kraju możliwa jest jeno jedna forma rządu, podobnie jak jedno zwierzę może mieć tylko jedną skórę i sierć odrazu. Trzeba tedy pozostawić czasowi, który jest istotą bardzo rozumną, jak to ktoś powiedział, cały trud zmieniania form rządu i przeistaczania praw i instytucji. Pracuje on powoli, ale z niestrudzoną cierpliwą wytrwałością.

- Nie sądzisz drogi tłścioszku - spytał pan Rockstrong - że należałoby pomóc owemu staruszkowi, który figuruje na zegarach z kosą w ręku? Mniemasz, że rewolucja angielska i holenderska nie oddziaływała wcale na stosunek ludu do władz? Nie? Jesteś stary cymbał i zasługujesz, by ci nałożyć kaftan warjata!

- Rewolucje - odrzekł z zupełnym spokojem drogi mistrz mój - mają jeno na celu zabezpieczenie dóbr uzyskanych, a nie zdobycie nowych korzyści. Szaleństwem narodów i pańskim zarazem, panie Rockstrong, jest budowanie górno

lotnych nadziei na upadku królów. Ludy, rewoltując się od czasu do czasu, chcą obronić swe zagrożone swobody, lecz na tej drodze nie uzyskują nigdy swobód nowych. Ale płacą drogo za hasła, za słowa. Należy zwrócić uwagę na to, panie Rockstrong, że ludzie bardzo chętnie dają się zabijać za słowa, zgoła sensu pozbawione. Doszedł do tego przekonania sam nawet starożytny Ajaks, któremu poeta wkłada w usta takie powiedzenie:

- W młodości sądziłem, że czyn większą moc od słów posiada, teraz jednak widzę, że słowo silniejszym jest od czynu. - Tak rzekł Ajaks, syn Oiledesa, ja zaś, panie Rockstrong, napiłbym się jeszcze chętnie wina!

## ROZDZIAŁ XVI

### HISTORJA

Pan Roman położył na ladzie księgarni pół tuzina tomów i powiedział:

- Proszę bardzo, panie Blaizot, każ mi odnieść do domu te książki: Jest tu „Matko i synowie”, „Pamiętniki dworskie” i „Testament Richelieugo”. Proszę także dołączyć, o ile pan ma nowe dzieła z zakresu historii, w szczególności, dotyczące Francji od czasu śmierci Henryka IV. Rzeczy te ciekawią mnie bardzo.

- Zupełna racja! - przyświadczył mój drogi mistrz - W książkach historycznych znaleźć można mnóstwo drobiazgów i anegdot, mogących być miłą rozrywką dla człowieka rozsądnego, a zarazem pouczyć go wielu rzeczy odnośnie do natury człowieka.

- Szanowny księżu, - odparł pan Roman - nie szukam u historyków błachej rozrywki, ale poważnej wiedzy i martwi mnie bardzo to, że często prawda pomieszana bywa tam ze zmyśleniem. Studjuję czyny ludzkie w celu odkrycia

praw ich postępowania i doszukuję się w historii zasad rządzenia.

- Wiem o tem czcigodny panie! - powiedział drogi mistrz mój - Pański traktat o „Monarchji” jest tak znany, iż tajną mi być nie może pańska zasada polityczna, oparta na historii.

- A więc księżu wiadomo, że to ja pierwszy ułożyłem dla władców i ministrów reguły, od których zboczyć bez narażenia się na niebezpieczeństwo nie mogą?

- Widziałem na tytułowej karcie dzieła, pańską postać w przystroju Minerwy. Stoisz pan w pięknym gabinecie, ozdobionym posągami i obrazami i ukazujesz młodzieńczemu władcy lustro, które podaje muza Clio, unosząca się ponad pańską głową.

Racz mi pan przebaczyć, ale muszę wyznać, że muza owa kłamie i podaje ci lustro pokazujące fałszywie. Mało prawdy zawiera historia i wierzymy tylko tym faktom, które czerpiemy z jednego, jedyne źródła. Ile razy spotykamy większą ilość źródeł, spostrzegamy, że historycy notują fakty zgoła sprzeczne ze sobą, i objaw ten jest stały. To nic jeszcze! Widzimy, że Józef Flawjusz, traktując tensam temat w swych „Starożytnościach” i „Wojnie Żydowskiej” przytacza fakty zupełnie inaczej w każdym dziele. Tytus

Liwjusz jest tylko zbieraczem baśni, zaś wyrocznia, pańska, Tacyt robi na mnie wrażenie kłamcy skrytego i obłudnego, który łączy z poważną miną, a potem śmieje się w kółka. Cenię dosyć Tucydidesa, Polibjusza i Guichardina. Nasz Mezeray sam niewie co gada,

podobnie jak Villaret i ksiądz Vely. Ale basta, czynię zarzuty historykom, gdy tymczasem należy oskarżać samą historję.

Czemże jest historja? Zbiorem powiastek z sensem moralnym na końcu, lub też krasomówczą mieszaniną opowiadań i przemówień, zależnie od tego czy historyk jest filozofem, czy retorem. Można tam odnaleźć piękne ustępy z zakresu elokwencji, ale prawdy szukać nawet nie warto. Prawda polega na ustaleniu przyczynowego związku faktów, a historyk nie jest w możności ustalić go, albowiem nie dostrzega całego łańcuchowania przyczyn i skutków. Proszę, zwróć pan uwagę na to, że ile razy fakt historyczny posiada za przyczynę fakt niehistoryczny, historja nie dostrzega wcale owej przyczyny. Ponieważ zaś fakty historyczne są nierozzerwalnie związane z faktami niehistorycznymi wynika stąd, iż u historyków wydarzenia nie łańcuchują się wcale w sposób naturalny, lecz powiązane są ze sobą jeno retorskimi sztuczkami, rzucającemi się w oczy każdemu.

Musimy wziąć dalej pod rozwagę, że rozróżnienie, które fakty zaliczyć należy do historji, a których nie można jest zgoła bezzasadne i całkiem dowolne. Wynika stąd iż historja, nie zasługując zgoła na miano wiedzy z samej przyrodzonej natury swojej skazaną jest na chwiejność kłamstwa i że brak jej będzie zawsze ścisłości i ciągłości faktycznej, bez czego wyobrazić sobie nie można prawdziwej wiedzy.

Sądzę tedy, że przyzna mi pan rację jeśli powiem, iż nie można z annalów dziejów ludzkich wysnuwać prognostyków dla przyszłości. Otóż właściwością każdej wiedzy jest zdolność prorokowania, jak to widzimy w astronomicznych obliczeniach przypływów, zaćmień, czy faz księżyca i planet, które są przepowiedniami współczesnej i dawnej wiedzy, podczas gdy rewolucje i wojny wymykają się z pod rachunku.

Pan Roman oświadczył księdzu Coignardowi, że domaga się od historji jeno dat połowicznych półprawd, niejasnych i omglonych faktów, ale wszystko to mimo, iż przepełnione jest błędami, uważa za nader cenne, albowiem przedmiotem owych dociekań jest człowiek i jego ziemskie dzieje.

- Wiem dobrze - powiedział, - że roczniki człowieczego rodu są pomieszane z bajkami i fal

syfikatami. Ale mimo braku logicznego zawiązku przyczyn i skutków, odkrywam w dziejach coś w rodzaju ogólnego planu, którego ślad tracę, to znowu odnajduję, zupełnie jak podczas badania architektury starych świątyń, zagrzebanych w piaskach pustyni. Już samo to ma dla mnie wartość nieocenioną, a sądzę i spodziewam się, że historja czasów naszych i

późniejszych zbudowana na obfitszym nieskończenie materiale i traktowana metodycznie, pójdzie co do ścisłości w zawody z wiedzą przyrodniczą.

- Nie licz pan na to! - zawołał mój drogi mistrz - Tak się nie stanie. Przeciwnie, pewny jestem, że wzrastająca obfitość pamiętników, listów, aktów archiwalnych i kronik uczyni zadanie nierównie trudniejszym jeszcze, wprost niewykonalnym dla historyków przyszłości. Pan Elward, który życie swe poświęcił badaniu rewolucji angielskiej, zapewnia, że życie jednego człowieka nie starczy na przeczytanie połowy tego, co napisano w czasie zamieszek.

Przychodzi mi na myśl opowieść, zasłyszana swego czasu od księdza Blancheta. Powtórzę ją tak, jak mi utkwiała w pamięci, wyrażając żal, iż niema pośród nas ks. Blancheta, któryby ją opowiedział nierównie lepiej, gdyż posiada wielki dar krasomówczy.

Onego czasu, kiedy młody książę Zamir objął tron perski po zmarłym ojcu swoim, kazał zwołać do swego pałacu wszystkich, powiedzmy, członków Akademii swego królestwa, a gdy się zjawili, tak się do nich ozwał:

- Doktor Zeb, czcigodny nauczyciel mój, pouczył mnie, że władcy popełnialiby mniej omyłek, gdyby chcieli kierować się przykładem czasów minionych. Chcę tedy przeczytać kroniki dziejów ludzkości. Nakazuję wam napisać historję powszechną i nie zaniedbać niczego, coby się przyczynić mogło do jej zrozumienia należytego.

Uczeni przyobiecali uczynić zadość rozkazowi króla i zaraz zabrali się do pracy. Po dwudziestu latach zjawili się ponownie, za nimi szła karawana, złożona z dwunastu wielbłądów, a każdy dźwigał na grzbiecie pięćset ogromnych tomów. Sekretarz generalny Akademii padł na kolana przed władcą i tak powiedział:

- Panie! Członkowie Akademii królestwa składają u stóp tronu historję powszechną, spisana wedle rozkazu Waszej Królewskiej Mości. Składa się ona z sześciu tysięcy tomów i zawiera wszystko, co zdołaliśmy zebrać odnośnie do obyczajów różnych ludów i kolei losu, jakim podlegały różne państwa. Włączyliśmy również stare kroniki,

zachowane szczęśliwym zbiegiem okoliczności, zaopatrzywszy je obficie w objaśnienia geograficzne, chronologiczne i dyplomatyczne. Same prolegomena stanowią ładunek jednego wielbłąda, a paralipomena dźwiga z wielkim wysiłkiem wielbłąd drugi, dziesięć zaś roslých zwierząt ugina się pod samem dziełem. Król odrzekł:

- Dziękuję wam moi panowie za trud, któryście sobie zadali. Ale jestem bardzo zajęty sprawami państwa i czasu mam niewiele. Przytem postarzałem się i stoję, jak powiada poeta, pośrodku drogi życia. Choćbym nawet przypościł, iż dożyję sędziwego wieku, to jednak nie

mogę sobie robić nadziei przeczytania tak długiej historii. Każę dzieło Wasze złożyć w archiwach państwowych, a was proszę byście napisali dla mnie streszczenie, lepiej dostosowane do krótkotrwałego, ludzkiego życia.

Akademicy perscy pracowali znowu przez lat dwadzieścia i przywieźli królowi streszczenie na trzech wielbłądach, liczące tysiąc pięćset tomów.

- Panie! - rzekł sekretarz wieczysty słabym głosem - Oto nasze nowe dzieło. Zdaje nam się, że nie opuściliśmy niczego ważniejszego.

- Być może! - zgodził się król, ale i tego streszczenia czytać nie mogę. Jestem stary,

a plany szeroko zakreślone nie przystoją memu wiekowi. Proszę was, skróćcie raz jeszcze, byle prędko! Spieszyli się tak, że po niespełna dziesięciu latach przyprowadzili młodego słonia, niosącego pięćset tomów na grzbiecie.

- Sądzę, że byłem treściwy! - powiedział sekretarz dożywotni Akademji.

- Za mało, za mało jeszcze streszczałeś się mój drogi! - zauważył król - Stoję już u schyłku życia! Skróć to, skróć koniecznie, gdyż chciałbym przed śmiercią poznać historję ludzkiego rodu.

Po pięciu latach zjawił się przed pałacem sekretarz dożywotni. Szedł o kulach, prowadząc za sobą osła z wielką księgą na grzbiecie.

- Spiesz się pan! - zawołał gwardzista - Król Jegomość kona!

W istocie, król leżał na łożu śmierci. Zwrócił spojrzenie zagasłe już niemal na sekretarza, a potem na ogromną księgę i powiedział z westchnieniem:

- Umrę, tedy, nie zaznajomiwszy się z dziejami ludzkimi!

- Panie! - rzekł sekretarz niemal tak samo jak monarcha osłabły - Streszczę ci dzieje ludzkości w trzech słowach: rodzili się, cierpieli i umierali!

W ten to sposób król Persji w ostatniej chwili życia zapoznał się z historją ludzkości.

## ROZDZIAŁ XVII

### PAN NIKODEME

Drogi mistrz mój siedział właśnie na szczycie drabiny w księgarni „pod Obrazem św. Katarzyny,” czytając z uczuciem niesłychanej rozkoszy Kasjodora, gdy w sklepie pojawił się nagle starzec o minie obrażonej niewinności i surowem spojrzeniu i zwrócił się do pana Blaizota, uśmiechającego się doń z poza kantorka.

- Panie, - powiedział doń - jesteś pan osiadłym i płacącym podatki księgarzem, przeto suponować by można, iż jesteś człowiekiem przyzwoitym. Tymczasem na wystawie pańskiej



widzę tom dzieł Ronsarda, otwarty na karcie tytułowej, wyobrażającej nagą kobietę, co takim wstrętem przejmuje, iż nie można poprostu patrzeć na ów bezwstyd ohydny.

- Przepraszam pana najmocniej, - odparł łagodnie pan Blaizot - Tę kartę tytułową rytował Leonard Gouthier, uchodzący za bardzo zdolnego artystę w swoim czasie.

- Głupstwo! - obruszył się przybyły - Nie idzie Wcale o to, czy rytownik był artystą, czy nie, faktem jest, iż przedstawił nagą kobietę, która za cały strój posiada jeno włosy. Toteż dotknęło mnie to boleśnie, iż człowiek w pewnych latach, jak pan, rozumny, jak widzę, wystawia na pokaz młodzieży, snującej się po ulicy św. Jakóba, taki gorszący rysunek.

Powinienbyś go pan spalić, idąc za przykładem Ojca Gerassa, który poświęcił majątek na skupywanie i rzucanie w ogień dzieł, obrażających obyczajność publiczną i zakon Ojców Jezuitów. Radziłbym panu szczerze, panie Blaizot, zdjąć to przynajmniej z wystawy i schować w najciemniejszym kątku sklepu, który, jak się obawiam, mieści sporą ilość książek, tak pod względem rysunku, jak i tekstu, podniecających dusze czytelników do występku przeciw czystości, wszeteczeństwa i porubstwa najgorszego gatunku.

Pan Blaizot zaczerwienił się po uszy i oświadczył, że podejrzenie tego rodzaju jest zgoła nieuzasadnione, a martwi go tem więcej, iż padło z ust człowieka uczciwego.

- Winienem powiedzieć panu kto jestem! - powiedział przybyły - Otóż jestem Nicodeme, prezydent Ligi Obyczajności Publicznej, a celem mego stowarzyszenia jest przewyższanie w sku

teczności regulaminu represji moralnoobyczajowych królewskich władz policyjnych. Współdziała ze mną dwunastu radców parlamentu, oraz dwustu wikarjuszów największych parafji i staramy się usuwać nagości, wystawiane po miejscach publicznych, więc placach, bulwarach, ulicach, uliczkach, skwerach, zaułkach i ogrodach.

Nie poprzestając na wprowadzeniu skromności drogą akcji publicznej, staram się przywrócić ją również w salonach, gabinetach i sypialniach, dokąd niestety nazbyt często nie ma dostępu dzisiaj. Dowiedz się pan, że towarzystwo przezemnie założone, sporządza wyprawy dla młodych mężatek, a w szczególności długie i szerokie koszule, posiadające mały, owalny otwór, który pozwala małżonkowi spełnić przykazanie boże dotyczące wzrostu i rozmnożenia rasy ludzkiej, bez obrażania obyczajności i nieskromnego sycenia zmysłów nagością ciała.

Celem otoczenia pewnym, że tak rzekę, wdziękiem owej, daleko posuniętej surowości, otwory te posiadają wokoło haft zdobny i powabny. W ten sposób, zdaje mi się,

osięgnąłem ideał bielizny, który każde młode małżeństwo upodobni do Sary i Tobiasza i oczyści św. sakrament małżeństwa z wyuzdania i sprośności, jakimi splamiony jest niestety w czasach dzisiejszych.

Drogi mistrz mój słuchał przemowy tej z nosem utkwionym w Kasjadorze i nagle z wysokości drabiny zabrał głos, pochwalając w zupełnie poważnych słowach genialny wynalazek IMĆ. pana Nicodema. Dodał jednak zaraz, iż przyszedł mu na myśl wynalazek inny, doskonalszy może jeszcze.

- Należy, zdaniem mojem - pociągać młodych małżonków przed aktem kopulacji od stóp do głowy pastą czarną i glancować szczotkami. W ten sposób skóra ich uczyni się podobną do buta, co owionie ponurą żalobą roskosz zmysłową, podniecaną do tej pory bielą ciała i zaróżowieniem pewnych jego miejsc. Będzie to zarazem ogromną przeszkodą pieścizotom, pocałunkom i niektórym formom wyuzdania, w którym biorą udział usta, a tak często niestety praktykowanym przez kochanków w łożu miłosnem.

Na te słowa pan Nicodème podniósł głowę, zobaczył na szczycie drabiny drogiego mistrza mego, a z miny jego wywnioskował, iż stroi żarty.

- Księżę dobrodzieju! - zawołał ze smutkiem i oburzeniem jednocześnie - Przebaczyłbym panu, gdybyś mnie samego jeno miał zamiar okryć śmiesznością. Niestety natrząsaszesz się jednocześnie ze mnie i obyczajności publicznej i ponizaszesz moralność. Jest to wielka zbrodnia,

zaiste. Wbrew tym żarcikom, stowarzyszenie założone przezemnie dokonało już wielkiego i zbożnego dzieła. Drwij dalej księżę! Zatknęliśmy dotąd sześćset listków figowych i winogradowych na posągach i figurach królewskich ogrodów.

- Podziwiam! Podziwiam! - odrzekł drogi mistrz mój, poprawiając okulary - Jeśli tak dalej pójdzie, to figury owe niebawem pokryją się całe liśćmi i gałęziami. Tylko, (zważywszy, że przedmioty mają dla nas o tyle jeno znaczenie, o ile budzą pewne ideje) pokrywając figury liśćmi winorośli, przenosicie panowie ową cechę sprośności i porubstwa na też właśnie liście. Niedługo, ktokolwiek spojrzy na winnicę, lub drzewo figowe, mimowoli przepoi myśl wszetecznymi obrazami, a od myśli, do czynu krok tylko jeden i to niewielki. Dzięki tedy zabiegom pańskiej ligi, każda winnica zmienić się może w szaleńczy lupanar sub jove. Zaiste, wielka to zbrodnia i djabelstwo wprowadzać w czystą naturę roślin żar ludzkich namiętności.

Nie koniec na tem! Bardzo niebezpieczną jest rzeczą zwracać nieustanną bacność jak pan to czynisz, na Wszystko co może być źródłem podniety płciowej. Nie liczysz się pan ze skutkami. Strasząc duszę ogółu obywateli sprośnymi obrazami, zwracasz uwagę każdego ze swych

zwolenników na to, że przecież sam jest żywym obrazem, wcieleniem owej sprośności i pod suknią własną nosi nagość zupełną. Tego rodzaju nastrój zapanowawszy pośród ludzi młodych, czy nawet starszych, spowodować może wybryki bardzo nieobyczajne, a wolnym od nich będzie chyba jeno rzezaniec, istota, o której pomyśleć bez wstrętu nie sposób.

- Księżę! - zakrzyknął starzec zaperzony mocno - Słowa pańskie świadczą, iż jesteś libertyn i rozpustnik wielki!

- Szanowny panie, - odparł spokojnie mistrz - jestem katolik tylko, zaś o życiu rozpustnem marzyć nawet nie mogę, zmuszonym będąc pracować na chleb codzienny, wino i tytoń. Mówię szczerze drogi panie, jedyną orgją, na jaką sobie pozwolić mogę, jest upojenie cichej medytacji, a jedyny bankiet, do którego każdego dnia zasiadam, to sympozjon Muz. Sądzę jednak, jako człowiek mądry i pobożny, iż zła to rzecz chcieć rozumem swym sięgać poza przepisy świętej wiary naszej, która na punkcie skromności jest bardzo wolnomyślną i chętnie stosuje się do zwyczajów, obyczajów, a nawet przesądów poszczególnych ludów i narodowości.

Mam dużo danych do posądzenia pana o skłonność ku kalwinizmowi, oraz pewność nie

mal, iż zaliczasz się pan do zwolenników straszliwej herezji ikonoklastów. Widząc pański fanatyzm, nie wiem, czy nie posuniesz się wraz ze swą hordą do palenia i darcia wyobrażeń Pana naszego, oraz jego świętych, pod wpływem nienawiści do wszystkiego co w nich przejawia naturę człowieczą.

Owo gadanie o skromności, obyczajności, przyzwoitości itd., które słyszę ciągle, nie jest oparte o żadne ścisłe pojęcie i żadnej myśli przewodniej nie posiada. Rozstrzygają w tych sprawach same jeno zwyczaje, obyczaje i uczucia danego wieku i narodu i to stanowi całą ich prawdę. Za jedynych arbitrów w zakresie tych subtelności uznają jeno poetów, artystów, oraz piękne kobiety. Cóż za kaduczny, heretycki pomysł oddawać sąd o uroku i roskoszy w ręce hordy prokuratorów i posiepaków kryminału?

- Ależ księżę... ależ panie, - błagał pan Nicodème - nie sięgajmy tak wysoko, nie tykajmy Olimpu, ani też wyobrażeń Boga i jego świętych. Widzę, że ksiądz zamierzasz

wciągnąć mnie w spór fatalny. Jesteśmy ludzie uczciwi, chcemy tylko usunąć z przed oczu młodzieży naszej wyobrażenia rzeczy nieprzyzwoitych. A wszakże co do znaczenia tego pojęcia niema dwu sprzecznych zdań. Czyż chcesz ksiądz, by

młodzież płci obojga, przechodząc ulicą narażoną była na niebezpieczne pokusy?

- Przekacny Katonie! - powiedział ks. Coignard spokojnym, poważnym tonem. - Pokusa dobrą jest dla człowieka. Jest to zresztą przeznaczeniem prawdziwego chrześcijaninakatolika na tej łez dolinie. Zważ przytem, że najstraszniejsze pokusy płyną z wnętrza, nie zzewnątrz. Zapewniam pana, że nie uganiałbyś się z taką furją za nagimi kobietami, wyobrażonemi na rysunkach wystaw księgarskich, gdybyś, jak ja, zgłębiał żywoty i dzieła świętych pustelników, żyjących w bezludnych pustyniach, oraz pisma Ojców Kościoła. Przekonałbyś się tropicielu pokus, że anachoreci przebywający w odosobnieniu zupełnem, nie widzący nigdy żadnej nagiej postaci rzeźbionej, czy malowanej, znękani postami, wyczerpani umartwieniami, poranieni od biczów, wijący się na łóżach zasłanych cierniami, doznają straszliwych ukłuc żądzzy zmysłowej, przenikających aż do szpiku kości. Widywali oni w wilgotnych grotach swoich, czy szałasach leśnych, obrazy tysięcy razy wszeteczniejsze i bardziej wyuzdane zarówno w rysunku, kolorycie, czy ruchu, od owej nikłej alegorji w oknie pana Blazota, która doprowadza pana do szału.

Djabeł (libertyni zwą go również naturą) jest lepszym nierównie malarzem porubstwa od samego Juljusza Romain. Przewyższa wszystkich, zaprawdę, mistrzów Italji, czy Flandrji w kompozycji, ruchu i nasyceniu barwnem. Niestety, bezsilnym pan jesteś wobec jego uwodzicielskiej sztuki. Czemże są oburzające pana bazgroty? Wierzaj mi, możesz je pozostawić czulej pieczy policji, a nawet rozsądniejby było, poprzestać na jej staraniach około obyczajności, gdyż liczy się ona potrochu z upodobaniami obywateli.

Niewinna naiwność pańska dziwi mnie bardzo! Nie masz, widzę, wyobrażenia o tem, czym jest człowiek, czym społeczeństwo i nie zdajesz sobie sprawy z wrzenia żądzzy w zbiorowisku ciał, jakim jest wielkie miasto. Jesteście ludzie naiwni, pan i pańscy zwolennicy, skoro zatopieni w nurcie pożądań nowego Babilonu, gdzie co chwila podnosi się firanka, ukazują ramiona i piersi dziewczki publicznej, gdzie po placach i skwerach trą się o siebie z namiętym pośpiechem ciała zgrzane, rozplómiennione, pragnące dobyć z siebie wzajem największą możliwie roskosz orgjazmu płciowego, gdy, powiadam, w takich warunkach biegniecie aż do parlamentu królewskiego, żaląc się i lamentując, iż w jakimś sklepiku

księgarza wisi w oknie rysuneczek, wyobrażający gołą dziewczynę, albo wyrywacie sobie włosy z głowy, gdy na balu danserka pokaże swemu danserowi łydkę, będącą dlań rzeczą najzwyczajniejszą, na którą patrzy codziennie bez najmniejszego wrażenia, gdyż widywał rzeczy inne.

Tak przemawiał drogi mistrz mój, siedząc niby bocian na dachu, na szczycie drabiny księgarza, zaś pan Nicodème zatykał sobie uszy i wymyślał mu od cyników.

- O Boże! - lamentował starzec - Cóż to za okropność patrzeć na gołe dziewczki! Cóż za Wstyd słuchać sofisterei takiego księdza, Wchodzącego w pakty ze zgorszeniem publicznem i niemoralnością, która podkopuje byt każdego narodu i powoduje jego ruinę! Wszakże państwa stoją jeno czystością obyczajów obywateli!

- To prawda! - zgodził się drogi mistrz mój. - Siła ludów polega na ich obyczajności, ale pojęcie to ujmujesz pan zbyt ciasno. Odnosi się ono do całokształtu zasad, uczuć i namiętności, oraz pewnego obowiązującego Wszystkich, a dobrowolnego posłuszeństwa prawom i instytucjom, nie zaś do drobiazgów, obrazków, czy spółkowania z dziewczętami, co pana wtrąca w otchłań rospaczy. Pamiętaj pan, że gdy skromność zatracą

urok ponęty zmysłowej, staje się głupotą i śmiesznością. Ponura tedy czystość pańskiego świętobliwego oburzenia jest w wysokim stopniu konieczna, a nawet, powtarzam raz jeszcze, mocno nieprzyzwoita i w skutkach wprost niemoralna Tak zakończył, ale pana Nicodema dawno już nie było w księgarni.

## ROZDZIAŁ XVIII

### SPRAWIEDLIWOŚĆ

Ksiądz Hieronim Coignard, zasługujący w pełni na to, by go wdzięczna republika żywiła na koszt państwa w prytańcu, zarabiał na życie pisaniem pokojówkom listów, w nędznej speluncie, tuż przy dawnym cmentarzu św. Inocentego. Pewnego razu przydarzyło mu się służyć za sekretarza pewnej damie portugalskiej, podróżującej po Francji wraz z małym służącym, murzynkiem. Zapłaciła ljada za list do męża, zaś dukata sześcio liwrowego za list do kochanka. Była to pierwsza złota moneta, jaka zabłądziła od Świętego Jana do kieszeni mego drogiego mistrza.

Z natury hojny i wspaniałomyślny zaprosił mnie zaraz do garkuchni „pod Złotem Jabłkiem” przy Quai de Greve, niedaleko ratusza, gdzie podawano wyśmienite kielbaski i niefałszowane wino. Schodzili się tam bogaci kupcy po ukończeniu na targu du Mail obrotów

handlowych, a więc około południa. Była właśnie wiosna, ciepło i przyjemnie. Drogi mistrz kazał nakryć stół

na werandzie, tak że spożywając dary boże przysłuchiwalismy się jednocześnie pluskowi wioseł łodzi i galarów, sunących po rzece. Ogarnęło nas uczucie swobody, radzi byliśmy z życia i z tego iż siedzieć możemy w słońcu, przy zastawionym stole. Zajadaliśmy właśnie ze smakiem smażone kiełbiki, gdy nagle doleciał nas tętent kopyt końskich, szcęk oręża i turkot wozu. Odgłosy te zwróciły naszą uwagę.

Domyślając się, że jesteśmy zaciekawieni przyczyną owego łomotu, zwrócił się ku nam jakiś staruszek czarno ubrany, biesiadujący przy stoliku sąsiednim i rzekł uprzejmym tonem:

- To nic wielkiego proszę panów, wiozł tylko pod szubienicę pewną służącą, która skradła swej pani żabot koronkowy.

W chwili gdy mówił ujrzelismy rzeczywiście przystojną dziewczynę, siedzącą na niewielkim wózku, otoczonym konnymi policjantami. Zdawała się zdziwioną niesłychanie. Ręce miała skrupowane na plecach, przez to jędrne wydatne piersi wystąpiły naprzód. Jezdni i wózek znikli po małej chwili na zakręcie, ale nie zapomnę chyba nigdy tej bladej, jak ściana twarzy i spojrzenia Wytrzeszczonych oczu, nie rozróżniających już niczego wokół.

- Tak, - powiedział czarny staruszek - to pokojówka pani radczyni Josse. Chcąc zachwycić swego kochanka na zabawie u Ramponneau, skradła swej pani żabot z prawdziwych koronek alonsońskich, a popełniwszy tę zbrodnię, uciekła. Schwytano ją w mieszkaniu kochanka, przy PontauChange i przyznała się niezwłocznie. Dlatego też poddano ją torturom najwyżej jedno, lub dwugodzinnym. Mówię prawdę, szanowni panowie, albowiem jestem woźnym departamentu sądowego parlamentu, gdzie rozpatrywano tę sprawę.

Czarny starowina nadkroił z lubością kiełbaskę i jadł żywo, by nie ostygła. Połknąwszy ostatni kęs, podjął na nowo:

- W tej chwili stoi zapewne u szczytu drabiny, a za jakichś pięć minut mniej więcej, wyda ostatnie tchnienie. Różni się zdarzają wisielcy. Jedni umierają spokojnie natychmiast po założeniu stryczka na szyję. Ale inni sprawiają dużo ambarasu katowi. Żyją bardzo długo, co stwierdziłem na własne oczy, żyją, że tak rzekę do późnej starości, Wyrabiając awantury niesłychane i szarpiąc się zajadle. Najwścieklejszym szelmą z pośród wszystkich wisielców,

jakich mi się oglądać przydarzyło, był pewien ksiądz, skazany na śmierć w zeszłym roku za to, iż podrabiał podpis

królewski na biletach loteryjnych. Żył przez jakichś dwadzieścia minut i tańczył na sznurze, niby karp na patelni.

Hu, hu, - zaśmiał się urągliwie czarny człowieczek - Ten książulek był nader skromny i nie sięgał po honor biskupa polowego, stojącego wśród gradu kul. Widziałem jak płakał, gdy go zdjęto z wózka. Płakał i lamentował, tak że kat mu musiał zwrócić uwagę, by nie beczał, jak małe dziecko na widok ciemnego pokoju. Co najciekawsze to to, że kat wziął go zrazu za kapelana i spowiednika drugiego skazańca, który miał być jednocześnie powieszony, a profos niemało się nabiedził, nim dzołał przekonać wykonawcę wyroku o pomyłce. Prawda, że to zabawne, szanowni panowie?

- Nie! - powiedział mój drogi mistrz upuszczając na talerz rybkę, którą przez chwilę trzymał na widelcu tuż przy ustach. - Nie bawi mnie to wcale! Przeciwnie, myśl że biedna dziewczyna wydaje może właśnie ostatnie tchnienie, odebrała mi cały apetyt, obrzydziła te wysmienite kiełbiki, piękny, słoneczny dzień i Wszystko, co mnie radowało przed chwilą.

- Ksiądz dobrodziej, widzę, bardzo drażliwy na tym punkcie! - zauważył czarny staruszek - Pewnie by też Wasza Wielbność nie

mógł patrzeć na to co widział na własne oczy ojciec mój w dziecięcych swych latach w Dijon, skąd pochodził.

- Zapewne... zapewne! - powiedział mój mistrz przezacny.

- W takim razie pozwolę sobie powtórzyć opowiadanie ojca mego, które słyszałem nieskończoną ilość razy. Jest niezmiernie interesujące.

Napił się wina, otarł usta różkiem serwety i opowiedział poniż przytoczoną historję.

## ROZDZIAŁ XIX

### OPOWIEŚĆ WOŻNEGO

W październiku, roku pańskiego żyła w Bourgen Bresse, w domu swych rodziców dwudziestodwuletnia Helena Gillet, córka kasztelana królewskiego, mająca kilku braci jeszcze w chłopięcym wieku. Owa Helena Gillet zaszła w ciążę i oznaki te stały się rychło tak widocznymi, że przestały się z nią zadawać córki właściciela zamku i wszystkie inne panny w mieście. Za czas jakiś zauważono, że Helena stała się na nowo szczupłą, jak przedtem i posypały się najrozmaitsze przypuszczenia i plotki. Doszło do tego, iż sędzia

kryminalny powziął podejrzenie i kazał miejscowym położnym zbadać sprawę fachowo. Położne stwierdziły, iż rozwiązanie nastąpiło przed dwoma tygodniami, a Helena Gillet zamknięta została do więzienia i przesłuchana przez trybunał prezydjalny. Wówczas to złożyła następujące zeznanie:

- Przez kilka miesięcy uczęszczał do domu rodziców moich pewien młodzieniec z sąsiedztwa

w celu nauczania młodszych braci pisania i czytania. Miał ze mną jeden raz tylko stosunek płciowy. Pozyskał sobie służącą, która zamknęła mnie razem z nim w pokoju i tam zgwałcił mnie.

Sędzia spytał czemu nie Wzywała ratunku, a dziewczyna odrzekła, że tak była zaskoczona i zdziwiona, iż głos jej uwiązł w gardle. Pod naporem pytań dodała, że skutkiem tego zgwałcenia zaszła W ciążę i poroniła przed czasem. Zaręczała, że nie tylko nie przyczyniła się do spędzenia płodu, ale nawet nie wiedziała co to wszystko znaczy i dopiero służąca musiała ją uświadamiać.

Nie zaspokojeni jej zeznaniem prawnicy nie wiedzieli co począć z całą sprawą, gdy nagle niespodziane zgoła świadectwo dostarczyło oskarżeniu dowodów niezbitych. Pewien żołnierz, przechadzając się Wzdłuż ogrodzenia parku IMĆ. pana Piotra Gillet, kasztelana królewskiego, zobaczył w rowie, pod murem kruka szarpiącego dziobem kawałek bielizny. Zbliżył się, chcąc zobaczyć co to takiego, znalazł noworodka i niezwłocznie doniósł władzom o swem odkryciu.

Dziecko zawinięte było w koszulę, znaczoną na kołnierzu literami H. G. Stwierdzono, że było donoszone, a Helena Gillet, po udowodnieniu dzieciobójstwa została, wedle zwyczaju i przepisów ustawy skazana na karę śmierci. Z uwagi

na wysoki urząd królewski piastowany przez ojca, dopuszczono ją do korzystania z przywileju, przysługującego szlachcie i wyrok brzmiał, jako że ma zostać ścięta toporem.

Ponieważ od wyroku wniesiona została apelacja do parlamentu w Dijon, przeto odstawiono ją do stolicy Burgundji pod eskortą dwu łuczników i osadzono w więzieniu pałacowym. Towarzysząca skazanej matka zamieszkała w klasztorze panien Bernardynek. Sprawa została zbadana przez członków parlamentu na ostatniej audjencji dnia maja, przed samymi Zielonemi Świątami. Sędziowie po wysłuchaniu sprawozdania prokuratora Jakoba, zatwierdzili wyrok trybunału prezydjalnego w Bourg, zarządzając, by skazana zaprowadzoną została na miejsce stracenia ze stryczkiem na szyi.



Publiczność szemrała potrochu, gdyż owa hańbiące obostrzenie stało w sprzeczności z honorowym rodzajem śmierci, przyznanej zbrodniarce. Uznano ogólnie surowość ową za niezgodną z formami zwyczajowymi i za zbyt daleko posuniętą. Ale wyrok nie podlegał dalszej apelacji i musiano go wykonać niezwłocznie.

Tegosamego jeszcze dnia o pół do czwartej z południa Helena Gillet została zaprowadzona na szafot przy dźwięku dzwonów, a przed orsza

kiem jechali trębacze i dęli z taką mocą w surmy, iż mieszkańcy, słysząc po domach swych owe wrzaski, padali na kolana i zanosili do Boga modły na duszę tej, która za chwilę umrzeć miała. Za trębaczami jechał konno zastępca prokuratora królewskiego w otoczeniu służby. Za nim jechała na czarnym wózku, skazana ze stryczkiem na szyi, jak chciał wyrok parlamentu. W towarzyszyło jej dwu Ojców Jezuitów i dwu Ojców Kapucynów, pocieszając ją i pokazując Chrystusa, umierającego na krzyżu. W pobliżu znajdował się kat z toporem i jego żona z nożyczkami. Oddział łuczników otaczał wózek skazanej, a z tyłu cisnął się kto mógł i wielki hałas czynił ten tłum, złożony z drobnomieszczan, piekarzy, rzeźników i mularzy, oraz hord dzieci obojga płci.

Orszak zatrzymał się na placu, zwanym Morimont nie dlatego jednak, że tutaj odbywały się egzekucje zbrodniarzy, ale z powodu że stał tu dawnymi czasy pałac dostojnika Kościoła tegoż nazwiska, posiadającego brylantowy krzyż i mitrę książęcą. Szafot z belek zbudowany był na kamiennych schodach, przytykających do małej kapliczki gdzie zazwyczaj zakonnicy odprawiali modły za duszę skazańca.

Helena Gillet wstąpiła na szafot po schodach w towarzystwie czterech zakonników, kata i jego żony, kacycy, która zdjąwszy ze szyi skazanej stryczek, obcięła jej włosy nożyczkami na dwie stopy conajmniej długimi, a potem jej zawiązała oczy. Zakonnicy zaczęli odmawiać modlitwy. Kata jednak ogarnęła nagle drżączka i pobladł, jak ściana. Zwał się Szymon Długijaś, a mimoto Wzrost miał niewielki i był o tyle trwożliwy i łagodny, oile żona jego, kacica wydawała się dzika i zajadła. Tegoż ranka przyjął w kaplicy więziennej komunię świętą, a mimoto był zmieszany i nie miał odwagi uśmiercić młodej dziewczyny.

- Przebaczcie mi wszyscy, - rzekł zwracając się do tłumu - jeśli źle dokonam tego, co jest moim obowiązkiem. Od trzech miesięcy trzęsie mnie febra i trapi gorączka naprzemian!

Potem, słaniając się na nogach, załamując ręce i Wznosząc w niebo oczy, upadł na kolana przed Heleną Gillet, błagając ją dwukrotnie o przebaczenie. Poprosił jeszcze o

błogosławieństwo zakonników i gdy kacica ulokowała głowę delikwentki na pniaku, podniósł topór w górę.

- Jezus! Marja! - krzyknęli zakonnicy, a ciężkie westchnienie wyrwało się z piersi tanu. Ale cios, mający przeciąć kark skazanej, zwinął

się w uderzeniu i rozciął jej głęboko lewe ramię, a nieszczęsna dziewczyna upadła na prawy bok.

Szymon Długijaś zwrócił się do tłumu i powiedział:

- Zabijcie raczej mnie!

Podniosły się wrzaski i padło kilka kamieni na szafot, gdzie kacica umieszczała głowę skazanej ponownie na pieńku.

Mąż podniósł znowu topór i za drugim ciosem nadrażał dość głęboko kark skazanej, ale puścił topór, a dziewczyna upadła nań z jękiem.

Ryk nie ludzki podniósł się z piersi tłumu, grad kamieni posypał się na szafot a Szymon, dwaj jezuici i dwaj kapucyni skoczyli na dół i coby prędzej ukrywając się w kapliczce, zamknęli się w niej szczelnie. Kacica pozostała sama z ofiarą na szafocie, zaczęła szukać topora. Nie znalazłszy go jednak, gdyż leżał pod Heleną, chwyciła stryczek, związała w pętlę, zarzuciła go jej na szyję i zaczęła dusić co sił, opierając się stopami o jej piersi. Ale Helena chwyciła również oburącz stryczek i zalana krwią, broniła się rozpacznie. Wówczas kacica ściągnęła ją z szafotu głową na dół po schodach, porwała nożyce i jęła przecinać jej krtań.

Pracowała z Wysiłkiem, ale za chwilę rzeźnicy i mularze, przewracawszy na ziemię policjantów

i łuczników, zajęli dostęp do szafotu i kapliczki. Kilkanaście silnych ramion podjęło Helenę Gillet, i zaniesioną została do sklepu mistrza Jacquin, chirurga i bandażysty.

Tłum napierający na drzwi kapliczki, byłby je wyłamał napewno, ale zakonnicy bojąc się skutków, otwarli je sami i trzymając przed sobą wzniesione w górę krzyże, utworowali sobie z trudem drogę przez wzburzone fale ludu.

Kat i żona jego legli trupem pod kamieniami i pałkami, a ciała ich wleczono w tryumfie po ulicach. Tymczasem Helena Gillet odzyskała przytomność w sklepie chirurga i zażądała wody. Potem podczas bandażowania spytała:

- Jaktó, tylko tyle mam ran?

Okazało się, że otrzymała jeszcze dwa pchnięcia szpodą w brzuch, sześć głębokich sztychów nożyczkami w piersi, usta i gardło, że biodra pokaleczyło ostrze topora, z którym

kacica wlokła ją po ziemi, chcąc zadusić i że wreszcie całe ciało pokryte było tłuczonymi ranami od kamieni, którymi tłum zasypał szafot.

Przyszła jednak do zdrowia i rany pogoły się. Przez czas długi mieszkała u chirurga pod strażą jednego z woźnych i ciągle pytała:

- Czy to jeszcze nie koniec? Czy mam umierać drugi raz?

Chirurg i litościwe osoby, mające o niej staranie, pocieszali ją, jak mogli, ale sam jeno król mógł jej darować życie. Adwokat Favret napisał prośbę, wyjednał podpisy notablów dijońskich i złożył ją u stóp tronu. W tym właśnie czasie odbywały się huczne zabawy na dworze z racji małżeństwa Henryki Marji Francuskiej z królem Anglii. Z tego to powodu Ludwik „Sprawiedliwy” przychylił się do prośby i darował karę W zupełności, będąc, jak powiada akt łaski, tego zdania, że odcierpiała ona już karę równą, a nawet przewyższającą karę śmierci.

Helena Gillet odzyskawszy życie, ukryła się w klasztorze w la Bresse i pędziła do śmierci żywot nabożny i bogobojny.

Taką jest - zakończył mały staruszek - historia Heleny Gillet, znana każdemu dotąd w Dijon. Czyż nie jest ona zdaniem Waszej Wielbności, zajmująca i ucieszna?

## ROZDZIAŁ XX

### SPRAWIEDLIWOŚĆ

- Niestety, - westchnął drogi mistrz mój - nie zdołam przełknąć jednego kąsa i całe śniadanie się zmarnuje! Serce mi się ścisnęło wobec tych ohydnych scen, któreś nam kreślił, szanowny panie woźny, w tak układnych wyrazach, a zarazem zejść mi z oczu nie może ta nieszczęsna pokojówka pani radczyni Josse, którą powieszono, mogąc z nią uczynić coś nierównie lepszego.

- Jakto? - zdziwił się Woźny - Wszakże Wspominałem Waszej Wielbności, że dziewczyna ta okradła swą panią! Czyżby więc nie należało, zdaniem księdza dobrodzieja, wieszać złodziei?

- Prawda, że taki już zwyczaj! - Westchnął mistrz - Ponieważ zaś siła nawyku jest niezmożona, przeto nie liczę się z nią w codziennym toku rozumowania. Małą wrażliwością na te rzeczy odznaczał się nawet sam filozof Seneka, z natury skłonny do łagodności i układał pełne powabu i wykwintu traktaty, podczas gdy w jego oczach.

w Rzymie krzyżowano niewolników za drobne przewiny, jak mamy przykład na niewolniku Mitrydatesie, który zmarł przybity do krzyża za to jeno, iż śmiał podawać w wątpliwość boskie dostojęństwo pana swego, nikczemnego Trymalchjona.

Jest to już widać cechą ludzkiego umysłu, to co zalicza się do rzeczy zwyczajnych i codziennych, nie rani go, ni oburza. Nawyk zużywa, że się tak wyrażę, zarówno nasze oburzenie, jaki zachwyty. Budzę się co rana, nie myśląc wcale, przyznaję to, o tych nieszczęsnych których powieszają, lub połamają kołem w ciągu dnia. Kiedy jednak wyobrazenie męki uczyniło mnie wrażliwszym, serce mi się ścisnęło i na widok owej ponętnej dziewczki wiedzionej na śmierć, ścisnęło mi się gardło tak, że nie przejdzie przez nie nawet ta mała rybka.

- Mniejsza o jedną ładną dziewczkę. Niema ulicy w Paryżu, by co noc nie fabrykowano tuzinami nowych, piękniejszych jeszcze. Któż jej kazał okradać swą panią, radczynię Josse?

- Nie wiem tego, - odrzekł mistrz - i pan tego nie wiesz, a sędziowie, którzy ją skazali, również nic nie wiedzą, albowiem nieznanne są człowiekowi istotne motywy czynów ludzkich. Są to sprawy niepojęte, a sprężyny poruszające

niemi głęboko tkwią ukryte. Uznaję wolność czynów człowieka i jego odpowiedzialność za nie, albowiem tak mi wierzyć każe nasza święta rzymskokatolicka religia i Kościół, matka nasza. Ale poza nauką wiary tak mam mało danych na dowód, że człowiek jest panem swych czynów, iż drzę, ile razy posłyszę o wyroku sądowym, karzącym czyny, których punkt wyjścia, konsekwencja i przyczyny wymykają nam się zupełnie, zaś wola ma często mały w nich udział, bo przeważna ich ilość dzieje się bez żadnej świadomości. W zasadzie jesteśmy odpowiedzialni za postęпки nasze, albowiem święta religia nasza wychodzi z założenia mistycznej jedności wolności człowieka i łaski bożej. Ale za nadużycie tego dogmatu uważać muszę, jeśli opierając się na tej subtelnej i trudnej do ujęcia koncepcji sprawiedliwość ludzka szafuje na prawo i lewo udręką, torturą i różnemi okropnościami, jakich pełne są kodeksy nasze.

- Z wielkim smutkiem spostrzegam, - powiedział czarny człowieczek - że Wasza Wielebność zaliczasz się do zwolenników szalbierzy, a temsamem wrogów państwa!

- Niestety i oni, drogi panie - odparł mistrz - zaliczają się również do cierpiącej i Walczącej ludzkości i mają, jak my, udział w świętem dziele

Odkupienia Pana naszego Jezusa Chrystusa, który umarł pośrodku dwu łotrów. Dostrzegam w ustawodawstwie naszym okrucieństwa, które ocenić potrafią dopiero pokolenia przyszłe, a napelnia je one, rękę za to, oburzeniem wielkiem.

- Nie rozumiem zgoła, co ma na myśli Wasza Wielbność! - oświadczył woźny, pociągawszy wina ze szklanki - Wszakże wszystkie okrucieństwa czasów dawnych zostały usunięte zupełnie z ustaw naszych i obyczajów, a dzisiejsze prawodawstwo odznacza się łagodnością i ludzkością wprost niesłychaną.

Kary są jaknajściślej ustosunkowane do przestępstw i tak widzimy, że złodziei wiesza się, morderców łamie kołem, winnych obrazy majestatu rozdziera końmi, ateuszów, czarowników i sodomitów pali się na stosie, zaś fałszerzy pieniędzy gotuje. Czyż to nie wystarcza, by udowodnić, że praktyka kryminalistyczna odznacza się niezmiernem umiarkowaniem i łagodnością, posuniętą do granic możliwości?

- Drogi panie, - zauważył ks. Coignard - wiem z ksiązek, iż sędziowie każdego stulecia uważali się zawsze za zgodliwych, łagodnych i pobłażliwych. W wiekach średnich, za czasów św. Ludwika, a nawet Karola Wielkiego, zachwycali się swą wyrozumiałością, która się nam dzisiaj

wydaje dzikością, toteż pewny jestem, że synowie, czy wnukowie nasi osądzą, iż należy to i owo zmienić i usunąć w zakresie tortur i kar przez nas stosowanych.

- Wasza Wielbność nie liczy się z koniecznościami urzędowemi! - oświadczył stanowczo staruszek - Tortura jest niezbędną dla wydobycia zeznania, którego by po dobroci nigdy uzyskać się nie dało, zaś kary są zredukowane do granic takich, jakie są potrzebne do zabezpieczenia życia i spokoju obywateli.

- Zgadzasz się pan więc, - odrzekł mistrz - że sprawiedliwość sądowa nie ma na celu samej sprawiedliwości, ale kieruje się względami praktycznymi i zasadniczo opiera się na interesach i przesądach narodów. W istocie jest to prawda zupełna, toteż występki karane są nie w stosunku do zawartego w nich zła i przewrotności, ale proporcjonalnie do szkód, jakie przynoszą społeczeństwu, lub jakieby przynieść mogły. Dlatego fałszerzy monet wrzuca się do kotła z wrzącą wodą, mimo, że bicie dukatów nie jest to żadna przewrotność, ale jeno finansiści i ogół obywateli ponoszą przezto dotkliwą stratę w dochodach. Za tę więc stratę mszczą się w sposób okrutny i niemilosierny. Wieszamy złodziei nie dlatego, by wielka niemoralność mieściła się w zabranii

drugiemu kawałka chleba, czy żabotu, gdyż w gruncie złośliwość ta jest małą, ale dlatego, że ludzie są chciwi dóbr ziemskich i przywiązują wielką wagę do dóbr raz pozyskanych. Trzeba tedy uznać za prawdziwe źródło sprawiedliwości ludzkiej interes materialny obywateli i odjąć mu tę całą, rzekomo wzniosłą filozofią, w którą się drapuje z wielkiem namaszczeniem, a większą jeszcze obłudą.

- Księżę dobrodzieju, - ozwał się po chwili czarny człowieczek - nie rozumiem tego com usłyszał. Zdaje mi się, że sprawiedliwość jest o tyle lepszą o ile jest użyteczniejszą, a ta właśnie użyteczność, którą ksiądz zdaje się pogardzać, powinna ją w oczach pańskich uczynić tem dostojniejszą i świętszą.

- Nie rozumiemy się tedy wcale! - oświadczył drogi mistrz mój.

- Wasza Wielbność, - powiedział woźny - Widzę za to, że wino stoi nietknięte, a musi ono być dobre, sądząc po kolorze. Czy mógłbym skosztować?

Po raz może pierwszy w życiu drogi mistrz mój zapomniał o trunku w napoczętej ledwo flaszcze. Napenił z całą gotowością szklankę woźnego, a staruszek powiedział, skosztowawszy ostrożnie:

- Za zdrowie Waszej Wielbności. Wino pańskie dobre jest, ale rozumowanie nic warte. Powtarzam, sprawiedliwość ustaw jest tem słuszniejsza, im jest pożyteczniejsza, a owa użyteczność, będąca pańskim zdaniem jej źródłem, powinna przekonać tem bardziej o jej zaletach. Ale musimy zgodzić się jeszcze i na to, że sama istota wymiaru sprawiedliwości jest sprawiedliwa, tak jak to oznacza jego nazwa.

- Szanowny panie, - zawołał ksiądz - jeśli powiemy, że piękność jest piękna, prawda prawdziwa, a sprawiedliwość sprawiedliwa, to nie wyjaśnimy tem niczego i lepiej było wcale nie gadać. Wasz Ulpjanus, używający ścisłych określeń napisał, że sprawiedliwość jest to zdecydowana i wiecznotrwała wola przyznawania każdemu tego co mu się należy, zaś ustawy są wówczas sprawiedliwe, kiedy sankcjonują tę wolę. Cała tylko bieda w tem, że ludziom z natury samej nic się nie należy, a skutkiem tego sprawiedliwe ustawy zabezpieczać im mogą tylko łupy rabunku odziedziczone, lub własne. Są w tem bardzo podobne do owych umów pomiędzy dziećmi grającymi w szklanne kulki. Gdy jedna strona wygra, a druga chce, by oddała napowrót kulki, pierwsze powiadają: - My już nie chcemy dalej grać!

Cała mądrość sędziów polega na wyróżnieniu rabunków, które nie wchodzą w grę, od tych co do których przy zawarciu partji nastąpiła umowa, a rozróżnianie owo jest jednocześnie bardzo misterne i dziecinne. W każdym zaś razie jest bardzo dowolne.

Dziewczyna, która wisi w tej chwili na szubienicy, jak pan powiadasz, skradła pani radczynie Josse własność jej, żakot koronkowy. Na czym jednak opierasz pan twierdzenie, że ów żakot był własnością pani radczynie Josse? Powiesz pan, że kupiła go za pieniądze, albo dostała od rodziców z wyprawą, albo otrzymała od swego kochanka. W ten mniej więcej sposób przychodzi się do koronkowych żakotów. Ale bez względu na sposoby, zawsze posiadała go ona jako jedno z tych dóbr, które pozyskuje się przypadkiem i znowu przypadkiem traci, gdyż do posiadania tego nie miała i mieć nie mogła praw przyrodzonych.

Zresztą przyznaję nawet, że żakot był jej własnością stosownie do reguł owej zabawy w posiadanie, którą uprawiają ludzie uspołecznieni, niby biedni ulicznicy, grający w guziki. Upodobała sobie w tym żabocie i ostatecznie prawa jej do niego nie były zgoła mniejsze od praw innych Współgrających. Zgoda. Sprawiedliwość winna była tedy oddać jej żakot i koniec. Ale z jakiegoż

powodu sprawiedliwość owa oceniła kawałek szmatki sfabrykowanej w Alencon tak wysoko, by żądać wzamian za sam jej zwrot ceny życia istoty ludzkiej?

- Księżę dobrodzieju! - zawołał żywo staruszek - Patrzysz pan na sprawiedliwość pod jednym jeno kątem. Nie dość jest wymierzyć ją samej tylko pani radczynie Josse, oddając jej żakot. Koniecznym jest wymierzyć równą sprawiedliwość pokojówce, wieszając ją za szyję na konopnej lince. Sprawiedliwość polega na wymierzeniu każdemu tego, co mu się należy. I to właśnie czyni ją dostojną i świętą.

- Doprawdy, nie wiedziałem dotąd jeszcze, że sprawiedliwość jest tak przeraźnie ohydną! - zawołał drogi mój mistrz. Ta koncepcja, iż spłaca ona dług kary skazanemu, niema sobie równej co do dzikości i szatańskiej przewrotności. Niema w niej tedy zgoła nic prócz średniowiecznej, zwierzęcej barbarzyńskiej zemsty silniejszego nad słabszym.

- Księżę dobrodzieju, - sprzeciwił się woźny - nie znasz tedy sprawiedliwości. Wymierza ona ciosy bez gniewu i nie czuła ona nienawiści dla owej dziewczyny, którą powieszono przed kwandransem dopiero.

- Coraz to lepiej! - zawołał drogi mistrz mój - Wolalbym tysiąc razy, gdyby sędziowie wyznali otwarcie, że karzą winnych z czystej konieczności, dla odstraszenia przykładu innym. W takim razie pełniliby rzecz użyteczną, powolni warunkom swego wieku. Jeśli jednak twierdzą, że odbierając życie winnemu spłacają mu jeno należność, to otwiera się przed nami piekło szaleńczej ułudy, w które pędzi fałszywe rozumowanie onych ludzi,

niewinnych w gruncie, gdyż pełnią oni to, co uważają za swój obowiązek. Ta zasada napelnia mnie niewysłowionym Wstrętem.

Przypominam sobie teraz, że ustalona została ona przez pewnego zdolnego filozofa, nazwiskiem Menardus. Twierdzi on, że nie karać winowajcę, znaczy tyle co pozbawiać go w sposób przewrotny prawa odpokutowania występku. Powiedział on, że sędziowie ateńscy, karząc wypić kielich cykuty Sokratesowi przyczynili się walnie do oczyszczenia z grzechów duszy tego mędrca. To są straszliwe, przerażne mrzonki! Pragnę gorąco, by sprawiedliwość karząca była mniej subtelną i filozoficzną.

Zasada zemsty, stosowana częściej do kar wymierzanych zbrodniarzom, jest mimo swej wewnętrznej nikczemności i zła, dużo mniej straszna w skutkach od owej szaleńczej cnoty filozofów

morderców. Poznałem w Séez pewnego pocziwca o pogodnem usposobieniu, pełnego jowjalności, który brał na kolana dzieci i opowiadał im historyjki. Wiódł żywot przykładny, przystępował do św. sakramentów i dumny był z wypróbowanej uczciwości w handlu zbożem, który prowadzi! od lat sześćdziesięciu, czy dłużej nawet. Przydarzyło się pewnego dnia, że służąca skradła mu kilka dublonów, pięknych dukatonów, prosto z mennicy i inne jeszcze złote monety, które trzymał w puzderku na dnie szuflady, radując się ich widokiem: Zauważywszy stratę, wniósł skargę do sądu, poczem służącą przy aresztowano, przesłuchano, osądzono, skazano i powieszono. Pocziwiec, znający zakres swych praw, zażądał skóry złodziejki, a gdy mu ją dano, kazał sobie zrobić rajtuzy. Często bił się prętem po pośladkach i Wykrzykiwał”. - A ty szelmo! A ty łajdaczko! Dziewczyna zabrała mu złoto, on jej tedy zabrał skórę i zemścił się poprostu, bez filozofji, z całą prostotą i uczciwością dzikiego zwierzęcia. Nie sądził iż spełnia obowiązek szczytny, waląc się radośnie po bokach, obciągniętych ludzką skórą.

Należałoby zgodzić się, że wieszając winowajcę spełnia się akt ostrożności, służący za postrach innym, a porzucić raz na zawsze zbrodniczą formułę wymierzania każdemu co mu się należy.

Prawdziwa filozofja poucza, że prócz życia nic się nie należy nikomu. Dzikim i szatańskim mistycyzmem nazwać trzeba teorię ekspjacji, przysługującej winnemu, gorszym zaprawdę od otwartego gwałtu, lub zwyczajnego gniewu. Karanie ma swe źródło w przemocy nie zaś filozofji, gdyż ona poucza nas wprost przeciwnie, że wszystko, co posiadamy, zostało zagarnięte gwałtem, lub podstępem.



Nie rzadko zdarza się też, że sprawiedliwość i sędziowie pochwalają rabunek, dokonany na obywatelach, o ile tylko rozbójnik jest potężny. Niema naprzykład nic przeciw temu prawo, by król zabierał nam naczynia srebrne i ozdoby, gdy mu przyjdzie ochota wojować.

Za Ludwika XIV, nazywanego Wielkim, rekwizycje doprowadzono do tego stopnia, że odpruwano sznury od firanek łóżka, by wysnuć z nich nić złotą, wmieszaną w tkaninę. Król ten zagarniał mienie osób prywatnych i skarby Kościoła. Za czasów, kiedy przebywałem w celach duchownego doskonalenia się w kościele Matki Boskiej Radosnej w Pikardji, uskarżał się przedemną gorzko pewien stary zakrystjan, iż nieboszczyk król zrabował i stopił wszystkie złote i srebrne naczynia kościelne, a nie uszanował nawet złotych piersi królowej Palatynatu, złożonych jako wotum po cudownem uleczeniu z raka.

Sprawiedliwość

dzielnie sekundowała wówczas królowi w rekwizycjach i karała surowo tych, którzy ukryli po kilka sztuk złota przed pazurami królewskich komisarzy. Widocznie prawo nie uważało wówczas własności prywatnej za taką przynależność obywateli, by niemożliwym i niesprawiedliwym było pozbawianie ich tejże.

- Przekazny księżu, - powiedział woźny - komisarze działali imieniem Króla Jegomości, który jest właścicielem Wszelakich dóbr w państwie i może dysponować niemi wedle woli, używając ich na wojnę, stawianie gmachów lub cokolwiekbądź innego.

- To prawda, - odparł mistrz - zapomniałem, że i to także włączone zostało do reguł gry. Sędziowie przestrzegają reguł gry w „gąskę”, patrząc na to co jest napisane na tabliczce. Zapisane tam są prawa króla, zostające pod strażą najemnych szwajcarów i wszelakiego innego żołdactwa. Niestety biedna, powieszona złodziejka nie miała jeno gwardji szwajcarskiej, która by zapisała na tabliczce, iż przysługuje jej prawo noszenia koronkowego żabotu pani radczyni Josse. Masz pan zupełną rację.

- Ależ księżu dobrodzieju! - zawołał zdumiony staruszek - Czyż chcesz pan przyrównywać Ludwika Wielkiego, największego z władców

Francji, który zabrał złoto obywatelom na cele wojenne, na opłatę wojsk, z ową nędzną kreaturą, która skradła żabot, by się w niego wystroić?

- Szlachetny przyjacielu! - odrzekł mój zacny mistrz - Mniej niewinną jest rzeczą toczyć krwawe Wojny, niż iść na bal do Ramponneau w koronkowym żabocie. Niestety, sprawiedliwość wymierza każdemu co mu się należy, wedle zasad, przyjętych w onej

towarzyskiej grze, którą zaliczam do najhazardowniejszych, najgłupszych i najnudniejszych, z pośród znanych mi do tej pory, a również niestety, wszyscy obywatele państwa muszą w niej poniewoli brać udział.

- To jest konieczne! - zapewnił staruszek.

- Doszliśmy więc do wniosku, że prawa są pożyteczne, ale nie są sprawiedliwe i być nie mogą, albowiem sędzia przyznaje obywatelom korzystanie z tego co im się należy, nie wchodząc zgoła w rozróżnianie prawdziwych i pozornych dóbr. Tego rozróżniania nie zapisuje się na tabliczce gry „w gaskę” i nie Wchodzi ono w zakres jej reguł; Widnieje ono jeno w księdze sprawiedliwości bożej, której odczytać nikt nie zdołał jeszcze.

Czy znasz pan historję o aniele i pustelniku? Anioł zstąpił pewnego dnia z nieba, przybrawszy postać ludzką i strój pątnika. Wędrując po Egipcie, zapukał pewnego wieczoru do drzwi

chatki dobrego pustelnika, który, biorąc go za zwykłego pątnika, nakarmił go i nalał w złotą czarę wina. Potem położył go na własnem łóżu, sam zaś legł na ziemi, podłożywszy sobie pod głowę garść słomy ryżowej.

Kiedy zasnął, niebiański gość jego wstał, wziął czarę, z której pił wino, ukrył ją pod płaszczem i uciekł. Postąpił w ten sposób nie dlatego, by poszkodować dobrego pustelnika, ale przeciwnie uczynił to dla dobra gospodarza swego, który go przyjął tak gościnnie. Wiedział on, że czara ta o zgubę przyprawiłaby świętego męża, bowiem przylgnął do niej sercem, a Bóg chce, by go kochać wyłącznie i nic pozwala przywiązywać się do dóbr ziemskich wybrańcom swoim.

Anioł ten, partycypując w nieskończonej mądrości bożej, umiał odróżniać dobra istotne od pozornych. Sędziowie jednak dokazać tego nie zdołają nigdy. Niewiadomo zgoła, czy pani radczyni Josse nie zatraciła duszy swojej w chwili otrzymania z powrotem z rąk sędziów, skradzionego jej przez pokojówkę koronkowego żabotu?

- W każdym razie, - zakończył woźny, zacierając ręce - jedna łajdaczka mniej wałęsa się po tym świecie!

Strzepnął okruchy z ubrania i skłoniwszy się nam uprzejmie, odszedł lekkim, zwawym kroczkiem.

ROZDZIAŁ XXI

SPRAWIEDLIWOŚĆ

(Ciąg dalszy)

Drogi mistrz zwrócił się ku mnie i zaczął w te słowa:

- Przytoczyłem historję o aniele i pustelniku po to jeno, by unaocnić przepaść dzielącą doczesność od świata duchowego. Sprawiedliwość ludzka działa na terytorjum doczesności, a jest to niź wielki i zapadły, gdzie nie można stosować zasad podniosłych. Największa to chyba obraza dla Pana naszego Jezusa Chrystusa, gdy zawieszają obraz jego w pretorjach, gdzie sędziowie uniewinniają faryzeuszów, a potępiają i krzyżują Magdaleny, które podniósł z upadku własnymi boskimi rękami swemi.

Cóż ma wspólnego ów Sprawiedliwy z ludźmi, którzyby nie mogli w czyn wprowadzić sprawiedliwości nawet wówczas, gdyby tego zapragnęli, albowiem jest ich smutnym obowiązkiem patrzeć na czyny podobnych sobie nie pod kątem ich istotnego znaczenia, ale tylko pod kątem interesu

społecznego, to znaczy taksować je Wedle miary egoizmu, zachłanności, pomyłek i nieporozumień, oraz nadużyć, jakie razem wzięte stanowią państwo, oddane im w opiekę, którego są stróżami i konserwatorami.

Odważając na tej wadze występki, dorzucają jeszcze nieco strachu, czy złości, jaką tenże napelniał nikczemną i bezrozumną opinię publiczną. Wszystko to zapisane jest w ich księgach, tak że odwieczny tekst i martwa litera zastępują im rozum, serce i żywą duszę. A Wszystkie te przepisy, sięgające nieraz haniebných czasów bizantyńskiej Teodory godzą się w jednym punkcie, mianowicie, że należy zachować wszystkie cnoty i zbrodnie świata, który nie chce ruszyć naprzód.

Wina sama w pojęciu prawa jest drobiazgiem bez znaczenia, wszystkim zaś są okoliczności zewnętrzne, tak że czyn w pewnych razach niezbyt lub zgoła nienaganny staje się w innym wypadku zbrodnią nieprzebaczalną zgoła. Weźmy naprzykład policzek, który wymierza jeden człowiek drugiemu. Jeśli spadł na twarz mieszczanina, to uważa się go za skutek popędliwości i bagatelizuje, ale dla żołnierza staje się zbrodnią, karaną śmiercią. To barbarzyństwo w czasach naszych grasujące

stanie się przedmiotem wzgardy wieków przyszłych.

Nie zwracamy dziś na to uwagi, ale kiedyś zadadzą sobie ludzie pytanie, jak mogliśmy być takimi dzikusami, by karać najokrutniej to co jest przejawem gorącej krwi młodego człowieka, wystawionego przez przymus prawny na niebezpieczeństwa wojny i koszarowe nudy. Nie ulega kwestji, że gdyby istniała sprawiedliwość mielibyśmy jeden jeno kodeks, nie zaś dwa, wojskowy i cywilny. Ten wymiar sprawiedliwości wojskowej, którego skutki co

dzień oglądamy, odznacza się niepojętem okrucieństwem, a ludzie pokoleń następnych, jeśli wogóle zechcą dalej żyć w policyjnych ustrojach państwowych, nie zechcą poprostu wierzyć, że mogły istnieć ongiś w czasie pokoju wojenne sądy, mszczące śmiercią prostą obrazę sierżanta, czy kaprała.

Nie zechce również wierzyć nikt, że takie mnóstwo nieszczęśników stracono za dezercję w obliczu wroga i to za wyprawy wojennej, w której rząd francuski nie uznawał wcale przeciwnika za beligeranta równego sobie. Ale najdziwniejsza rzecz to to, że tego rodzaju zbrodnie z urzędu dzieją się w społeczeństwach chrześcijańskich, czczących świętego Sebastjana, zbuntowanego żołnierza, oraz męczenników legjonu

tebańskiego, których sława na tem polega, że padali ongiś ofiarą sądu wojennego, nie chcąc bić się z Bagodami!

Dajmy zresztą pokój sprawiedliwości owych ludzi miecza, którzy poginą od miecza kiedyś wedle słów Chrystusa Pana i wróćmy do urzędników cywilnych.

Sędziowie nie sondują zgoła duszy i nie czytają w sercu, toteż najsprawiedliwsza ich sprawiedliwość jest zwierzęca i powierzchowna zarazem. I dobrze jeszcze jeśli trzymają się ściśle przynajmniej tej grubej zewnętrznej kory słuszności, na której spisane są kodeksy świata. Jest to nawet znakomicie! Sędziowie są ludźmi, przeto istotami słabymi, poddającymi się łatwo wpływom, uniżeni wobec potężnych, a nieubłagani dla bezbronnych. Sankcjonują też nieraz wyrokami swymi najjaskrawsze krzywdy społeczne i trudno odróżnić ile jest w tej stronniczości osobistego łajdactwa, a ile niesprawiedliwości narzuconej przez zawód i obowiązek, polegający w gruncie rzeczy na tem, by zachować państwo razem z jego błędami i zaletami, by czuwać nad obyczajnością publiczną, złą czy dobrą mniejsza z tem, i uzgo

dnić z prawami obywateli tyrańską wolę panującego. Pomijam tutaj świadomie całe mnóstwo śmiesznych przesądów, brutalnych nawyczek i zwyczajów i tym podobnych świństw i głupstw, które mają nietykalny, odwieczny azyl pod cieniem kwitnącej lilji instytucji sądowych całego świata.

Najsurowszy i najnieskazitelniejszy urzędnik może przez samą właśnie uczciwość i ścisłość swoją wydawać wyroki równie oburzające, a może jeszcze bardziej niehumanitarne od urzędnika przekupnego i co do mnie, nie wiem którego z nich bałbym się więcej. Nie wiem który gorszy, czy ten którego dusza przemieniła się w literę prawa, czy ten, który używa resztek uczuć ludzkich na jego przekręcanie. Drugi może mnie poświęcić swej namiętności, albo interesowi, pierwszy zabije mnie z zimną krwią głazem pisanego tekstu.

Zważyć jeszcze trzeba, że urzędnik jest obrońcą zawodowym nie tych nowych przesądów i zabobonów, którym podlegamy mniejwięcej Wszyscy, ale zabobonów i urojeń starych, przechowanych w prawie, mimo że wygasły już dawno w duszach i obyczajach naszych. Niema chyba umysłu jakotako bodaj uzdolnionego do logicznego myślenia i niezależnego, któryby nie wyczuwał całego gotycyzmu prawodawstwa. Tymczasem

sędziemu nie przysługuje prawo krytyki, ani dowolnego wyboru.

Mówię tak, jakgdyby te wszystkie barbarzyńskie i pełne niedomagań prawa były przynajmniej jasne i ściśle. Niestety dużo je dzieli rzeczy od onego ideału. Bazgroty czarownika i jego wywijasy djabelskie nierównie łatwiej zrozumieć, niż najważniejsze i codziennie stosowane paragrafy kodeksów naszych.

Owe trudności interpretacji spowodowały ustanowienie rozlicznych instancji, czyli stopni jurydycznych, w tej nadziei, że czego odcyfrować nie zdoła małomiejski podsętek, to wyjaśni niezawodnie i wyklarują panowie członkowie parlamentu. Niesłychane to zaiste zaufanie do onych pięciu mężów w czerwonych togach i kraciastych biretach, którzy nawet gdy wyrecytują przed sesją Veni Creator, nie osięgają zgoła najmniej odrobiny nieomylności, ani też zdrowego, niezależnego rozsądku.

Trzeba przypuścić z konieczności, że najwyższa judykatura wydaje wyroki bezapelacyjne z tego jednego i jedyne go powodu, iż przed zwróceniem się do niej wyczerpano bez skutku zasób mądrości wszystkich niższych. Takie mu si mieć przynajmniej zapatrywanie panujący, bo kpi sobie z wyroków parlamentu i nie podlega im wcale.

## ROZDZIAŁ XXII

### SPRAWIEDLIWOŚĆ

#### (DOKOŃCZENIE)

Drogi mistrz mój posmutniał i zapatrył się w wodę, wyobrażając ten świat, gdzie wszystko przemija, a nic się nie zmienia.

Trwał przez dłuższy czas w zadumie, potem zaś zaczął mówić zcicha:

- Już samo to, drogi mój synu, sprawia mi niezmierną boleść, że z konieczności sędziowie wymierzają sprawiedliwość. Jasnym jest, że mają w tem interes, by uznać winnym tego, co do którego powzięli zrazu podejrzenie. Szukają tedy jeno dowodów swej przenikliwości. W zawodzie sędziowskim kwitnie solidarność stanowa, tak że w każdej procedurze odsuwają i ograniczają obronę, uważając ją za nieznośnego natręta. Nie dają jej

dostępu do siebie zanim oskarżenie przywdziało całą swą zbroję i w takie ułożyło zmarszczki twarz, że przez owe sztuczki przybrało postać dostojnej Minerwy.

Sam instynkt zawodowy skłania ich do uważania każdego obwinionego za łotra, a ta niesamowita ich gorliwość do tego stopnia przestraszyła niektóre narody europejskie, iż coprędzej przydano im, w ważnych sprawach tuzin zwykłych, chłopskim rozumem obdarzonych obywateli, wybranych zapomocą losowania. Wynikałoby z tego, że ślepy traf, że przypadek lepszą daje gwarancję życia i wolności oskarżonego, niż rozjaśnione wiedzą sumienie sędziego fachowego.

Coprządza owych urzędników mieszczańskich, wyciągniętych z loteryjnego woreczka trzyma się całkiem zdała od sprawy, pokazując im jeno gotową i zaaranżowaną maszkaradę. Prawdą jest również, że nie znając praw, nie są powołani do ich roztrząsania, ale mają jeno słowem: tak, lub nie zadecydować, czy ma zostać w danym wypadku zastosowane. Powiadają, że takie sądy przysięgłych dają częstokroć wyniki absurdalne, mimoto jednak narody, które je wprowadziły w życie, uważają tę instytucję za bardzo cenną gwarancją swobód obywatelskich. Jestem tegosamego zdania.

Wyobrażam sobie, że wyroki sądów przysięgłych mogą być głupie i obrutne, ale ich absurdalność i barbarzyństwo nie obciąża, że tak rzekę, nikogo. niesprawiedliwość staje się

znośna, jeśli jest dostatecznie bezrozumna, by można ją uważać za mimowolną.

Ten stary woźny, mający tak wielkie odczucie sprawiedliwości, wziął mnie przed chwilą za stronnika złodziei i morderców. J a wręcz przeciwnie, odczuwam tak bardzo kradzież i zabójstwo, że znieść nie mogę nawet kopji tych zbrodni ulegalizowanych przez państwo, i najwyższą boleścią napełnia mnie, gdy widzę, że sędziowie, nie mogą się zdobyć na nic lepszego od karania złodziei i morderców, taką samą zbrodnią przeciw nim skierowaną. Czemże jest, drogi Rożenku mój, w gruncie rzeczy kara śmierci, jeśli nie kradzieżą życia i morderstwem, postawionem na wyżynie dostojeństwa i wykonanem z całą ścisłością techniczną?

Czyż nie widzisz, sprawiedliwość nasza, mimo swej pychy, zmierza jeno do takiego mszczenia złego złem, zbrodni zbrodnią i zdwajania z jakichś względów równowagi, czy symetrii przestępstw i wykroczeń wszelkiego rodzaju? Niezawodnie i w tym zawodzie można znaleźć pole do okazania pewnego rodzaju uczciwości i bezinteresowności. Może się zdarzyć jakiś drugi Hospital, czy Jeffryes, a sam znam jednego sędziego, z głową na karku i sercem w piersi.

Ale nie idzie o wyjątki, chciałem, cofając się do podstaw, nakreślić rzeczywisty charakter instytucji, którą pycha sędziów, oraz paniczny strach ludów, odział bez powodu niezasłużonym majestatem. Chciałem pokazać nikłość pierwotną owych kodeksów, które chce się uczynić dostojnymi, a które są w istocie jeno bezładną kupą dziwacznych sztuczek i fortelów.

Prawa stworzył niestety człowiek, rodowód ich tedy jest bardzo smutny. Powstawały przeważnie zawsze przy sposobności. Głupota, zabobon, pycha panującego, interes prawodawcy, kaprys, fantazja, oto źródła owych wielkich corporum juris, które stają się czcigodne wówczas, kiedy przestały być zrozumiałe. Niejasność spowijająca je mgłą, gęstniejącą w miarę komentowania, nadaje im majestat antycznych wyroczni.

Co chwila mi się obija o uszy i co dzień czytam w gazetach, że obecnie ustanawiamy prawa okolicznościowe i doraźne. Taki pogląd może mieć jeno krótkowidz, nie dostrzegający, że to jest tylko ciąg dalszy odwiecznego zwyczaju i że od stworzenia świata prawo rodziło się zawsze z przypadku.

Ten i ów żali się na niejasność i sprzeczność naszych współczesnych prawodawców, a nikt nie

widzi, iż ich poprzednicy byli równie ciemni i chaotyczni.

W rzeczywistości, drogi synu mój, prawa są dobre, lub złe nietylko same przez się, ile przez sposób ich stosowania i żadna najniesprawiedliwsza ustawa nie stanie się szkodliwą o ile sędzia nie zastosuje jej w danym przypadku.

Obyczaje są silniejsze od praw. Względność w postępowaniu i łagodność duszy są to jedyne sposoby otamowania barbarji legalnej. Bowiem nie da się poprawiać praw przez prawa w sposób dostatecznie szybki i skuteczny i droga to niepewna wielce. Wieki jeno zmienić mogą wiekowe dzieła. Mało też nadziei, by jakiś francuski Numa Pompiljusz napotkał w Compiègne pod drzewami, lub pod skałami Fontenebleau drugą nimfę Egerję, któraby mu podyktowała mądre prawa.

Patrzył długo na wzgórza, rysujące się błękitno na horyzoncie, a oczy jego miały wyraz smutny i poważny. Potem położył zlekka dłoń na mem ramieniu i ozwał się tonem tak głębokim i miękkim jednocześnie, że echo jego odezwało się w głębi mojej duszy:

- Rożenku, synu mój, - powiedział - widzisz oto, że jestem zmieszany i niepewny i słów, ni idei znaleźć nie mogę na samą myśl poprawienia tego, co uznałem za złe. Nie sądź iż uląłem się.

albowiem niema na tej ziemi rzeczy, przed, którą cofnąłby się umysł mój. Ale posłuchaj uważnie tego co ci powiem. Jałowe są to prawdy, odkryte rozumem. Serce jeno zdolne jest zapłodnić marzenia, bowiem wlewa życie We wszystko co ogarnie. Zaródź dobra rzucona została w ziemię przez uczucie, rozum dokazałby tego nie potrafił nigdy. Wyznaję otwarcie, iż byłem dotąd zbyt rozumny krytykując prawodawstwo i obyczaje. Dlategoż krytyka owa będzie jako kwiat bez owocu i zeschnie, niby gałąź drzewa, ścięta kwietniowym przymrozkiem. Chcąc służyć ludziom, należy odrzucić precz rozum, jako tłumok zawadzający wielce i wznieść się na skrzydłach zapalu ponad ziemię. Póki nie przestaniemy rozumować wzlot nie nastąpi, bowiem serce będzie skute z niżem podłym i jałowym.